

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



BRONISŁAW WILDSTEIN

O zdradzie i śmierci
(czyli przypisy
do Plutarcha)



OL

Bronisław Wildstein

O zdradzie i śmierci

(czyli przypisy do Plutarcha)

Bronisław Wildstein

O zdradzie i śmierci
(czyli przypisy do Plutarcha)

Oficyna Literacka
Kraków 1994

©Copyright by Oficyna Literacka, Kraków 1994

Opracowanie graficzne Dmitrij Szewionkow-Kisielew

Redakcja Maria Kaniowa

ISBN 83-7124-015-5

Druk: Drukarnia Oficyny Literackiej

ZDOBYWCA MIAST

Jakby fale słuchały dźwięków fletu. Żałobny śpiew ze spiżowych płuc Ksenofanta przez drewno instrumentu wprawia w ruch dwa rzędy wiosła z każdej burty okrętu, jakby to wiosłarzy poruszała belka, o którą wspierają się pod pokładem, gdy ją unoszą fale; monotonny, beznadziejny chór morza powtarzany na pokładzie przez żałobników z nagimi głowami, w czerni, z szatami rozdartymi na piersiach, aby uderzać o nie dłońmi — lamentują do wtóru śpiewu fletu. Wydawać by się mogło, że to Ksenofant porusza okrętem, podmuchem instrumentu ożywiając powietrze, które morze wydyma w fale by animować wiosła i wiosłarzy, a wielka, drewniana budowla wznosi się i opada przekraczając grzbiety wodne prowadzi za sobą klin flotylli w rytm pieśni fletu i lamentu błagalników, muzyki śmierci.

Wiatr wieje śpiewem Ksenofanta. Trzepocze nim na flagowym okręcie sztandar z królewskim, podwójnym diademem, symbolem panowania nad Europą i Azją, które było przecież snem tylko. Ale jak sen właśnie jest morski pogrzeb Demetriusza Poliorketesa, pana tych dziedzin, które nie zdradziły go nigdy i dlatego powrócił tu po śmierci, z klątki króle-

wskiej osaczonej bagnami i pętlą rzeki i teraz, aż w dalekim porcie, skąd widać zaledwie zarys zbliżającej się flotylli, jak lustro ślące słoneczne znaki wibruje światłem z dziobu flagowego okrętu złota urna z prochami zmarłego króla.

Światło mieni się w pyle wodnym nad wiosłami, które dzielą fale w tęczowe błyski. Jest w nich i purpura materii objijającej pokład, na której płonie wielka, złota urna, i czerń postaci wznoszących ręce, gdy flet zawodzi a wiosła wbijają się w morze, i stosy kwiatów, ich tęczowe wieńce zasłaniające dalej pokład, i wzorzyste kostiumy łuczników, na których zieleń przeplata się z brązem, otaczających czarną plamę, klęczącego człowieka, który czołem dotyka urny w skurczach szloch opłakując swojego ojca, swojego króla, swoją młodość.

Antygonos Gonatas płacze po swoim ojcu Demetriuszu Poliorketesie.

Zbliżają się do Koryntu. Mury lśnią białym światłem. Mrowie ludzkie wypełnia nadbrzeże. Potokami spływa ku morzu. Słychać już gwar, widać postacie, ręce wznoszą się, wskazują ciała okrętów, które jak delfiny wynurzają się z fal i słychać dźwięki fletu i śpiew żałobny, lament i widać Antygonosa w czerni na kolanach jakby słychać było jego płacz i szloch odzywa się wśród Koryntian stłoczonych w porcie i dalej, bo wszyscy chyba mieszkańcy miasta wylegli by zobaczyć spektakl pogrzebu i wzruszyć się śmiercią tego, który przez trzydzieści lat swojego dorosłego życia budził zachwyt i oburzenie a w każdym razie zawsze ciekawość, a nawet fascynację całej Hellady i dalej może całej ojkumene — dziedziny zamieszkałej przez ludzi i teraz raz ostatni każe się podziwiać jakby sam rękami tak odmiennego przecież syna przygotował swój pogrzeb i pożegnanie z Grekami, którzy widzą i rozumieją, że coś opuszcza ich życie, odpływa na pięknych okrętach unosząc ze sobą barwy złota i purpury, nikt nie widzi a więc widzowie czują płacz syna Demetriusza i płaczą wraz z nim jak w teatrze po śmierci bohatera, który jest tylko aktorem bohatera grającym, a więc może łatwiejszym do rozpoznania i piękniejszym może, a płacz jest jak poklask dla roli tak wspaniale odegranej do końca na wielkim amfiteatrze, którym był dla Demetriusza świat.

To w Koryncie kończyła się ostatnia, morska droga Poliorketesa. Zamykał się rejs, z brzegów Azji prowadzący okręty od wyspy do wyspy między miastami, które czciły jego pamięć tłumami mieszkańców w portach i na nabrzeżach, zbiorowym szlochem, ogromnymi wieńcami, urnami pełnymi kwiatów, na łodziach przewożonymi na okręty, aby zaścielać pokłady wielobarwnymi dywanami, zapach których przenika bryza morska umożliwiając oddychanie, zwłaszcza, gdy kwiaty umierają i ostatnia eksplozja ich gęstej woni oplata głowy jak wieczorna mgła i trzeba wrzucać je do wody, aby nieruchomiały za rufami jak blaknące mosty wzdłuż szram, które na morzu pozostawiają za sobą okręty.

Z portów na łodziach do okrętów przybijali żałobnicy w czerni, z odkrytymi głowami, płacząc dołączali do morskiego orszaku, aby pozostać w nim. I tak lament na okrętach rozbrzmiewał głosami całej Grecji, która spływała do Koryntu oplakując Demetriusza.

Złośliwcy mogliby twierdzić, że nie było w tym nic dziwnego. Widząc zbliżającą się flotę Antygonosa, która wprawdzie była tylko cieniem potęgi jego ojca, niepodzielnie panującego nad wszystkimi morzami, ale mimo, że większość okrętów po klęsce Demetriusza oddała się Ptolemeuszowi, władcy Egiptu, niezmiennemu konkurentowi Poliorketesa, przegrywającemu na morzu wszystkie wojny, aby zwyciężyć w ten właśnie sposób na koniec, mimo to flota wielbiącego ojca syna Demetriusza budzić mogła respekt i dlatego sensowniej było okupić się w sumie mało kosztownym hołdem niż narażać na gniew Antygonosa.

A przecież Hellenowie oplakiwali Demetriusza naprawdę.

Oplakiwali ostatnią drogę herosa a może bardziej artysty niezwykłego, który nawet swoją wyprawę do krainy, skąd nie można powrócić, potrafił przekształcić w przedstawienie tak jak potrafił przemienić w nie obleganie i zdobywanie miast a w dzieła sztuki machiny oblężnicze i okręty, bowiem nikt nie wątpił, że to on, Demetriusz Zdobywca Miast natchnął swego syna tak innego a podobnego jedynie w miłości synowskiej dziwnie mocnej w rodzie Antygonidów i Hellenowie mogli oplakiwać czystą rozpacz synowską, która potrafiła otworzyć się na tak innego ducha ojca jego wiodącego dłoń Antygonosa, gdy zamykał prochy ojca w złotej

urnie, wyściełał purpurą pokład i prowadził od portu do portu orszak okrętów oplakujących pana mórz trzepotem wiosł o wodę, fletem Ksenofanta, zawodzeniem błagalników. To rozpacz Gonatasa pozwoliła stać się mu Demetriuszem, zainscenizować spektakl tak jak życzyłby sobie tego ojciec, jemu, który tak gardził blichtrzem i formą, a tylko miłość i szacunek synowski kazały wstrzymać się mu od oceny tej pasji Demetriusza, postrzeganej przez wielu jako treść życia Zdobywcy Miast. Sens istnienia artysty, który dba o doskonałość czynu każdego a właściwie gestu, bo gestem w jego wydaniu stawał się każdy czyn na wielkim amfiteatrze świata stworzonym by oklaskiwać go.

Może wtedy, obejmując urnę z prochami ojca, Antygonos po raz pierwszy zrozumiał go? Może był to raz jedyny? Zrozumiał a więc nie tylko nazwał sobie motywy, zasady, konieczności; zrozumiał a więc poczuł, że tak właśnie trzeba i nie można inaczej: żałobna Grecja szlochając winna gromadzić się w nadmorskich portach, czcić zmarłego wieńcami kwiatów i płaczkami, którzy dołączać będą do tęczowego orszaku w muzyce i zawodzeniu przemierzającemu morza. Zrozumiał, że duch objawia się przez kształt, barwę, dźwięk. On, który przywykł był gardzić rzeczy pozorem i pod nim dopiero poszukiwał ładu czyli rozumu, logosu, bo obraz przecież jest złudzeniem, omamem słabych wydającym ich ułudnej a więc niezaspokajalnej żądzy, u końca której ziele rozpacz. On, który zaprawiał się w chłodnym spokoju i wytrwałości, obojętnej na poklask cnoty, wychowanek Zenona z Kition, mógłby patrzeć na ojca jak na podsunięte mu przez opatrność krzywe zwierciadło pustki ludzkiej, ułudy, w pogoni za którą człowiek pędzi na oślep skazany na klęskę i cierpienie, bezrozumny a nawet śmieszny, obcy sobie i porządkowi świata.

Jednak Gonatas wiedział, że do ładu świata należy także miłość synowska a osądzając ojca oddaje się demonowi pychy. Nie wiedza ta decydowała zresztą, ważniejszym było, że nie chciał i potrafił oceniać wielbionego ojca, w którym widział wielkość, moc ujawniającą się, gdy inni tracili nadzieję, widział bezinteresowną przekraczającą i ogarniającą wszystko wspaniałomyślność. Podziwiał go jak inni, zapatrzeni weń Grecy, tylu kochających Demetriusza, gdy tak niewielu dostrzegało Gonatasa, który

przyjmował to rozumiejąc, on obojętny dla rzeczy kształtu, że piękno i wspaniałość ojca jego to harmonijna forma, w którą przyobleka się Poliorketesa dusza. Rozumiał i cieszył się, że nigdy nie potrafi dorównać ojcu.

Czoło Antygonosa dotyka złotej urny. Przenika go jej chłód. Podnosi twarz. Wiatr pędzi niebo poprzez mokre oczy. Świat faluje jak morze. Ogarnia go. Unosi. Widzi pokład. Purpurowa tkanina z płomieniem urny, w którym pogrąża się głowa człowieka w czerni, na kolanach jak niezrozumiały znak na scenie pokładu. Płyną pod nim okręty, wielkie ryby płetwami rzędów wiosł zagarniają wodę. Z ciemnych ścian urny ciasno tłoczących świat wokoło wzbija się w okno błękitu otwierające się nad nim jak nadzieja. Teraz frunie w niebo. Wirują pod nim okręty. Morze wyrzusza się jak zielonkawy pęcherz. Wszystko jest wiatrem, lotem i przestrzenią. Morze. Jego morze. Jego królestwo bez granic ni kresu. Słony oddech między przestrzeniami. Płynąc nie czuje się już desek pokładu pod stopami, ani stóp, ani ciała. Zatraca się czas i miejsce, kształty i barwy a światło jest nienazywalne. I pozostaje tylko lot. Panowanie.

.....

Na morzu zwyciężał. Najpierw własny lęk. Własne ograniczenia. Nogi zwolna przywykały do kołysania pokładu, oczy pozostawały otwarte w podmuchach wiatru a czeluść wokoło choć groźbą była także wyzwaniem i już nie dreszcz strachu przenikał go a podniecenia, krew wydymała tętnice, źrenice rozszerzały bardziej i bardziej a okręt stawał się nim i czuł jak rozdziera gniewnie ryczące ciało morza.

Potem uczył się pokonywać innych. Nadawał kierunek okrętom. To jego wola rzucała je naprzeciw masztom i wiosłom wroga, naprzeciw wiatrom. To ona miażdżyła okutym żelazem dziobem burty przeciwników, rozrywała kadłuby okrętów i topiła je. Ona rzucała ogień na wrogie floty i zmieniała je w pochodnie na fali. On, Demetriusz ogarniał wzrokiem całość przestrzeni morskiej, przewidywał ruchy wroga, jak bóg rozpoznawał przyszłość, planował ją, tworzył, aby wreszcie porwany namiętnością wdrzeć w chwilę, przeskoczyć na pokład przeciwnika, zagarniać go obalając wrogów, czuć jak stopy ślizgają się w ich krwi.

Widział wszystko jak pod Salaminą, gdy wodzowie jego bledli słuchając rozkazów a on wiedział, że jest to tylko kwestia czasu a on czas ten potrafi wykorzystać. I dlatego dziesięć okrętów jego zablokowało wąskie wyjście z portu nie dopuszczając do głównego teatru zmagania sześćdziesięciu okrętów Menelaosa, choć doświadczeni kapitanowie szeptali tak, aby Demetriusz mógł usłyszeć, że to szaleństwo, ale on wiedział, że zmiażdżyć potrafi Ptolemeusza zanim brat jego będzie w stanie przełamać w wąskiej cieśninie opór dziesięciu okrętów. Dlatego osłabił swoje blisko lądu skrzydło, bowiem wiedział, że dzięki sile, którą zgromadził rozniesie prawe skrzydło przeciwnika i otoczy to co zostało z flotylii. I wszystko stało się jak przewidział.

Dlatego może, gdy ledwie garstka okrętów Ptolemeusza uszła z okrażenia a on radosny, na zdobytym pokładzie, nie drażnięty nawet wśród śmierci, bólu i krwi zrozumiał, że już na zawsze stał się panem morza, co miało okazać się prawdą, może wtedy pomyślał, że jest równy bogom bo stwarza przyszłość i rozjaśnia ją swoim spojrzeniem, jest panem ludzi i żywiołów a słuchać musi go nawet nieprzewidywalna bogini losu Tyche i może dlatego od wtedy, zazdrosna bogini doświadczając zacznie go jak żadnego ze śmiertelników ze szczytów triumfu strącając w otchłanie klęski, jak miało wydarzyć się zaraz potem, gdy z ojcem Antygonosem Jednookim ruszyli na Egipt by wykorzystać zwycięstwo i zdobyć wreszcie twierdzę i spichlerz nad Nilem, a oszalałe listopadowe burze, które zmieniły się w jedną wielką nawałnicę, wznosiły okręt Demetriusza na szczyty by strącić go w przepaść, nim rozpedziły jego flotę topiąc tyle okrętów, że to co zostało zdawać mogło się zagubioną kawalkadą niedobitków, ale wtedy jeszcze jak zawsze prawie Demetriusz nie myślał o klęsce, przeżył i to zdało się mu zwycięstwem, przetrwał furie przepastnych fal jak górskie ściany wznoszących się nad jego głową i ściekających po nim białą pianą, żył i to było zwycięstwem, kpina z wycia śmierci morskiej.

Morze było jego namiętnością, jego dziedziną. I choć potrafiło grozić falami spadającymi nań jak niebo, topiło jego ludzi i nadzieje jak wtedy, gdy płynęli na Egipt po zwycięstwie nad Salaminą i jasnym wydawało się, że powtarzają tylko nieco inaczej szlak Aleksandra, aby osiąść

jego królestwo, morze nie zdradziło go i pozostał jego panem, aby przegrać ostatecznie osaczony na lądzie jak drapieżnik, który odcięty od swojego ostępu, zdławiony został, gdy podążał ku wodzie, aby w niej jak zawsze odzyskać siły, w przestrzeni bez końca, do której nigdy już nie dotarł i dlatego umrzeć musiał w pułapce mokradeł, udusić się tam, aby jednak powrócić na morze, po raz ostatni zachłystnąć przestrzenią, roztopić w niej.

A przecież ekstazę, którą odnajdywał na morzu, znaleźć potrafił i gdzie indziej. Gdy już osławiony syryjskim zwycięstwem nad armią Ptolemeusza pod wodzą doświadczonego Killesa, ruszył na rozzuchwalone plemiona Nebateienów, których zagony wdzierały się nawet do Syrii a z kapturami przesłoniętymi twarzami postacie w jasnych, długich opończach na dziwacznych, garbatych zwierzętach wzniecały przerażenie między Egiptem a Azją Mniejszą, gdy zmiażdżył pierwszą gromadę, którą dopadł pod wieczór pędząc dzień cały bez wytchnienia i nie zatrzymując się nawet na moment, rzucił płoszące się konie na bardziej zdumionych niż przerażonych wojowników, a potem, pozwalając jedynie pogrzebać prochy zabitych, opatrzyć rannych a spać tylko przez resztkę kończącej się nocy, znowu pognął swoich konnych na ludzi pustyni, którzy dopiero wtedy, ginąc, z trudem orientowali się jaka groźba zawisła nad nimi i jak zwykle w sytuacji takiej powracać zaczęli do swoich bezwodnych rewirów, strasznych i niedostępnych, w które żaden z obcych nie odważył się dotąd zapuszczać i z przerażonym zdumieniem odkryli, że ich prześladowca ściga ich nadal, dopada nocą, gdy czuli się zupełnie bezpieczni, oskrzydla i wyłania przed nimi w oszalałej burzy słońca i atakuje bez chwili wytchnienia, zabija jak anioł śmierci z opowieści ich ojców, dla którego nie ma przeszkód i nie ogranicza go słabość ludzka, tak, że prosić zaczęli o pokój ofiarowując mu dary i przysięgi, że nigdy więcej nie zaatakują krain osiadłych, których był panem i przysięg dotrzymywali długo, długo po tym, gdy Demetriusz utracił już wszystkie ziemskie krainy a nawet długo potem, gdy urna z jego prochami pogrzebana została w Demetrias, tak jak długo krążyły wśród nich opowieści o pięknym aniele śmierci, który spadł jak boska zemsta na ich przodków; nie wiedzieli, że Demetriusz miał za sobą lata walk w Azji środkowej, śmiertelne wyścigi z wielkim Eumenesem po bezwodnych pustko-

wiach Iranu, Medii, Suzjany, bitwy na słonych wyżynach, starcia w śmiertelnym upale na spękanej ziemi, gdzie nie rosło już nic a ludzie umierali częściej od słońca niż od oręża wrogów, marsze przez pustkę skał, które w dzień przepalać potrafiły sandały a w nocy iskrzyły się lodem, pościgi bez chwili przystanku, dniami i nocami, gdy ludzie tracili rachubę czasu a nie buntowali się wyłącznie z wyczerpania, nie wiedzieli także Nebateieni, że gdy wyłaniali się przed nimi jeźdźcy Demetriusza prowadziła ich tylko wola wodza, słabość ich równa była słabości ściganych a siła brała się ze ściganych przerażenia, wtedy Demetriusz nie czuł napięcia ani zmęczenia bo nie czuł ciała, czuł tylko piasek pod kopytami konia, o którym zapomniał w pędzie, jak zapomniał o jedzeniu, picciu, spaniu, był wolą tylko, sypkim galopem, przestrzenią unoszącą się w słońcu.

.....

Tyle razy zatracił się w pędzie, w bitwie, w rozkoszy, w tworzeniu wreszcie, gdy z drewna i metalu wznosił konstrukcje, które torować drogę miały przez mury i ciała obrońców lub przeradzać w okręty ujarzmiające morze, tyle razy, że gdy nie stawał przed nim przeciwnik, ani nie otwierała przestrzeń i nurzył się cudzymi ciałami, musiał wlewać w siebie alkohol, który oddalał rzeczy i uspokajał gorączkę z myśli przenikającą żyły, ściętna, mięśnie, pozwalał cieszyć się tym co jest, albo złudzeniem tego co jest napływającym falami obrazów i brzmień, aby oddalać się, oddalać... A jednak było jedno, szczególne upojenie, które najbardziej odcisnęło się w jego pamięci i pewnie było rzeczywiście jedynym, powracającym w snach poczuciem bezgranicznego szczęścia, które przeradza się w koszmar podrywający z posłania i nie dający zasnąć.

Pod Ipsos, kiedy według swoich zasad znowu rzucił na jedną szalę losy największej bitwy diadochów ogałając armię z całej konnicy, pędząc na jej czele z krzykiem, który usłyszano przez grubą zasłonę zgiełku naprzeciw skrzydła Antiocha syna Seleukosa, gdzie zgrupowana była większość jazdy sprzymierzonych i znowu wygrał, rozbił ich i popędził przed sobą w furiackiej szarży, której nikt nie potrafił zatrzymać, w czasie tak krótkim, że sprzymierzeni nie byli w stanie zrobić jeszcze niczego, przegrupować sił i bitwa była wygrana, wystarczyło wrócić za minutę, dziesięć, dwa-

dzieścia, osaczyć przeciwnika i dokończyć dzieła; Demetriusz wiedział to i był tylko pędem, zwycięstwem, przeznaczeniem wroga, gdy zrzucił z konia i zabijał kolejno dopędzanych jeźdźców, nie dotykał ziemi, unosił nad polem aż zorientował się, że koń zwalnia pokryty pianą, hałas bitwy oddalił się jak szum morza wiele stadiów za nim a jego bezładnie rozsypana jazda ściga tylko pojedynczych uciekinierów i zaczął przyzywać ją, gromadzić, ustawiać a czas wrócił jak nigdy realny i konkretny, odmierzany uderzeniami krwi w skroniach, rosnącym niepokojem, kiedy zaczął zdawać sobie sprawę, że może być już za późno i gdy wreszcie ruszyli z powrotem zbliżając się do pola zmagających i zobaczył cwałującą ku nim z rykiem ścianę setek słoni Seleukosa, którym stawić czoła potrafiłby jedynie przy wsparciu piechoty, oddzielonej od niego teraz, wiedział, że wszystko już stracone zanim spłoszone konie nie zmieszały szyku i rzuciły do ucieczki, wcześniej jeszcze nim indyjskie kolosy wpadły na nich miażdżąc, zabijając i gnając przed sobą.

Czy można było powiedzieć więc, że morze było jego spełnieniem? Chociaż nie odniósł na nim nigdy klęski, ale wszystkie nań zwycięstwa miały być jedynie wstępem do tego ostatecznego i decydującego... tego, które wypełniało go, kiedy ścigał rozbitą konnicę Antiocha, unosił się nad polem walki i czuł, że bierze w posiadanie świat cały, który jemu właśnie zostawił boski Aleksander i był nie jak bóg, był bogiem samym ponad ciałem i czasem, zanim zorientował się, że odbiegł za daleko i jest już za późno i zdążyć potrafi wyłącznie do swojej klęski i winy, bo wrogom zostawił ojca, do którego nie potrafił już przedrzeć się przez oszalały mur słoni Seleukosa.

Uchodząc z pola bitwy wiedział, że pozostawia śmierci jedyne, swojego ojca, Jednookiego Antygonosa. Tego, że nigdy i nigdzie nie opuści ojca, pewny był wcześniej najbardziej z rzeczy wszystkich. Toteż wówczas, robiąc wszystko co nakazywała roztropność i odpowiedzialność wodza, czego uczył go Jednooki i za co pochwaliliby go wtedy z pewnością; gromadząc rozbite oddziały, porządkując je, aby wyprowadzić z klęski i przekształcić ją w porażkę jedynie, wiedział, że obok ginie jego ojciec, widział tę śmierć i czuł, że zdradził ojca swego, siebie, swoje życie.

Widział tę śmierć tyle razy potem, gdy z kurzawy Ipsos wyprowadził część ich armii za ledwie a jednak blisko dziesięć tysięcy ludzi i zdążył nieprzytomnym marszem do Efezu, widział starego cyklopa w otoczeniu garstki tylko straży przybocznej, gdy wszystko jest już skończone, oszołomiona gwałtownymi atakami konnicy Seleukosa piechota Antygona zmagająca się z falangą sprzymierzonych traci orientację, chęć walki i masowo przechodzić zaczyna na stronę przeciwników i najbliżsi Antygona doradzają mu ucieczkę a on z niewzruszoną pewnością odpowiada: „to nic, syn powróci i uratuje nas”. Czy pewność ta pozostała mu, gdy duży oddział wrogów zbliżał się galopem a na ponawiane wezwania zrozpaczonych wierznych wzywających do ucieczki, którzy krzyżąc pytają: czy nie widzi, że idą na nich, stary cyklop odpowiada wyniośle: „a kogóż mają atakować jak nie mnie” a potem powtarza znowu : „to nic, syn uratuje nas”.

Demetriusz widzi to podążając do Efezu, zmuszając nieprzytomnych ze zmęczenia ludzi do ostatniego wysiłku, będzie widział tyle razy jeszcze, swojego ogromnego ojca górującego nad polem bitwy, słyszał świst oszczepów, które rozedrą ciało Jednookiego; widział jego spokój; wyniosłość staje się wzniosłością, godność uwalnia się od pychy, król stawia czoła przeznaczeniu mniej lękając się a bardziej nie chcąc uciekać przed śmiercią, przed którą nie można uciec.

A przecież Antygonos czekał na niego, Demetriusza, powtarzał, że syn uratuje go, kiedy ramiona trzymające włócznicę wyginały się już do rzutu... Czy mógł wierzyć Demetriusz, że były to tylko słowa otuchy, którą cyklop na ostatnie chwile tchnąć chciał w swoich przybocznych? A jednak gromadząc resztki armii, aby wyprowadzić ją z pogromu był Poliorketes przy śmierci swojego ojca, był bardziej tam, nad ciałem spadającego z konia Antygona, gdy wokół giną ostatni obrońcy a jego w bólu na ziemi pod bezbrzeżnym niebem dosięga po wielekroć żelazo, rozrywa skórę, mięśnie, jest jak płomień, który draży ciało, pozostawia ból i przestrzeń.

Był bardziej tam, nie mogąc nic uczynić, krzyknąć nawet niż krzykiem i koniem pędząc rozsypane oddziały jak rozproszone ptactwo ponownie w stado, nieobecny wykonując wyuczone działania, gdy zmysły jego i rozpacz towarzyszyły śmierci ojca.

A może zobaczył to później i wyobraził sobie, że był tam, że niemożliwe, aby nie było go przy tym, ale szczegółów dowiadywał się a nie potwierdzał je tylko jak wmawiał to sobie, od wszystkich, którzy wiedzieć coś mogli, od Seleukosa, w czasie uczt weselnych króla Azji i Stratoniki córki Poliorketesesa, ale szczególnie od Toraxa jedyne go ze straży Antygona, który przeżył. Odnalazł go Demetriusz wreszcie, sprowadził do siebie i po wielekroć opowiadać kazał chwile ostatnie Jednookiego. Kazał przypominać Toraxowi każde słowo swojego ojca, każdy gest, ostatnie starcie, ostrza, które pograżyły się w ciele króla, jakby mógł ze strzępków w zamęcie zapamiętanych przez przybocznego obrazów odtworzyć śmierć Antygona, jakby mógł tym samym choćby w części zadośćuczynić swojej winie.

A jednak wszystkie koszmary jego rozpoczynały się od uczucia zwycięstwa, ostatecznej ekstazy, która triumfującemu na polach Ipsos oddaje w posiadanie świat cały. Czyni bogiem. Wspaniałości tego przeżycia, które pozwoliło zapomnieć o wszystkim i uwolniło od świata, aby prawie jednocześnie wtrącić w otchłań klęski i rozpacz, nie przeżył nigdy i nigdzie. Także na morzu, w królestwie swoim.

Zresztą zanim odnalazł morze wiedział już co to ekstaza wolności, pędu, który pozwala zapomnieć o wszelkich ograniczeniach, o czasie, o sobie. A przecież na morze trafił wcześniej.

Miał czternaście lat, gdy z ojcem, nocą, z gromadką tylko wiernych dotarli do zatoczki, gdzie czekał niewielki, ateński statek, aby przewieźć ich do Grecji. Wcześniej pędzili co koń wyskoczy, a ojciec, który również jemu, ukochanemu synowi nie zwierzał się nigdy, na pytające spojrzenie rzucił tylko — Perdikkas nie może nas schwytać.

Demetriuszowi nie w głowie było pytać dlaczego miałby ścigać ich chiliarch. Choć dziecko nieomal rozumiał już, że igrzyska rozpoczęły się i towarzysze wkraczają na arenę by okazało się kto z nich będzie tym najdzielniejszym, któremu jakoby na łożu śmierci boski Aleksander ofiarować miał swoje królestwo. Nie budziło dłań wątpliwości, że najgodniejszym aleksandrowej schedy jest ojciec jego Antygonos, zwany cyklopem nie tylko w skutek utraty w bitwie oka, ale również z powodu postury i sił,

których nie potrafił nadwyrężyć nawet czas, co Demetrusz obserwować mógł pędząc przez bezdroża Azji Mniejszej a potem przyglądając się na pokładzie statku w świetle księżyca zagłębionej w sobie skale ludzkiej, posągu ojca, który podobno przekroczył już sześćdziesiąt lat.

Dlatego zdziwił się, gdy ponad rok wcześniej dotarła do nich, do Frygii siedziby ojca, którą powoli zaczynano nazywać z perska jego satrapią, wiadomość o śmierci Aleksandra, podziale ziem i zaszczytów, w efekcie którego Antygonos w zarząd dostał dodatkowo sąsiadujące z Frygią Pamfilię i Licję i pogodził się z tym bez cienia sprzeciwu. Przecież nawet on, młodziutki Demetriusz nie wierzył w stabilność układu, w którym wodzowie wycofywali się w cień czekając na zarządzanych przez siebie ziemiach aż dojrzeje prawa dziedzic Aleksandra, mający narodzić się właśnie pogrobowiec, syn Roksany, nowy Aleksander. Dlatego Demetriusz odważył się wtedy zapytać ojca swego czy godzi się na rolę jaką przyznali mu jego towarzysze a Jednooki nawet uśmiechnął się, tak rzadkim u niego uśmiechem, który jednak zawsze poruszał usta tylko pozostawiając twarz nieruchomą i powiedział — To dopiero początek, synu.

Płynęli wiele dni w milczeniu od ciepłego jeszcze wybrzeża Azji w zimno. Opływali Peloponez by dopłynąć do mroźnej Etolii. Przedzierali się przez lodowate wiatry, deszcze i burze wreszcie a Demetriusz myślał, że tak obcego i niegościnnego żywiołu nie widział jeszcze i doznawał strachu, dziwnego lęku, który płynął z niczego, gdy z pokładu w chłodzie patrzył na białą spowijającą ich pustkę, czuł dreszcz przypominający, że ma jeszcze ciało i po raz pierwszy pomyślał, że będzie musiał uczynić powolnym sobie ten żywioł, aby móc zapanować nad swoim ciałem. Tak oczywiście myśleć wtedy nie mógł a tylko czuł przed sobą nieprzeniknione i bezkształtne morze jak wyzwanie.

Zastanawiał się nad odpowiedzią ojca o przyczynie ich ucieczki i jej celu, którym był, wiedział już o tym, obóz Kraterosa i Antypatra. Przypominał sobie niepokojące wieści jakie dochodziły do nich ze strony namiestnika i dowódcy azjatyckich wojsk. Przypominał sobie to wszystko, gdy prowadzeni przez przewodników przeszli już wąwozy między ośnieżonymi zboczami i dotarli do głównego, macedońskiego obozowiska, setek

namiotów rozpiętych na rusztowaniach drzew i gałęzi i w najokazalszym słuchał ojca przemawiającego do zdumionych wodzów: starego, zapatrzonego w przeszłość Antypatra i ciągle młodzieńczego Kraterosa, w którym gasła powoli radość z zobaczenia drucha dawnego. Wtedy pomyślał: to tak Perdikkas przejął chce świat Aleksandra, obalić postanowienia z Babilonu i stać się jedynowładcą, albo pomyślał: a może ojciec przeczuwa tylko chiliarcha plany, przeczuwa bo sam snuć musi podobne?

Wypełniała go radość. Rozpoczęły się największe igrzyska a Demetriusz wiedział, że weźmie w nich udział na równi z dorosłymi, że to one uczynią go dorosłym, ofiarują świat, którego był godzien. Godzien by dziedziczyć go po ojcu, który zwycięży a Demetriusz dostąpi uczestnictwa w najwspanialszym przedsięwzięciu — wojnie największych, która wyłoni zwycięzcę i rozstrzygnie losy ludzi.

Tyche pochylała się ku niemu. Podniosła go ku sobie. Tyle razy wsłuchując się w opowieści towarzyszy ojca, do których niekiedy dołączał się sam Antygonos, niekończące się nigdy wspomnienia największej epepii, czuł żal, złość a niekiedy rozpacz wręcz, że urodził się za późno, los oszukał go i nie będzie dane mu wyrąbywać mieczem kształtu przeznaczenia. Przecież czuł w sobie siły, które do posłuszeństwa zmusić potrafiłyby nie tylko ludzi, ale i żywioły i wiedział wtedy, że jedynie nieszczęśliwym rządzeniem przypadku urodził się tylko człowiekiem.

Teraz, kiedy z armią Antypatra i Antygona ruszał przeciw Perdikkasowi na odsiecz panu Egiptu i gdy po przepłynięciu Hellespontu zegnali się z Kraterosem, który podążył na przeciw najbliższego chiliarcha współpracownika Eumenesa Greka, wiedział Demetriusz, że rozpoczyna się nowa epepeja a ziemia drży jak skóra żrebaka o świcie.

.....

Sojusznicy czekali na nich w Syrii, w Triparadejsos; po wszystkim. Popioły Perdikkasa miały barwę minionego. Szarą barwę zdradzo-nych wspomnień.

To one ogarnąć musiały Eumenesa płaczącego po zwycięskiej bitwie nad zniekształconymi zwłokami Kraterosa.

Jak wiele razy powtarzać będą się sceny, których bohaterowie w zwłokach swoich przeciwników odkrywać będą przyjaciół? Polegli tężeją na ziemi zanim wydani ogniu pofruną w niebo ciemnym podmuchem. Gdy giną, przez otwarte rany wraz z krwią bucha ognisty oddech pneumy na moment otaczając ciało świetlistą poświatą. Potem są tylko wspomnieniem, znakiem czyjegoś, zamkniętego już życia. A może są takimi tylko dla świadków? Żywych, którzy nie dostrzegają jak umarli wypełniają się przestrzenia, wypełniają ją, zanim, na stosie, ostatni raz ognisty oddech nie przepali ziaren ich ciał i jasny blask życia zmieni w ciemne tchnienie.

Ale dla żywych są jedynie zamkniętym kształtem przeszłości. Świadectwem ułudności wszelkich triumfów. Śmiercią, która czai się za odwróconą głową, za niewidoczną krawędzią każdej rzeczy, za cieniem wpływającym na twarze. Są odebrany kawałkiem życia, zagłada, która chłodnym oddechem ogarnia nasz świat pochłaniając coraz większe jego obszary, aby wreszcie dosięgnąć nas.

Eumenes płacze nad zniekształconym ciałem Kraterosa.

Będą patrzyli na zwłoki swoich zabitych wrogów, którzy po śmierci powrócą do nich w postaci przyjaciół niedawnych, wczorajszych towarzyszy broni, wspólnego uśmierconego życia.

Może w ten sposób, choć moment tej oszalałej nad Nilem nocy, patrzyli na trupa Perdikkasa jego trzech zabójcy, którzy przecież byli tylko ucieleśnieniem woli armii. Tak spoglądał będzie na zwłoki swojego rywala do sławy, niegroźnego już Eumenesa Antygonos, który nie wydał nawet rozkazu uduszenia go. Z tym namysłem pod Ipsos skłute ciało Antygonosa odkrywać będą Seleukos i Lizymach, takim ogarniał będzie Seleukos złożonego na stosie uspokojonego wreszcie Demetriusza i pod Kurpedion patrzył będzie na porąbanego trupa Lizymacha, tyluletniego drucha swojego, ostatnią nieomal przeszkodę przed zagarnięciem Aleksandra dziedzictwa, nie mogąc przypuszczać, że przeżyje go wyłącznie o kilka miesięcy.

Jednak Eumenes pamiętał Kraterosa wyjątkowo. Jakby wczoraj pożegnał jego śmiech. Nie minęły nawet dwa lata, od kiedy rozstał się z może najbardziej bezinteresownym przyjacielem, z którym przewalczyli i przemierzyli jedenaście najwspanialszych lat. Stratowane ciało tego, któ-

ry już na zawsze pozostanie młody, tak jak długo był młody zaufaniem do ludzi, może młodzieńczą naiwnością, radością z tego co ma, szczęściem afirmacji, radością, której nie utracił jak inni, gdy po śmierci Aleksandra otworzyły się dla nich wszelkie perspektywy a świat stanął w zasięgu ich rąk — mógł myśleć nachylając się nad nim Eumenes; Krateros cieszący się ich radościami, bo tak długo potrafił widzieć ich jak rodzinę i jak w rodzinie ważne były dlań losy każdego żołnierza, w obronie którego potrafił nawet stawić czoła kapryśnemu bogowi, Aleksandrowi.

Żołnierze nie zapomnieli mu tego. Na wieść o jego śmierci, w syryjskim obozie ogłosili żałobę i z wściekłością skazali na śmierć jej sprawcę i pięćdziesięciu jego najbliższych ludzi. Wyrok wykonać miał Antygonos.

Dla młodego Demetriusza znaczyć mogło to kolejną przygodę. Los spełniał wszystkie obietnice. Czy było to pół roku, kiedy tylko z grupką zaufanych pędzili nieprzytomnie bezdrożami Azji, aby jak nadzieję odnaleźć czekający ich stateczek? Ciało ówczesnego ich prześladowcy spłonęło już, jego namiestnictwo rozwiało się jak dym i nikt nie pamiętał o nim, a ojciec jego na czele całej armii ruszał, aby zwyciężyć najbliższego jego współpracownika Eumenesa Greka. Czy rozumiał wtedy syn Antygonosa, że walka musi kończyć się śmiercią, że nie jest wyłącznie turniejem, gdzie o wawrzyn konkurują najlepsi i nie walczą naprawdę bo są przecież rywalami na czas zawodów tylko, aby później stać się na powrót przyjaciółmi, którymi nigdy przecież być nie przestali?

Eumenesa, sekretarza Aleksandra pamiętał przecież Demetriusz doskonale. Tak inny od ojca jego, choć nie tak wiele ustępujący mu posturą, miękki nieomal. Dopiero pod płynnością jego poruszeń dostrzec można było sprężystość a wreszcie siłę. Inne było jego spojrzenie, śmiech, różniące go od wszystkich towarzyszy... Mrużył powieki nieomal uciekając wzrokiem choć patrząc na rozmówcę a może bardziej przez niego jakby widział coś jeszcze i nie tyle śmiał się co uśmiechał... — Grek, mówili o nim co jakiś czas między sobą. — Grek! — rzucali mu w trakcie pijaństw i nie wiadomo czy więcej było w tym niechęci czy podziwu.

Demetriusza fascynował od kiedy syn Antygona potrafił sięgnąć pamięcią. Może dziwił, że można żyć wśród ksiąg i na polu bitwy równocześnie; inny, który zawsze potrafił odnaleźć właściwe słowo, ripostę na każdy żart towarzyszy, formułę pochlebstwa czy kpiny zależnie jak chcieli ją czytać. Grek, i Demetriusz mógł wyobrazić sobie popatrzeć usiłując w źrenice Eumenesa, że widzi spojrzenie Grecji wszystkowiedzące i niewidzące równocześnie. Płynna pewność siebie sekretarza Aleksandra mogła być dla syna Antygonosa przeciwwagą i cieniem niewzruszonej pewności ojca jego; dworski uśmiech, w którym nie było mgnienia słabości — rewersem kamiennych ust Jednookiego.

Chłopiec jeszcze, śledził tajemncę chodu Eumenesa, sprężystą lekkość tak odmienną od twardych uderzeń stóp macedońskich wojowników, sekrety jego śmiechu, ironii, wystudiuowanych gestów — i nie wiedział czy bardziej podziwiać miał nieruchomy spokój swojego ojca czy misterną grę, którą niespodziankom losu przeciwstawiał Grek.

Niezauważony, choć może zdawało się mu tak wtedy jedynie, podążał za Eumenesem, jakby rozwikłać chciał jego zagadkę. A może podążał bardziej by śledzić tylko rytm kroków, zarys sylwetki, widzieć uśmiech na nagle odwracającej się twarzy, silne palce, które delikatnie tańczyły w powietrzu jak w pieszczocie... usłyszeć głos...

Jednak, gdy ruszał z Triparadejsos u boku ojca, który ukarać miał zabójcę Kraterosa, Greka przecież, nie mógł myśleć o dawnych fascynacjach, miłościach nieomal. Głos trąbki podrywał o świcie i dzień otwierał się pod kopytami konia. Wszystko było radosne, chociaż nie musiało być takie o czym wiedział już piętnastoletni Demetriusz.

Widział przecież rozszalały tłum żołnierzy, którzy ukamieniować chcieli wielkiego Antypatra jedynie z powodu publicznego wystąpienia ambitnej, szesnastoletniej żony Filipa Arridajosa, królewskiego półgłówka, oficjalnego następcy tronu do czasu dojrzałości młodego Aleksandra. Wystarczyło, aby Eurydyka, głosem, który potrzebował pomocy powtarzającego jej słowa sekretarza, ogłosiła, że Aleksander obiecał wojsku dodatkowe pieniądze a Antypater, przecież wykonawca jego woli, nie wywiązał się z tych obowiązków, aby najwspanialsze, najbardziej karne

oddziały świata zmienić w rozwścieczoną tłuszcę. To wtedy, któryż raz to, ojciec zyskał jego bezgraniczny podziw, gdy wdarł się we wściekły tłum wznoszący kamienie w towarzystwie jedynie młodego, niespełna trzydziestoletniego Seleukosa.

Z tyłu nieustraszonych, w oszalałą masę ludzką za Jednookim podążył jedynie młody zabójca Perdikkasa, on, który jeszcze nie pozwoliłby sobie cofnąć się przed niczym, gdy rozkosz rodząca się z lęku wzbierała w nim i zdawało się, że osiąść potrafi śmierć i przez chwilę czuć się jej panem.

Jednak to Antygonos narzucił przebieg wydarzeń, nieomylnie wyławiał z tłumu tych, którzy masę ludzką wprawiali w drżenie, kamienie wznosili w zaciśniętych dłoniach, wydobywali miecze, nachylał nad nimi swoją ogromną postać i głosem stłumionym, matowym proponował na osobności rozmowę a tłum przeradzał się w widzów z napiętą ciekawością śledzących jak najzapalczywszi z nich stawiają czoła groźnemu cyklopowi. Zbiorowość rozsypywała się na pojedynczych ludzi, uspokajających się, cichnących jak ich niedawni, spontaniczni przywódcy w niepewnych spojrzeniach wokoło szukający pomocy i schronienia.

W ten sposób Demetriusz zrozumiał w co przeistoczyć może się najwspanialsza armia i zobaczył jak należy opanowywać motłoch i pomyślał jak zabawnym jest, że wydarzenie to przypieczętować mogło nominację ojca jego na wodza. Nie pomyślał, jak nikt spośród nich, że może było ono załączkiem klęski Antygonosa, bo gdy Jednooki z Seleukosem wsparci ramionami ruszyli w otchłań szalejącego tłumu, ten niewypowiedziany moment, kiedy morze ludzkie rozstępowało się przed nimi i uspokajali je, byli tak blisko, że musieli zapamiętać to na zawsze i może dlatego właśnie pięć lat potem bezwzględny Antygonos pozwolił uciec z Babilonu swojemu rywalowi, a pościg za nim wysłał, kiedy będzie już za późno. Daruje mu życie, aby po piętnastu kolejnych latach Seleukos wpatrywał się w jego zwłoki na polach Ipsos, może czując znowu dotknięcie ramienia jednookiego kolosa jak wtedy, gdy wchodząc w rozwścieczony tłum czynili sobie wolną niestałą boginię losu.

Jednak, gdy zwijali obóz o świcie i ruszali na przeciw Emenesowi, nie o tym myślał Demetriusz, jak nie myślał o świeżo poślubionej wdowie po Kraterosie. Jeśli myślał, to wyłącznie jak o kolejnym sukcesie, radość potęgującym darze sprzyjającego mu losu. Tym małżeństwem wkraczał w świat dorosłych, świat dyplomacji, układów i gwarancji, niejasnej jeszcze dlań maszynerii ukrytej pod ludzkim gestem i słowem a może wielokrotnie rządzącej nimi jak niewidoczny obieg krwi zawiaduje ciałem. Wkraczał w dorosłą dziedzinę władzy, do której był powołany.

A przecież wzdrygnął się przed propozycją tego ożenku i przyczyną tego nie mógł być wiek dwakroć starszej od niego Fili. Czy Demetriusz rozumiał już, że małżeństwo to nie sprawa namiętności, szczególnie jeśli dotyczy tych, którzy decydują o losach świata a pierwszym z nich, jedynym po ojcu swoim być chciał syn Antygonosa a pragnąc tego dorosłym być trzeba nawet mając lat piętnaście? Córka regenta, wdowa po Kraterosie wspaniałym była partią najlepszą i choć nie mogła, szczególnie piętnastolatka olśnić urodą niezwykłą, nie mogła być mu niemiłą. Zresztą Demetriusz znał już kobiety, rozkosz jaką dać mogą obie płci i wiedział, że małżeństwo nie stanie w poprzek pogoni za tym bez czego życie nie miałoby smaku.

Jednak Antygonos wygłosić musiał dopiero sparafrazowany cytat z Eurypidesa, by skłonić zwykle tak rozumnego syna do przyjęcia właściwie wdzięcznej postawy, jaką okazywać należy wobec tak szczęśliwego zrzędzenia losu. Poślubiając Filę przeistaczał się Demetriusz w jednego z nich, wstępując w ciepłe jeszcze po ciele Kraterosa łóżce stawał również jego następcą i może tego właśnie, nie chcąc przyznać nawet przed sobą, obawiał się syn Antygona, współzawodnictwa z nieżyjącym bohaterem, czego świadkiem i sędzią być miała córka jednego z największych, dojrzała kobieta, która mogła być jego matką.

Kiedy jednak o świcie wyruszał w kierunku Frygii miał już za sobą noc, gdy Fila ogarnęła go jak matka, uspokoiła i pozwoliła być swoim mężem, przyjmując rolę opiekunki jaką pozostanie już na zawsze wobec młodego herosa, stając się matką jego dzieci a wreszcie królową, coraz odleglejszą jak zapominana z wiekiem matka i tylko często budzić będzie się

gwałtownie, szukając na posłaniu Kraterosa, męża swojego przez kilka zimowych tygodni, który pozostawił jej syna, aby nie ujrzeć go nigdy.

Głos trąbki nieruchomieje w powietrzu. Zielonkawe światło dnia wypełnia się słońcem. Demetriusz kolanami zatrzymuje niespokojnego konia. Antygonos ręką daje sygnał wymarszu. Końcami palców Fila muska czoło dziecka. Nie patrzy w kierunku podmiejskich błoń, skąd z armią swojego ojca rusza na wyprawę jej młodzieńczy mąż.

.....

Głos trąbki słyszy oddalony o tysiące stadiów Eumenes.

Eumenes wie już, że wydano nań wyrok śmierci. Wie, że jest sam. Jest Grekiem wśród Macedończyków i zawsze, w każdym konflikcie jak w czasie pijaństw przypomniał mu o tym spadkobiercy Aleksandra. I zawsze w ostatecznym rozrachunku pozostanie samotny.

Był jednym z nich. Przemierzył cały szlak Aleksandra nie tylko walcząc, ale i uwieczniając go. Ramię przy ramieniu przez tyle lat zmagali się wspólnie z odwiecznymi wrogami, z obcymi sobie barbarzyńcami, z nieznanym, własną słabością i lękiem, który dopada najdzielniejszego, ze śmiercią. Tarcze osłaniały ich nawzajem, parowali ciosy wymierzane im wymiennie i zadawali je wspólnie. Te same namioty nie chroniły ich przed chłodem, dręczyło ich to samo pragnienie, to samo słońce pozbawiało ich przytomności. Wspólnie tracili nadzieję i umierali, aby odrodzić się w triumfie. Zawsze był wśród najmężniejszych, najbardziej niestrudzonych. A jednak pozostał kimś innym.

Patrzył na nich jak na prawdziwych Greków. A może bardziej chciał tak ich widzieć. Spadkobierców herosów spod Troi. Następców Milcjadesa, Leonidasa, Temistoklesa. Greków prawdziwych, gdy ci co mienili się nimi ciągle, pogrążeni w małych swarach, w pogoni za wygodą zatracili męstwo i dostojeństwo.

A jednak w tych nieustraszonych wojownikach, którzy podbili świat a greka stała się ich językiem, wielkie teksty poematów i tragedii znali na pamięć i posługiwali się nimi jak kluczem do spraw tego świata, nie mógł nie dostrzegać co czas jakiś barbarzyńców z północy, może dlatego, że pozostawał dla nich innym — Grekiem.

Przeznaczyli mu śmierć za to, że walczył o wypełnienie tego co uznawał za ostatnią wolę swojego wielkiego pana, testament Aleksandra, Macedończyka. Za to, że zabić musiał swojego przyjaciela. Wiedział już, że na nikogo liczyć nie może. Śmierć otaczała go zewsząd, choć ciągle jeszcze był panem Azji Mniejszej i właśnie dlatego nie mógł po prostu wycofać się, odnaleźć bezpieczeństwa i spokoju. Ale Eumenes nie pragnął spokoju. Właśnie wtedy, kiedy zrozumiał, że wszystko i wszyscy sprzysięgają się przeciw niemu, poczuł jak wypełnia go chłodny płomień.

To on był Grekiem. Był dziedzicem tych spod Troi, Maratonu, Platei. Był tym, który wyzwie los, stanie do walki już o siebie głównie i pokaże, że potrafi zwyciężyć na przekór wszystkiemu i wszystkim. On, Grek jedyny wobec świata Macedończyków. Zaciskając dłoń na rękojeści miecza czuł w sobie moc pokoleń.

Eumenes wiedział, że siłą jego stać się winna przebiegłość, wiedział, że musi być jak wąż, gdy na nic i nikogo liczyć już nie może. W sytuacji beznadziejnej, bez pieniędzy, gdy zaniepokojeni żołnierze żądali wypłacenia żołdu i o krok byli od buntu, potrafił zdobyć fundusze od własnych oficerów sprzedając im po kawałku satrapię Antygonosa i za opłatą pomagając zdobywać im ich nowe dziedziny na zdumionych i oszołomionych Frygijczykach.

Miłość opłaconej armii do wodza buchnęła jasnym ogniem. Wieść o ogromnej nagrodzie za głowę Eumenesa wywołała oburzenie jego żołnierzy, którzy z własnej inicjatywy wybrali tysiąc najdzielniejszych strzec mających bezpieczeństwa dowódcy.

Dziękując z przejęciem, wiedział jednak sekretarz Aleksandra, że miłość żołnierzy jego, jakby nie była szczerą, pieniądze i nowe włości wywołują uczucia najszczerze, nie sięgnie bitewnego pola. A starcie zbliżało się. Przekraczając góry Taurus, nadchodził jednooki olbrzym, zionący wściekłością za spustoszenie i złupienie Frygii, satrapii, którą przywykł był uznawać za swoją wyłącznie własność. Wkroczył do Kapadocji, ziemi Eumenesa z widowym projektem odpłacenia Grekowi tą samą monetą.

Eumenes wyruszył na przeciw niego. A jednak dysponując armią nieomal dwukrotnie przekraczającą siły wroga nie stanął do bitwy. Roz-

począł taniec wokół oddziałów Antygona to zbliżając się, to oddalając, jakby bawił się tylko. A doświadczony wojownik wiedział, że walka nie jest zabawą. I nie lęk był przyczyną zachowań Eumenesa, który nigdy do śmierci swojej, świadomie przyjętej, lęku nie okazał. Wytrawny gracz w sytuacjach krańcowych potrafił działać z brawurą przekraczającą granicę desperacji acz zawsze z dziwnym dla sytuacji takich spokojem, nonszalancją wręcz, jakby ujawnić chciał pogardę dla śmierci a może życia, zademonstrować, że jest kimś innym, śmiertelnikiem z innej materii uczynionym.

A więc po prostu nie wierzył żołnierzom swoim, nie wierzył, że na polu bitewnym stawić zechcą czoła wojskom Jednookiego, oni Macedończycy w imię Greka ich macedońskim prawem przez zgromadzenie żołnierzy skazanego na śmierć. Jak więc mógł myśleć wówczas o prowadzeniu wojny, zmuszony do kluczenia z armią, której nie wierzył?

Może po prostu wiedział, że skazany jest na klęskę, która jest tylko kwestią czasu, ale wiedział przecież, że wszystko jest kwestią czasu: życie, śmierć, godność.

Tańczył więc wokół wojsk Antygona, który jednak dopadł go wreszcie i zmusił do przyjęcia bitwy, kiedy wszystko stało się według przewidywań Eumenesa. Może dlatego, w tumanach kurzu palącego jak słońce na równinie orkyniańskiej, gdy w zamęcie i popłochu większość armii jego przeszła na stronę Antygona, co meldowali mu dopadając go na szarpiących się koniach zrozpaczeni wierni mu dowódcy, krzycząc, że wszystko przegrane, jakby wierzyli, że potrafi odwrócić wyroki losu, które zapadły już, na moment nawet Eumenes nie stracił spokoju. I gdy zorientował się, że szarża jego konnicy zmieniła się w masowe odstępstwo a raczej chaos, gdy dowodzący nią wykrzyknął, a słowa jego powtórzyli adiutanci, w momencie, gdy ruszać miał do ataku — Przyłączamy się do wodza naszego, wielkiego Antygonosa, który przybył, aby ukarać zdrajcę Greka — po czym skierował konnicę w bok, aby wycofać ją z pola walki, ale w zamieszaniu oddziały skłębiły się w jeden szamoczący się gąszcz koni i ludzi, jak najdalej chcących uciec z bitewnego zamętu, szczególnie, że naprzeciw nich pędziła kawaleria Antygona, która dopiero hamowana krzykiem zatrzymać usiłowała konie a jednak zderzyła się z oddziałami Eumenesa,

poderwał mały oddział swojej konnej gwardii i poprowadził oszołomionych żołnierzy, którzy nie mieli nawet czasu, aby pomyśleć nad szaleństwem wodza, w sam środek zamieszania.

W brunatnym zamęcie przesłaniającego słońce pyłu, pędził między rozpraszyjącymi się oddziałami i grupkami, aż dopadł wodza swoich jezdnych rozpierzchających się na wszystkie strony i krzyknął — brać go! — a za uzdę konia osłupiałego dowódcy schwytał, odruchowo chyba, jego własny adiutant, by za chwilę ogarnęli go gwardziści Eumenesa, porwani pewnością Greka, choć i oni znieruchomieli na chwilę, słysząc — powiesić go!

W nieskończenie długich momentach, w zamęcie i krzyku, przez swoich ludzi obserwowany ukradkiem z grozą i zdumieniem, nieruchomy, z konia oglądał Eumenes konstruowaną pośpiesznie z włóczni szubienicę, na której zawisł zdradziecki dowódca, gdy wokoło mieszały się nieprzytomnie grupki jego jeźdźców usiłujących wydostać się z zamętu i zmieszane oddziały Antygonosa próbujące na nowo sformować szyki a walki wybuchły przypadkiem ze strachu tylko w geście nieprzytomnej samoobrony i gasły równie prędko i przypadkowo.

Z chaosu tego wyprowadził Eumenes część swojej konnicy, której szarżą odepchnął na moment falangę Antygonosa, co pozwoliło mu zgromadzić kilka oddziałów piechoty i w jakim takim porządku wycofać się z walki.

A potem, idąc prawie bez chwili wypoczynku, zatoczył Eumenes koło powracając na pole bitwy, po raz kolejny wprawiając w zdumienie swoich żołnierzy, choć z wyczerpania nie byli już zdolni do myślenia o niczym, na dziwnie suchą równinę wśród ciał jak zdrewniałe łodygi, w ciszy, którą wydawało się odsłaniał krzyk ptaków, ciemną chmurą wznoszących się nad nimi. I choć, gdzieś niegdzie powtarzał ktoś — ten Grek jest szalony — bez szemrania zgarniali zeszywniałe trupy swoich towarzyszy na wielkie stosy a potem z ziemi i kamieni sypali kurchany, ślad pamięci po życiu, które godziny temu było jeszcze ich udziałem, które utracili, co rozumieli niejasno wznosząc kopce jak palce w bezradnym proteście wysunięte ku niebu.

Jednak niepokój narastał w nich. Znali Antygonosa i wiedzieli, że nie był on kimś kogo łatwo jest, albo można choćby wyprowadzić w pole i ścigając jak żarłoczny brytan dopadnie ich wreszcie, a posługa umarłym, która może była tylko żywych uspokojeniem, tym bardziej warta była tylekroć mniej niż życie samo. A gdy Eumenes rzucił pierwszą pochodnię na stos umarłych i kłęby dymu czarnym wezwaniem przez drżące powietrze poszybowały w niebo, jasnym stało się, że Grek śle sygnał Jednookiemu, który nadejście nieunikniony jak śmierć. Dlaczego robił to ich wódz, nieruchomo patrząc w ogień, ze spokojem, który wydawać mógł się zaprzeczeniem szaleństwa, gdy na horyzoncie pojawili się jeźdźcy zbliżając szybko i już nie było żadnych wątpliwości, że są to żołnierze Antygona?

Przecież Eumenes potrafił uspokoić ich i przelać w nich pewność, jeżeli była to pewność. Wśród krzyku żołnierzy porzucających łopaty, gromadzących się w popłochu ukazując sobie nadciągających jeźdźców, głos jego brzmiał jak metal uderzający o tarczę. Wołał, że są to zwiadowcy a więc od przybycia Antygonosa dzieli ich co najmniej dwie godziny, niech więc biorą się prędko do roboty, aby była ona skończona na czas.

Uwierzyli mu jak dzieci ojcu, bo tylko to mogło być ich nadzieją i nikt nie zastanawiał się, skąd bierze się jego pewność. Dokończyli sypania kurchanów i oddalili się w ustawionych przez niego nieśpiesznie oddziałach, gdy wielkie stopy dopalały się już. Nikomu nie przyszło do głowy, że pewność jego może być tylko maską obojętności, świadomością klęski, w której mniej ważne jest kiedy nastąpi, ważniejsze jak i co wydarzy się przed nią.

Pomyśleć mógł o tym Antygonos, który powrócił na pole bitwy, kiedy stopy dymiły jeszcze. Ze zdumieniem Demetriusz zobaczył nieomal uśmiech na twarzy ojca, patrzącego na wyrosłe na równinie kurchany, gdy rozsypani wokoło błędząc wśród oddychających ciemnymi obłokami stosów popiołów żołnierze, coraz głośniejsze szeptali o szaleństwie Greka, ale w głosach ich słychać było trwożny nieomal podziw.

To samo skrzywienie ust ojca widział Demetriusz, gdy na wąskiej ścieżce prowadzącej do ich obozu wśród skał od zawieszonych nieomal na stoku murów Nory, ukazał się konny Eumenes w otoczeniu kilkoosobowej

świty. Ten ojcowski grymas odczytywał wtedy Demetriusz jako objaw zrozumienia tego co wydawać mogło się niezrozumiałe, a przecież i na twarzy ojca odnalazł moment zaskoczenia, gdy samotny w ich obozie, pierścieniu wojsk otaczającym jego maleńką fortecę, ostatnie swoje schronienie, Eumenes podyktował im warunki pokoju, żądając wszystkiego co posiadał jako najbliższy Perdikkasa — regenta wódz, Kapadocję i posiadłości wokół niej...

— Na co Eumenes liczyć może?! Odważył zapytać się później ojca, wiedząc, że Grek liczyć nie może na nic, a ojciec odpowiedział mu wówczas z namysłem — Liczy na siebie, los, albo nie liczy już na nic a jest zbyt godny by być kimś mniejszym niż był.

A jednak po pół roku dobrowolnego zamknięcia w Nora, gdzie, jak Demetriusz dowiedział się później, nie mogąc liczyć na nic, wbrew wszystkiemu, przygotowywał się do życia — walki, ćwiczył ludzi i konie konstruując dla nich przemyślnie urządzenia, Eumenes doczekał się. Po śmierci Antypatra Antygonos przyjął warunki Greka oczekując tylko przysięgi na wierność królom, która składała się tak, że była przysięgą na wierność Jednookiemu. Ceniący swoje słowo Grek, o czym Antygon wiedział tak dobrze, odnalazł rozwiązanie inne, czego Jednooki nie przewidywał jednak, i opuścił swoje dobrowolne więzienie przedstawiając oblegającym go ludziom Antygona warunek spełniony czyli podpisaną przysięgę a nikt z nich nie sprawdził, że tekst uległ zmianom nieznacznym, ale wystarczającym, aby Eumenes mógł czuć się wierny następcom Aleksandra wyłącznie, tym którym zawsze chciał być wierny.

Kiedy Jednooki otrzymał zobowiązanie, Grek był już nie tylko panem Kapadocji, ale wodzem, który wyjść potrafi z każdej opresji a więc znowu jednym z nich i to ulubieńcem bogini losu a więc i żołnierzy ciągnących doń zewsząd.

Tej lekcji Demetriusz miał nie zapomnieć do śmierci. To wtedy zrozumiał wielkość jako odwagę stanięcia na przeciw Tyche samej, nie przeciw przewadze, nieskończonym zastępom wrogów, ale przeciwko losowi, który wystawia na próbę nie pozostawiając nadziei żadnej, pozbawiając wszelkiego oparcia i odbierając wszystko a cnotą męża jest wyzwąć

kapryśną boginię jakby wszystko było do wygrania i zmusić ją wrzście do posłuszeństwa jak zrobił to Eumenes Grek.

Taką naukę z nieskończonej historii sekretarza Aleksandra wysnuł Demetriusz wtedy, gdy wchodził był ledwie w życie i wszystko było dlań jeszcze możliwe i wiedzy takiej oczekiwał młody bóg, jak mówiono o nim, który wierzył w swoją boskość, bo trzydzieści sześć lat później postarzały gwałtownie i opasły Demetriusz w pętli mokradeł i rzeki Orontes, rzucając, któryż to raz, kośćmi, całe życie było szeregiem rzutów tylko a może rzutem jednym a potem mozolnym, pełnym pomyłek i nieskończonym odczytywaniem wzoru czarnych punktów na białych bryłach, wtedy Demetriusz myśleć mógł, że historia Greka była dlań wskazówką na jego drogę, z której nie umiał skorzystać, była przypowieścią o daremności wysiłków i wielkości tego, który z wiedzą ową żyć potrafi a więc walczyć — tylko czy mógł myśleć o tym nieprzytomny już ciągle nieomal, ciężki i pijany Demetriusz, śledzący kości jakby rzut dający mu wszystkie punkty przenieść potrafił go poza obręb jego zamknięcia i zwrócić mu wielkość, rzut, który nie nadszedł i nie nadejdzie.

Bo czy, gdy dla wszystkich sukces Eumenesa był olśniewający i nie pozostawiający żadnych wątpliwości, był on takim dla samego bohatera? Czy, nie z powodu wątpliwości co najmniej, gdy stał się już z woli nowego regenta Poliperchona wodzem wszystkich wojsk macedońskich w Azji, zwierzchnikiem najwspanialszych Srebrnych Tarcz marzenia wódzów i depozytariuszem skarbu królewskiego, zorganizował komedię uczestnictwa boga Aleksandra w działaniach żywych, inscenizację, którą rozpoczął sen jego opowiedziany na wstępie wojskom wszystkim o objawieniu się Aleksandra Wielkiego, obiecującego osobiście przewodniczyć radzie wódzów i prowadzić wojska swoje? Czy nie pamiętał, że chociaż otoczony aurą sukcesu i odzyskanego splendoru pozostał ciągle dla Macedończyków Grekiem i to takim, na którym ciąży wyrok zgromadzenia wojsk, wyrok nie wiadomo czemu nie odwołany przez nowego regenta bo zapomnienie w sytuacji takiej trudno brać w rachubę i bardziej myśleć należało o atucie jaki pozostawiał sobie Poliperchon wobec niebezpiecznego Greka, chociaż, a może tym bardziej, że sojusznika głównego?

Wyrzekając się więc oficjalnego dowództwa i zgadzając na nieustanne niesnaski w pozbawionej zwierzchnika radzie wodzów, wiedział, że tylko w ten sposób uniknie przeciwstawienia siebie, Greka, Macedończykom, wiedział po jak wąskiej grani balansuje nad przepaścią i jak zawilej a nieprawdopodobnej do wygrania gry z losem się podjął. Wiedział i czuć mógł podniecenie wojownika, który samotnie zdecydował walczyć przeciw wszystkim, bo może znał tylko walkę i musiał podjąć ją bez względu na okoliczności, gdyż ona była jego jedynym przeznaczeniem.

Toteż, po opanowaniu Mezopotamii, po przeciągnięciu na swoją stronę macedońskich satrapów Azji, mniej obawiających się choćby niepokonanego Greka niż Antygona, który nie tolerowałby długo samowładzy do jakiej zdążyli już przywyknąć, gdy nad rzeką Koprates w zabójczym słońcu irańskiego lata stanął Eumenes na przeciw Jednookiego, mógł wreszcie wydać mu bitwę i zwyciężyć.

Bitwę tą zapamiętał Demetriusz jak w gorączce przeżywany koszmar. Odbłyśki światła w metalu stały się fioletowe, rozpalona kula słońca rozmnożyła się, rozsypała na nieskończone ogniska żaru mieniające się na ziemi i w powietrzu, gdzie płomieniem stawał się każdy pyłek jak było nim każde ziarnko piasku. Widział konie z dala od przeciwnika z nagłym charakterem padające przygniatając jeźdźców, którzy nie potrafili się uwolnić, wojowników bez śladu rany chwytających się za głowę jakby chcieli zerwać ją sobie z ramion i w drgawkach nieruchomiejących na ziemi. Widział usta poruszające się jak w krzyku i nie wiedział czy oni nie są już w stanie wydać głosu a może usiłują jedynie złapać powietrze, które dławi tylko parząc płuca jak rozpalony metal, czy może on przestał już słyszeć... Widział żołnierzy potykających się o rannych przeciwników, których nie byli w stanie dobić... Odbijał ostrza, zadawał ciosy nie do końca pewny komu, pędził naprzód, nie wiedząc gdzie, aby nieomal w tym samym czasie zawracać w tłumie ni to biegnącym ni ślaniającym się... I słyszał głos ojca, jedyny, który przebijał się przez żar jak zwoływał rozsypanych, półprzytomnych żołnierzy i organizował odwrót czego Demetriusz domyślił się później...

Właściwie dalsza droga była dla Demetriusza jak przedłużenie koszmaru bitwy z krótką przerwą na nocną naradę.

W czarnym, ciężkim upale irańskiej nocy Antygon zdecydował, że do Medii przejdą przez góry Kossajów. Dowódca, który nieśmiało mówić zaczął, że zwyczajowo należy opłacić się góralom, zamilkł pod spojrzeniem jednego oka Antygonosa. Królewska droga do Ekbatany zajęłaby ze czterdzieści dni. Przez góry szli dni dziewięć.

Droga zmieniła się w ścieżki, pnące się wśród gładkich ścian i przepaści. Zmęczenie, które nieśli ze sobą znad Koprates zatykało oddech a jak na równinie irańskiej słońce tak tu wszędzie byli Kossajowie. Przez dziewięć dni towarzyszył im wysoki świst strzał. Ranni spadali w przepaście pociągając za sobą żywych, krzyk bólu i śmierci trzepotał wśród skalnych ścian powracał echem i trwał bez przerwy przez dziewięć dni i nocy zanim nie przeszli ostatniego łańcucha. Krzyk porywanych przez lawiny, których kości miażdżyły kamienie, kwik koni osuwających się w przepaść, niekiedy dobijanych, mieszał się z wrzaskiem zepchniętych przez ciężkie ciała a nad wszystkim unosił się rozpaczliwy i pełen trwogi ryk słoni, które walały się w otchłań gniotąc i zagarniając ludzi i towarzyszący im chóralny, bojowy okrzyk górali.

Padali z wyczerpania. Sam Antygon narzucał tempo. Ciągnął przy pysku swojego konia, aby po jakimś czasie rzucić wodze adiutantowi, przedrzeć się na sam przód prowadząc pochód jakby niepodległy prawom ciała, znowu zbiegał w dół, poganiał następnych i wymuszał szybkość marszu, on, ciężki olbrzym, który zbliżał się do sześćdziesięciu pięciu lat. — Cyklop — ponuro i z lękiem mamrotali przyśpieszając kroku.

Jednak to nie zmęczenie a bezsilność uderzała w czaszkę Demetriusza jak łoskot spychanych przez Kossajów głazów. Ranni, żyć jeszcze mogli w dnach rozpadlin, niewidoczni po upadku, pozostawali za nimi bez pomocy. Ich jęk mieszał się z krzykiem i zawodzeniem innych. Widział żołnierzy zaczepionych o występ skalny i czas jakiś trzymających się na skraju życia, nim omdlałe ręce nie odmówiły posłuszeństwa lub dosięgnęły ich strzały górali a oni, świadkowie ich ostatnich chwil nie byli zdolni uczynić nic. Widział dwóch, którzy zsuwając zdołali zatrzymać się na półce ska-

lnej i nawet zdążyli podnieść się, nim Kossajowie, którzy wychynęli nie wiadomo skąd, rozsiekali ich na sztuki na oczach całej armii.

A kiedy zeszli z gór i wydawało się im, że lata minęły od żaru równiny nad Kopratesem, której morderczy zgiełk tętnił im w uszach ciągle jak łomot sypiących się na nich kamieni w krzyku Kossajów i krzyku ich towarzyszy, którym nie potrafili pomóc, małomówny i groźny Antygonos osobiście chodził między nimi, chwalił ich, pocieszał, napominał i obiecywał dary, łupy i zwycięstwo, tak, że zapominać zaczęli o minionych dziesięciu dniach a chłodzona wiatrem od gór medyjska dolina stawała się obietnicą jak obietnicą była oddana im przez Aleksandra ziemia cała.

Minął czas jakiś zanim Dmetriusz czuć zaczął podziw należny ojcu za uczynienie z nich na powrót armii a wcześniej uratowanie przed klęską i jeszcze upłynął, zanim wbrew swojej woli nie pomyślał, że nawet ojciec jego nie potrafiłby prowadzić wojny skrzepowany radą satrapów, którzy coraz mniej byli już macedońskimi wodzami a przywiązanie do nowych dziedzin czyniło ich tchrzórzliwymi, nie potrafiłby Antygonos mimo odrzucania najlepszych jego projektów wieść kampanii uzgadniając każdy krok z kłótliwą i rozrywaną sprzecznymi interesami gromadą, czego nie mogli nie widzieć żołnierze zmieniając się z armii w zgraję targującą się z wodzami, nawet jego ojciec nie potrafiłby w warunkach takich zwyciężać. Nie pomyślał wtedy Demetriusz, że dokazywał tego Grek, obcy, czego Macedończycy nigdy nie zapomnieli do końca.

Bo znowu musieli cofnąć się przed Eumenesem. Po północy, gdy nie byli w stanie już walczyć a w jasnym świetle księżyca Demetriusz zmusić usiłował konia do galopu wokół hetajrów, aby porwać ich raz jeszcze do ataku, swój zdziesiątkowany oddział, pierwszy oddział, którym dowodził a koń ledwie szedł w białej poświacie między chwiejącymi się jeźdźcami jak w somnamubulicznym transie pozwalającym im nie spać i młody wódz nie wiedział czy żyją jeszcze, czy nie powtarza tylko gestów w królestwie cieni nim herold ojca nie odwołał ich, tylko nieco bardziej znużonych od przeciwników, którzy nie mieli sił podążyć za nimi.

Eumenes wyprowadził ich w pole i pierwszy ruszył do Gabieny zmuszając ich do forsownego pościgu przez noc poprzednią i przyjęcia bitwy na jego warunkach. I znowu wygrał, ale nie pokonał ich.

A gdy nadeszła zima, poderwał Antygon swoje oddziały i, aby zaskoczyć przeciwnika, omijając drogi, jak wcześniej przez krainę Kossajów, ruszył przez pustynię, szklącą się w nocy niczym zamarzniete jezioro, w którym odbija się pętla gór. Przecenił jednak swoich ludzi licząc u nich na nieomal ze swoją porównywalną wytrzymałość, a może przecenił strach, który potrafił budzić. Szóstej nocy po pięciu niekończących się bez ognia, w mrozie, którego nie potrafiło wypalić spod skóry słońce dnia, wbrew surowemu zakazowi buchnęły z ich obozu płomienie ognisk wieszcząc Eumenesowi nadciągających wrogów.

Na równinie Gabieny zwyciężyć mógł Eumenes. Tym razem ostatecznie, miażdżąc swojego przeciwnika i zostając panem Azji. W kłębach słonego piasku, który wznosił się w chmury i przesłaniał wszystko, tak, że nie wiadomo było kto wygrywa, kto cofa się, a kto idzie naprzód, weterani Aleksandra niezwyciężona falanga Srebrnych Tarcz raz po raz odpierali ataki konnicy dowodzonej przez Antygonosa i Demetriusza. A kiedy Eumenes przygotowywał się do zadania ciosu ostatniego, poprowadzić chcąc Srebrne Tarcze do decydującego uderzenia, oskrzydłając jednocześnie kawalerią oddziały Jednookiego, w zamieszaniu Antygon zmienił kierunek szarży z tumanów kurzu wypadając na oddział Peukestasa, satrapy Persydy, najpotężniejszego z azjatyckich panów, który uważał się za konkurenta Eumenesa.

Oślepiiony słonym kurzem, widząc na przeciw siebie w wi-brujących płomykach piasku konnicę Antygona prowadzoną przez kształt ogromny, w którym satrapa Persydy domyśleć mógł się samego Jednookiego, przypuszczając może, że Antygon złamał już opór Srebrnych Tarcz, zarządził Peukestas odwrót w zamęcie przeradzający się w bezładną ucieczkę. Może satrapa Persydy, stchórzył po prostu, w bitwie, kiedy zatracił kierunki nie widząc ani nie wiedząc nic pewnego a wyłonił się przed nim olbrzym, któremu nikt nie potrafił stawić czoła? Może zbyt wiele czasu upłynęło od kiedy Peukestas za swoje sukcesy i męstwo wojenne otrzymał

Persydę z rąk samego Aleksandra i wspaniałości posiadanej dziedziny kazały mu tak lękać się jej utraty, że uczyniły zeń tchórza? A może zbyt dawno nie wystawiał męstwa swego na próbę a odwaga to tylko umiejętność pokonywania strachu, którą ćwiczyć trzeba jak wszystkie inne przymioty?

Uciekający porwali inne oddziały Eumenesa a on sam poderwać musiał całe swoje skrzydło, weteranów Aleksandra, by stanąć na drodze zmieszanego tłumu umykającego w chaosie i osadzić go, opanować panikę i w zamęcie wielkim, w burej mgle słonego pyłu, gdy nie wiadomo było co jest zwidem oślepionych źrenic a co kształtem wroga wznoszącego do ciosu miecz, raz jeszcze zatrzymać konnicę Antygona a potem w ponownie sformowanych oddziałach wycofać się do obozu. Tam dopiero zrozumiał, że wykorzystując zamieszanie Antygon zagarnął domy ruchome Srebrnych Tarcz, ich tabory.

Greki wiedział zawsze jak niebezpieczne są tabory. Jak groźne dla wojownika jest posiadanie, lęk przed utratą czego pętać może mu ręce. Lata wcześniej, gdy wojna z Jednookim zaczynała się ledwie, zawiadomił przecież Antygona, powodowany wyłącznie dawną przyjaźnią, jak deklarował w poselstwie, żeby przeciwnik na czas wycofał tabory, które on, Eumenes zdobyć może a nie chce. I tylko Antygon roześmiał się, rozumiejąc doskonale intencje Greka.

Teraz, gdy związany widział nad sobą jedyne otwarte oko swojego drucha dawnego i przeciwnika od sześciu już lat, pomyśleć mógł, że miał rację i nic z tego nie wynika bo wszystko skończyło się już dla niego jak mógł to przypuszczać, gdy walkę rozpoczął. Pomyśleć mógł, że nawet za swoje domy ruchome nie sprzedaliby go wojownicy Srebrnych Tarcz, gdyby był jednym z nich, Macedończykiem i o ile łatwiej było prehandlować im swą sławę za wszystkie od lat tylu zdobywane dobra, gdy wódz, którego wydali był obcym, Grekiem tylko. Mógł żałować, że nie zginął w walce, przed którą nigdy się nie uchylał, ale spotkało go najgorsze. Mógł powracać do momentu sprzed kilku zaledwie godzin, gdy w nocy, obalając jego przybocznych do namiotu wdarli się weterani Srebrnych Tarcz jakby czekali na jego ciężki sen a gdy zerwał się zdążyli obezwładnić go nim wyszarpnął miecz, przełamać opór jego mięśni, zacisnąć sznury na wykręconych rę-

kach... Po raz pierwszy bezradny, na łasce wroga a raczej przeciwnika tylko, mógł poczuć ogromne zmęczenie i spokój, gdy nie musiał wysilać umysłu, ani ciała, nie trudzić się ani niepokoić bo nic już nie zależało od niego i wszystko było skończone.

— Zabić Greka — nawoływali żołnierze. — Trzeba go uśmiercić — spokojnie powtarzali niektórzy spośród Antygona wodzów. Chmurny Jednooki nie mówił nic. Nie rozmawiał z jeńcem i tylko wpatrywał się weń czas jakiś, patrzyli na siebie bez słów, gdy związanego Eumenesa przywieziono do obozu. Na odchodnym rzucił dowódcy straży — Pilnuj go, jakbyś pilnował lwa, albo dzikiego słonia!

Tłum wznosił pięści i krzyczał. Czerwone, nabrzmiąte gęby, chrapliwy ryk, węzły żył na przegubach. Wróg, którego nie mogli pokonać lat tyle, był w ich rękach, wreszcie na ich łasce. Teraz oni mogli decydować o jego życiu i decyzję taką podjęli. Chcieli jego śmierci, krwi Greka.

Tłum jak w Triparadejsos, gdy żołnierze gotowi ukamieniować byli wodzów z powodu pomówień jednej kobiety, tłum, który potrafił być tchórzliwy bez powodu, tak jak waleczny potrafił być kiedy indziej w takich samych warunkach, tłum bezmyślny, okrutny i niestały; tłum na przeciw nieruchomej sylwetki Greka, który zdawał się go nie zauważać — Demetriusz znienawidził wówczas swoich żołnierzy i gdy chwilę potem w namiocie zapalczywie tłumaczył ojcu, że powinien zachować Eumenesa przy życiu, z równą pasją dowodził, że wódz nie może ugiąć się przed wrzaskiem tłuszczy.

— Czyżbyś porównywał się z nimi — Stary wódz zdziwił się nieomal.

— Oni są kim innym i do czego innego są stworzeni. Ty jesteś po to, aby ich prowadzić a znać ich powinieneś po to by wiedzieć do czego są zdolni i co robić trzeba, aby zawsze poszli tam, gdzie ty wskażesz im drogę. Nie zajmuj się ich duszą. Czy budownik dumać winien nad losem kamieni czy nad kształtem wznoszonej budowli? Nie możesz tylko żądać od nich tego czego sam nie jesteś w stanie dokonać.

Lata później, starzy żołnierze wspominać będą Jedookiego jako surowego wodza, który jednak pamiętał każdego nieomal żołnierza i jak oj-

ciec wiedział czego mu potrzeba. Może wspomnienie to rosło wobec Demetriusza króla owiniętego purpurowym płaszczem, frunącego wokół władcy odsłaniając niebieską tkaninę wyszywaną w nieskończone konstelacje gwiazd? Króla, który kazał wdzierać się na mury Teb bez względu na ilość trupów wypełniających fosy i sam nieomal nie widząc spod krwi, gnał rannych pod tebańskie strzały?

Antygonos, stary cyklop, na śmierć z ręki wroga pozostawi go syn jego kochany, w odsiecz którego król jednooki wierzył będzie do końca.

Młody Demetriusz przygląda się Eumenesowi, który ze spętanymi rękami, w otoczeniu straży, przez rozsunięte poły namiotu patrzy na obóz zwycięzcy. Jego twarz nie zmieniła się wiele, mógł myśleć sym Antygona, jest może nawet piękniejsza, dopełniona rylcem czasu.

Eumenes odwraca się nagle i jak niegdyś uśmiecha niespodziewanie do syna swojego wroga. Uśmiech przechodzi w skrzywienie, skurcz twarzy.

— Powiedz ojcu, że jeśli nie ma odwagi wypuścić mnie jak wspaniałomyślny, obdarowany łaską losu, niechaj oszczędzi mi czekania i każe zabić od razu.

Czy Eumenes nie chciał wystawiać się na próbę oczekiwania na śmierć, on, który wszystkie próby życia przeszedł bez okazania śladu lęku, chciał, aby skrócono mu tę ostatnią? A może liczył raz jeszcze na coś, ostatnią isierkę szczęścia, którego nie miał nigdy?

Demetriusz słyszał wyraźnie pytanie dowódcy straży i milczenie ojca, który nie chciał wydać wyroku na swojego dawnego drucha, może niezwyciężonego wodza, może na jednego spośród nich, którzy mieli być dla żołnierzy kim innym, czego dowiódł nie darowując zdrajcom Eumenesa. Wojownicy jego już na zawsze zapamiętać mieli krzyk wydanego płomieniom Antygenesesa, dowódcy Srebrnych Tarcz. Rozesłanie po najdalszych prowincjach Azji weteranów Aleksandra, najwspanialszych jego żołnierzy, było także sygnałem nowego czasu i nowego porządku. To Antygon stanowił będzie nowe prawa. Skończył się czas Aleksandra, który tylko niewiele przeżył swego twórcę. Nadchodzi czas jego spadkobierców — diadochów.

Demetriusz nie wierzył przecież, że strażnicy zdecydowali się zabić Eumenesa bez rozkazu ojca jego, a Antygon rozkazu tego nie wydał. Czy więc domyślili się żołnierze co najwygodniejsze byłoby dla ich wodza a może nawet zasygnalizował im to sam Antygon?

Zniekształcona twarz uduszonego wygładziła się, zniknął prawie siny obrzęk, wśród milczących nagle żołnierzy, w ciszy, którą muska trzask płomieni ogarniających belki, na stosie, martwy Eumenes patrzy w niebo.

Wspaniały namiot. Złoty tron wewnątrz. Na nim zbroja, berło i diadem Aleksandra. Spełnia się sen Eumenesa.

Na skale wykute gniazdo Nory. Konie tańczą na zadnich nogach nie mogąc przednimi dosięgnąć posadzki. Światło gwiazd ścieka w ogniska armii wokoło.

Oczy Kraterosa toną w niebie.

Dopalił się stos. Srebrna urna z prochami Greka rozpoczyna uroczystą drogę do Kapadocji. Dziedziny Eumenesa.

.....

Demetriusz jest już dojrzałym mężem. Wie, że nigdy nie należy przyjąć klęski bo dopóki nie wyrazi nań zgody, nie stanie się ona klęską prawdziwą, pozostanie porażką jedynie, chwilowym obrotem nieprzychylnego losu.

Cztery lata później, w miasteczku Azotos pomyślał znowu o Eumenesie. Było ich kilkudziesięciu, którzy nie pamiętając o ranach i bólu padali i zasypiali przysiadając na kamieniach uliczek, opierając o mury, na klepisku podkładając tylko rękę pod głowę. Przed świtem, gęsta, letnia noc była chyba ciemniejsza niż zwykle, choć gwiazdy niektóre bladły a niektóre odeszły za czarną krawędź widnokregu a może tylko nie widział ich tracąc przytomność ze zmęczenia a nie zasypiając jedynie z rozpacz, którą zwyciężyć usiłował wspominając Greka.

Szale bitwy wydawało się mu przechalają na jego stronę, kiedy zdecydował się rzucić na Ptolemeusza swoją broń straszliwą, słońce. Kolesy kalecząc się o powiązane łańcuchami kolce, ranione strzałami i pędzone przez piechotę Ptolemeusza, zawróciły prosto na konnicę syna Antygona. Popłoch buchnął jak żar południowego słońca. Uciekali już nie tylko ci pę-

dzeni szarżą nieprzytomnych słoń. Panika ogarnęła całą konnicę Demetriusza, a w zamęcie uciekających łamać zaczęła się jego falanga porażona samym widokiem klęski. Znowu widział to czego świadkiem był już wielokrotnie: przypadek, który nie musiał zdecydować niczego zamieniał karne i bojowe oddziały w oszalałą masę pędzącą w bezrozumnym popłochu choćby na śmierć.

Osobiście, w otoczeniu swojej gwardii zatrzymać usiłował konnicę a potem rozsypującą się falangę aż zrozumiał wreszcie, że i dla niego jedynym ratunkiem pozostanie ucieczka. Porządkując w oddziały pozostałe grupy swoich konnych przybył do Gazy licząc, że w mieście tym na nowo zorganizuje pozostałe mu wojska i w oparciu o mury miejskie stawić potrafi ponownie czoła Ptolemeuszowi. Ale miasto zmieniło się w buchający kotł. Żołnierze w zamęcie nie tylko porwać usiłowali pozostawiony tu swój dobytek. Rozpoczął się pośpieszny, gorączkowy rabunek przerywany falami ucieczki, gdy nie wiadomo skąd pojawiała się ogromniejąca w krzyk pogłoska o armii Ptolemeusza widocznej na horyzoncie. W wyciu trąających się na ulicach ludzi, koni, zwierząt jucznych, w stosach trupów zdeptyanych, którzy blokowali i tak za wąskie bramy, miasto wyludniało się. Demetriuszowi znowu pozostała tylko nieprzytomną ucieczką przez noc całą do Azotos.

Lecz kiedy przyjmował od Ptolemeusza nie tylko poselstwo ze zgodą na odebranie zwłok poległych i wyprawienie im należnego pogrzebu, ale i korowód wozów, w którym pan Egiptu zwracał cały w bitwie pod Gazą zdobyty łup, niewolników nawet a także wziętych do niewoli wodzów Demetriusza i w liście syn Antygona czytał, że przecież nie prowadzą wojnę dla zdobyczy a jedynie w imię sprawiedliwości, którą naruszył ojciec jego, czując skurcz bezsilnej złości, Demetriusz pozostał spokojny. Krótki moment wściekłości spowodowało uczucie podziwu, który musiał poczuć przyjmując gest Ptolemeusza.

To dlatego radość największą sprawiła mu nie noc, kiedy spadł na obozowisko lekceważącego raz pobitego młokosa wodza Ptolemeusza Killela i prawie bez strat wziął do niewoli większość armii a rozpędził resztę, ale gdy mógł już za zgodą ojca odesłać Ptolemeuszowi jeńców znacznych,

zdobyte łupy a nawet dary by przyćmić gest pana Egiptu. Słońce Syrii grzało jak spojrzania wszystkich, którzy podziwiali go. Tyche jest niestała, lecz życie własne wykuć można jak podobiznę na medalionie, która pozostanie taka bez względu na czas, jak wspomnienie o Eumenesie Greku.

Triumfował, gdy spotkał się z ojcem i dopiero Antygonos, który słowa wyrzutu nie przekazał mu za wygubienie armii całej w pierwszej dowodzonej przez niego bitwie, mimo, że doradcy i sam Pejton, imiennik zabójcy Perdikkasa, Jednooki pozostawił go przy młodym wodzu by czuwał nad jego krokami, odradzali stawienie czoła przeważającej armii i to armii dowodzonej przez Ptolemeusza; Antygonos, który przemilczał utratę tylu żołnierzy, śmierć drucha nieocenionego — Pejtona, teraz, po zwycięstwie, przywołał do porządku zachwyconego sobą syna.

To klęska pod Gazą zmusiła Antygona by osobiście stanął na czele wojsk, które powiodł do Syrii. I dlatego Seleukosowi udać mogła się szaleńcza wyprawa do Babilonu, którą podjął po zwycięskiej bitwie. Z tysiącem ludzi, których ofiarował mu Ptolemeusz, bo na mniej nie pozwoliłaby panu Egiptu przyzwoitość a może dobre wśród ludzi imię, rzecz cenna, za którą czasem i płacić warto, a więcej nie zdecydowałby się nigdy poświęcić w cieniu szans pozbawionym przedsięwzięciu jak widział babilońską awanturę zawsze rozsądny Ptolemeusz, a więc z garstką taką ruszył Seleukos na podbój nieskończonych przestrzeni Azji, gdzie nie licząc oddziałów Antygona każdy satrapa dysponował wielokrotnie przekraczającą siły jego armią.

I może stary Antygon nie przejąłby się, gdyby wyprawę taką podjął ktokolwiek inny, gdyby nie to, że prowadził ją Seleukos. Od czasu, gdy w Triparadejsos zagłębili się w rozwścieczoną tłuszcę ludzką, zrozumiał, że są tożsami, wybrani, aby panować, czynić sobie poddanym przeznaczenie. Widział to pięć lat po wydarzeniach w syryjskim obozie, w Babilonie, patrząc na ostrą twarz i lśniące oczy Seleuka, który odważył się mu przeciwstawić; jemu, najpotężniejszemu tamtego świata po pokonaniu Eumenesa, po okiełznaniu wojsk, gdy upokorzył i rozpędził po Azji armii elitę, obnoszące z dumą swą legendę i gwarancję jej — niezależność, Srebrne Tarcze, a wodza ich Antygenesesa spalił żywcem patrząc na jego agonię, aby

każdy wiedział już jaka jest kara za zdradę a więc odstąpienie wodza swego bez względu na to kim jest, a może także oddając hołd zdradzonemu — przyjacielowi dawnemu, jeśli walki z nim wieloletnie nie wykruszyły z serca Jednookiego wspomnień wspólnych; jemu, który na śmierć skazał najpotężniejszego strapę Azji Pejtona i wiadomo było dla wszystkich, że to on stanowi prawa i w swoje potężne ręce przejąć chce Aleksandra dziedzictwo, jemu patrząc w oczy Seleukos odwoływał się do swoich praw a Antygonos starłby go nieomal nie zauważając, gdyby miał przed sobą kogoś innego a nie kogoś kto stał się przed kilku laty kimś na podobieństwo jego brata krwi, co potwierdzał teraz spoglądając mu spokojnie w oczy, do czego może on jeden miał prawo, mógł pomyśleć niespodziewanie dla siebie jednooki wódz.

Dlatego chyba pozwolił mu uciec a teraz obawiał się czy nieprawdopodobna wyprawa jemu właśnie się uda. I dlatego zganił syna w odpowiedzi na radość jego mówiąc — nauczyłeś się walczyć jak mężczyzna, teraz musisz nauczyć się jak mężczyzna myśleć.

Demetriusz przejął się tym na moment jedynie, dlatego wyłącznie, że przejmował się każdą ojca przyganą. Antygon był dlań przecież nie tylko wzorem jak dla rzeźbiarza wzorem jest posąg doskonały innego dłuta, ale kimś najbliższym, opiekunem, rosnać pozwalającym pod osłoną swoich potężnych dłoni, o czułość których nikt inny nie mógłby podejrzewać.

Jednak sukces Seleukosa, o którym dowiedzieli się już niedługo: zdobycie Babilonu i przeciągnięcie na swoją stronę satrapów Azji, nie zaniepokoił Demetriusza. Można było pomyśleć nawet, że wręcz ucieszył, jak źródłem satysfakcji jest ujawnienie się wielkości konkurentów, która stanie się udziałem ich zwycięzcy. Może pociągała go wtedy walka sama jak nieprzytomny pościg przez pustynię za niepokonanymi dotąd w swoich rewirach mieszkańcami jej — Nebateienami, gdyż panowanie nad światem uważał za oczywiste przeznaczenie swoje a osiągnięcie go było tylko prób szeregiem, które złożą się na opowieść o nim zaćmiewającą wszystkie dotychczasowe a nawet niedawną, największą z wszystkich epopeję Aleksandra Wielkiego. Dlatego mógł cieszyć się kolejnymi próbami jak szere-

giem przed Heraklesem stojących prac, których wymagania dadzą mu wieczną wielkość.

Z radością w sercu ruszał na Babilon po okiełznaniu ludów pustyni. Cieszył się, choć ojciec zobowiązał go do szybkiego powrotu wyznaczając nieprzekraczalny termin połączenia się ich wojsk. Tym szybciej więc Demetriusz dotrzeć chciał na miejsce przeznaczenia i pędził nieprzytomnie, wprawiał ludzi w stan zmęczenia graniczący z półśnem, gdy wykonywali rozkazy nieomal bez świadomości, niezdolni do myśli ni sprzeciwu.

Szybkość działań była atutem, za który chwalili go doświadczeni żołnierze. Wiedział o tym, ale chyba nie przyznał przed nikim, że inną przyczyną tego była chęć zapomnienia o sobie, zatracenia się w pędzie i pośpiech gnający go na pole bitwy, by tam, wobec śmierci, w którą nie wierzył prawie, przeżyć ekstazę panowania.

Bez chwili odpoczynku, gdy odsłoniły się przed nimi cienie drzew nad wielkim Eufratem, przeprować kazał się na brzeg drugi, choć wiedział już, że przeciwnik jego dawno wyprawił się na wschód, aby potwierdzić prawa swe do wszystkich Aleksandra dalekowschodnich podbojów. Jednak mimo pośpiechu nie zdołał nawet zdobyć wszystkich Babilonu umocnień. Pozostawiwszy więc silny oddział w mieście, który miał umieć, Demetriusza zdaniem, bronić się nawet przed armią diadocha, gdy ten powróci z głębin Azji, popędził syn Antygona z powrotem, szczególnie, gdy dowiedział się o wyprawie Ptolemeusza, który rozpoczął oblężenie Hallikarnassu.

Spieszył z nadzieją, że znowu stanąć będzie dane mu na przeciw pana Egiptu. Nadzieja pozwalała nie czuć zmęczenia i myśleć tylko o starciu, w którym, pewny był, zgniecie niepokonanego Ptolemeusza, obędzie z wojska, sławy i znaczenia, zapomnieć każe wszystkim o swojej inicjalnej klęsce, przypadku przecież, złośliwym grymasie kapryśnej bogini.

Pędził pozwalając a nawet zachęcając do rabunku, ograniczając go pośpiechem jedynie, paląc napotkane miasta i zostawiając za sobą złupiony szlak jak dla Seleukosa wyzwanie, wypalone piętno na jego krainie, które zmuszać będzie pana jej do szukania sprawcy, aby stawić mu czoła. Jednak Ptolemeusz przezorny na czas zwinął oblężenie i pośpiesznie

ruszył do swego niedostępnego Egiptu jakby znał wymiar niebezpieczeństwa a Demetriusz nie mógł ścigać go wzywany przez ojca, a ojca rozkazów słuchał zawsze, przyznając jemu jedynemu prawo względem siebie decydowania, a raczej nie mogąc wyobrazić sobie, aby od kogokolwiek innego móc przyjąć jakikolwiek rozkaz.

Antygon był nie tylko tym, którego wiedzy i mądrości ustępował i wiedział o tym, ale i ustępować pragnął. On, młody bóg — Demetriusz, z ufnością i wiarą poddać mógł się jedynie władzy ojca. A jeśli nastąpił tak rzadki konflikt jak wtedy, gdy błagał o życie Eumenesa i nie tylko prosił, ale i pewny był, że Grek nie powinien zginąć a Eumenes zginął, choć ojciec nie wydał rozkazu jego egzekucji, wołał nie zgłębiać zagadki nagłej samowoli Antygona straży, która wiedziała czym grozić może lekceważenie woli Jednookiego. I kiedy indziej, ten jedyny raz, gdy przeciwstawił się postanowieniom ojca, choć zobowiązania dotrzymał, nie wyjawiając przyjacielowi swemu planów Antygona i zgodnie z obietnicą nie mówiąc słowa ostrzeżenia a pisząc jedynie końcem oszczepu na piasku „Uciekaj Mitrydatesie”, zadowolony przecież z ocalenia towarzysza zabaw dziecińczych, pozostał rozdarty i pełen winy.

Demetriusz pisze końcem oszczepu na piasku. Z sypkich znaków, które rozsypuje wiatr, w napięciu wyczytuje Mitrydates ostrzeżenie i szansę ratunku, jaką podsuwa mu przyjaciel z lat dziecińczych.

.....

* * *

Poranek jest ciepły. Morze lśni w słońcu jak złota moneta. Miasto budzi się spokojnie jak od dawna już. Upał rodzącego się lata wypełnia ulice, a wiatr od morza chłodzi niczym łyk świeżej wody.

Stada żagli na horyzoncie nie dziwią nikogo, choć budzą zainteresowanie. Zbiegający się na wybrzeżu Ateńczycy pokazują sobie ogromną flotyllę, pytając: czy to na dziś oczekiwane są statki Ptolemeusza wiozące z Egiptu transport zboża? Gnane wiatrem żagle fruną nieomal w kierunku miasta.

Dopiero, gdy pierwsze okręty wpadają do portu i widać już wyraźnie klin ogromnej floty wojennej, która nie jest flotą Ptolemeusza, a łopotowi żagli wtóruje łoskot wioseł we wściekłym tempie bębniących o wodę, wrzawie na pokładach zakotwiczonych statków odpowiada zbiorowy krzyk przerażenia z nadbrzeża.

Wśród wrzasku i chaosu, gdy ktoś usiłuje zgromadzić ateńskie statki i słycać bezładne głosy nawołujące Ateńczyków do broni, z okrętów podnoszących kotwice, gdy wioślarze w ruch usiłują wprawić ciężkie, drewniane kadłuby, a na pokłady wybiegają poprawiający uzbrojenie wojownicy i z wybrzeża, na które pędzą spośród domów splątane oddziały zbrojnych, coraz głośniejszy powtarza się wieść, że to z flotą ojca nadciągnął Demetriusz, syn Antygonosa Jednookiego. I widać go już na flagowym okręcie, na dziobie, wyprostowanego jak maszt, w zbroi, która śle ku brzegowi połyski zakrzepłego ognia. I widać gesty jego rąk, którymi uspokaja tumult.

I słycać głos. Potężny głos powtarzany donośnie i metalicznie przez stojącego obok herolda, ogłaszający, że Demetriusz przybył w imię ojca swego, aby uwolnić Ateńczyków, od wszelkich, obcych garnizonów i przywrócić im dawną wolność i niezawisłość, ich prawa i władze, które od niepamiętnych czasów stworzyli dla nich przodkowie.

Słowa młodego boga wibrują w ciszy znieruchomiałych tłumów, w morskiej bryzie letniego poranka jakby drżały wzruszeniem, gdy obok jak łoskot dzwonu powtarza je głos herolda. Demetriusz stoi przed tłumami na wybrzeżu i patrzy przez nie na Ateny, stolicę wszystkich miast, kolebkę Grecji i jej wielkości, a twarz jaśnieje mu, gdy Ateńczycy rzucają na ziemię swoją broń i w huku padających tarcz zaczynają klaskać, głosząc chwałę syna Antygona i zapraszać, by zszedł na gościnną ziemię Aten, która oczekuje go.

Miasto szaleje jakby tej właśnie chwili wyglądało ostatnich dziesięć lat, jakby pozbawione powietrza wolności, dusiło się i zniewolone wegetowało pragnąc jedynie momentu, który przebudzi je głosem Demetriusza i znowu pozwoli zachłystnąć się swobodą i odzyskaną, własną nareszcie ojczyzną. Miasto jest radosne i gniewne, ścigać będzie sprawców swojej hańby. Słycać nawoływanie się grup, które ukarać chcą winnych, wytropić

i zabić zdrajców, by krew ich popłynęła wzdłuż ulic zmywając wstyd, odkupiając wspólne upokorzenia.

Demetriusz z Faleronu uśmiecha się ironicznie. Słyszy okrzyki pojedynczych grup, które jak stróżki wody zlewają się w nienawistny pomruk tłumu wokół wzgórza, gdzie wznosi się jego dom. Uśmiecha się, bo przerażeni niewolnicy, którzy nadbiegli właśnie krztusząc się słowami i powietrzem, bezładnie opowiadają o pomnikach jego obalanych pospólnym wysiłkiem i topionych w morzu, rozbijanych młotami, zdzieranych z kamiennych rydwanów i ciągniętych po bruku ku pohańbieniu...

— Niszczą twoje posagi — powtarzają zbici wokół niego w trwożne stadko domownicy — Ale, nie potrafią zniszczyć zasług, dla których je postawili — odpowiada Demetriusz i uśmiecha się, myśląc, że może pomniki uratują go, albowiem dużo czasu potrzeba dla zniszczenia ich trzystu sześćdziesięciu wersji rozsianych po całych Atenach.

Przestaje się uśmiechać, gdy dowódca straży melduje, że wzgórze domu jego otoczone jest grupkami zbrojnych i można jedynie próbować przebić się lub czekać na dalszy rozwój wypadków, bo zbrojnych jest jeszcze zbyt mało, aby zdobyć dom. Demetriusz z Faleronu myśli, że nie jest swoim imiennikiem, synem Antygona, by z bronią w ręku poprowadzić ludzi do walki w wąskich uliczkach, do walki z rosnącym bez końca tłumem, bo ruszy nań całe miasto żądne krwi jego za dziesięć lat dobrobytu i spokoju, które zapewnił Atenom. Zdaje się mu, słyszy już głosy stronników swoich najdonośniej domagających się jego śmierci, aby zmyć nią swoje winy, zajadły krzyk tych, którym darował karę, wrzask pochlebców i obdarowanych, a za nimi dudni, jak łomot jego po bruku toczących się posągów, wyście zawistnych, niezaspokojonych, przegranych, upokorzonych, żądnych życia jego by zapanować nad nim, stanąć na gardle tego nieosiągalnego jak ciała niebieskie i raz wreszcie poczuć się panami w jedyny możliwy dla nich sposób.

Demetriusz z Faleronu usiłuje się uśmiechnąć, czując stróżkę potu ściekającą wzdłuż kręgosłupa. Lęk jest rzeczą normalną i pożyteczną wręcz, zadaniem dla mędrca jest go opanować. Przypomina sobie brata swego Himerajosa, straconego, ile to już lat temu, przez Macedończyków,

sojuszników swoich. Odradzał mu przecież udział w powstaniu, on, uczeń rozsądnego Fokiona, starca, który przecież tak miłował miasto swoje, że nie potrafił żywić do mieszkańców jego pogardy i powtrzął im bezskutecznie — radzę wam, abyście byli silniejsi, w innym wypadku możecie być tylko silniejszego przyjaciółmi.

Demetriusza z Faleronu śmieszyć mogły tylko marzenia o wielkości miasta, które przecież nieomal sto lat wcześniej przegrało wojnę o hegemonię w Helladzie a teraz stawić chciało czoła Macedonii, największej świata tego potędze, która jeszcze nim stała się nią, parę razy rzucała już Greków na kolana. Te niegdyś wielkie Ateny wcielał teraz krzykacz Demostenes, wzywający do walki i uciekający z pola z ustami pełnymi wielkich słów a sercem ociekającym nienawiścią.

Zresztą Demetriusz z Faleronu gardził demokracją, władzą motłochu, gdzie największy równy jest najpodlejszemu, najbardziej zasłużony — najnikczemniejszemu, a tłum zmienny jak dziecko burzy co wznosić poczynął i karze za to, za co wcześniej chciał nagradzać. To przecież ci sami Ateńczycy skazywali na śmierć tych, których jak herosów oklaskiwali rok wcześniej i brata jego Himerajosa, tak pięknego, gdy był jednym z prowadzących Ateńczyków przeciw Antypatrowi, kiedy po raz pierwszy udało się im pokonać Macedończyków a ich wielkiego wodza osaczyć w Lamii, nieomal na łasce ich... Jednak motłoch nie potrafi nic doprowadzić do końca, Lamia nie została zdobyta, a po klęsce posłuszni zwycięzcom Ateńczycy skazywali na śmierć przywódców swoich... i brata jego...

Niewiele brakowało, aby i sam Demetriusz oddał głowę trzy lata później, gdy nowy regent Poliperchon rzucił hasło wolności miast greckich, nie mogąc zapewnić sobie wierności trzymających w posłuchu Helladę garnizonów macedońskich, skłaniających się na stronę Kassandra syna poprzednika jego Antypatra, choć to sam Antypater wybrał Poliperchona na następcę swego, może obawiając się bezwzględności syna i szukając wiernych ostatecznie dynastii boskiego Filipa i syna jego Aleksandra. Tak, w imię kontynuacji Antypatra dzieła, pruć Poliperchon macedońską siatkę

zarzuconą na Helladę przez poprzednika jego i wezwał z wygnania banitów przegranej wojny.

Fokion, stronnik od zawsze Macedonii wraz ze współpracownikami swymi pod strażą odesłany został do Aten, z obozu Poliperchona, gdzie przybył, aby porozumieć się z nowym regentem.

Z murów Munichii czując buchający w nozdrza zapach fijołków, patrzył Demetriusz Faleroński na miasto wśród kwitnących gajów brzęczące jak odległe rojowisko pszczół, gdy na kamiennych ławkach teatru Dionizosa upojony wiosną i kolejnymi snami tłum Ateńczyków na śmierć skazywał Fokiona, tylekrotnego obrońcę Aten przed sojusznikami jego Macedończykami, któremu tylu Ateńczyków winnych było życie, także Hagonides oskarżyciel jego główny, porwany słowami swymi, wierząc może, że śmierć starca, przyjaciół jego i stronników, stanie się ponownym aktem narodzin dla wielkich Aten. Demetriusz z Faleronu na czas uszedł w pewne schronienie twierdzy nad Pireusem, aby z bezpiecznej pozycji, wspólnie z macedońskimi wojownikami oglądając tłum ateński, czekać na nieunikniony obrót losu.

Minęło pół roku, gdy Ateńczycy prosić jęli go o pośrednictwo w rokowaniach z Kassandrem, już nie banitę, szanownego miasta obywatela. I tak stał się Aten rządca, tyranem — namiestnikiem macedońskim jak chcieli niektórzy, przez dziesięć spokojnych lat.

Nie żywił nigdy do Ateńczyków nienawiści. Pamiętał przesłanie Fokiona, które stary strateg przekazać kazał synowi bezpośrednio przed swą egzekucją, prosząc go by nie żywił urazy do Ateńczyków. Demetriusz Faleroński rozumiał dobrze swego mentora i zgadzał się z nim. Wiedząc czym jest lud, nie można żywić doń dłuższej urazy. Czy można potępiać dziecko za nierozumne czyny, dziecko, które potrzebuje przecież opiekuna? Oburzają chytry deprawatorzy. Dla interesu swego czy pychą jedynie wiedzeni wzywają demos do samowoli, która jest źródłem zbrodni wszelkich i spycha ludzi do stanu dzikości, do zbrodni jaką było Fokiona uśmiercenie.

Dlatego pierwszą decyzją Demetriusza z Faleronu było na śmierć skazanie Hagonidesa, za karę i ku przestrodze. I był to jedyny wyrok, który dotknął przeciwników jego przez całe lat dziesięć.

A przecież, gdy przejął władzę z ręki Kassandra śnił mu się brat jego Himerajos, tak piękny, gdy ruszał przeciwko Antypatrowi, z rąk syna którego Demetriusz przejmował rządy.

Z grupką tylko domowników i wśród straż, które pozostały może bardziej obawiając się uciec, wypaść między krwi żądne, zbrojne gromady Ateńczyków, czeka na rozwój wypadków Demetriusz Faleroński, pan niepodzielny Aten przez lat dziesięć, w willi swojej osaczony przez gromadzący się tłum.

Jak bardzo wątpiła jest filozofia i o ile bardziej przdałaby się mu teraz sprawność byle macedońskiego zabijaki a miłość mądrości pozwala jedynie zachować pozór spokoju. Tylko, że pozór ten staje się tak bardzo właśnie teraz potrzebną godnością. I choć zawsze wiedział, że na wdzięczność Ateńczyków liczyć nie może i że nie dla podziękii robi to co robić powinien, jak pasterz czekać nie może na wdzięczność stada, którego dogląda, teraz wbrew sobie, czuje momentami żal do gromadzącego się tłum domagającego się jego głowy. I przed bolesnymi, pozbawiającymi męstwa skurczami duszy bronić może się kolejną wiedzą, o swojej niedoskonałości.

Bronił się będzie nią, gdy miną lata kolejne i w nieprzytomnym upale wygnania równiny egipskiej starzec już, pomyśli, że niestałym bywa nie tylko tłum, ale i władcy, którzy rządzą światem nie filozofowie przecież a przedsięwzięcia mędrców są jak budowle z piasku na wybrzeżu egipskim stawiane przez dzieci a więc i mędrzy być mogą jak dzieci wobec obłędu czasu i poczuł ból dłoni, a był to ból ukąszenia węża, którego zauważył za późno. Gdy dowlóknął się do pierwszych domostw ludzi, trucizna wypełniła już żyły i ogniu słońca palącego skórę odpowiadał ogień jadu trawiącego krew, jadu węża, zwierzęcia Asklepiosa, ojca lekarzy, z rodu którego pochodził Arystoteles Stagiryta wielki nauczyciel nauczyciela jego i jego również; zwierzę mądrości wsączyło jad pod skórę, jad który może być lekarstwem a jest trucizną i uśmierca go, bo ciało nie potrafi przyswoić go jak

rozum nie umiał uporać się z trucizną mądrości a życie jego znaczyło coś innego niż zdawało się mu pojmował wcześniej w Egipcie i nawet na wygnaniu już, aby teraz zrozumiał tylko, że był w błędzie, zrozumiał konając w uderzeniach egipskiego słońca od ukąszenia węża.

Ludzie w tak małym stopniu wypełniają formę ludzką, wiedział Demetriusz z Faleronu i dlatego dbać trzeba o obyczaje ich, budować formy, by nie pochłonęły ich namiętności. Władza dozorować miała nawet zachowania rodzinne. Dekretami Falerończyk regulował również stroje kobiece, ograniczył manifestacje zbytku, on, który tak bardzo zbytek kochał. Jednak pozwolił a nawet zalecił bogacić się, zdjął uciążliwą kuratelę państwa z handlu, ograniczył podatki. Miasto rozwijało się gwałtownie, nowe domy odbijały słońce szpalerami kolumn, lśniły czyszczone ulice. Może dlatego, że wszystko czego mógł wówczas pragnąć Ateńczyk to bogactwa, którym i tak cieszyć musiał się z dala od oczu współziomków, powtarzali niezadowoleni.

Demetriusz z Faleronu patrzy na barwną mozaikę pod swymi stopami. Przypomina sobie procesję Dionizosa, o której tak dużo szeptano w Atenach, długo jeszcze później, o jej bezprzykładnej wystawności. Procesja Dionizosa, boga niebezpiecznego, który uwalnia w ludziach szaleństwo i zaćmiewa rozum. Nie można z nim walczyć, próbować można jedynie obłaskawiać go.

Powozy ociekają winnym bluszczem, tancerki z tyrysami, zwierzęta w kwiatnych wieńcach i znowu wozy, rydwany i wino chlusta na wszystkie strony, okres zawieszenia reguł... ale prawdziwy hołd oddawał Dionizosowi, już w swojej willi, w czasie orgii, o których opowiadano bez końca w Atenach, relacji z czego lubił słuchać czasami, opowieści bez związku z rzeczywistością.

Nie chodziło tylko o rozkosz, którą i w samotności dać potrafiła doświadczona hetera, jęcząc w ekstazie lub jej imitacji doskonałej, ofiarowując ciało jakby ofiarowywała siebie całą. Zrzucając stroje, w grupie pozbywali się swojej tożsamości, stawali ciałami, wspólnym rozkoszy pragnieniem, wezwaniem zmysłów głębszym niż ich rozsądek codzienny. Gdy przemieszczał się między ciałami, których nie pamiętał, ale wszystkie goto-

we były na jego przyjęcie jak sokiem grona winne ociekające śliną wargi, jak pękające figi otwierające się mokre i gorące wnętrza kobiecych ud, pośladki okrągłe i nabrzmiące niewiast, twarde i zwarte chłopców i żłobiony między nimi mięsień, przez który trzeba było przedzierać się, zwierający się w spaźmie doznania, poddane palcom, zębom, językom, członkom ciała ustępują jak skóra owoców, gną się, nabiegają krwią, słyszy dookoła krzyk i jęk, w którym nikną słowa, zwierzęcy skowyt, zapomina kim jest, przestaje myśleć i ogarnia go boski szał a świat cały staje się pragnieniem i spełnieniem zarazem i porywa ekstaza, traci siły w szczęściu upojenia i pogrąża w błogim samozatraceniu, nicości.

To było prawdziwe misterium niebezpiecznego boga Dionizosa, myślał wtedy, któremu ofiarowujemy się by oczyścić, powrócić do naszego świata z obrzędu chaosu, naszej zwierzęcej, biologicznej jedności, aby móc stać się na nowo kim jesteśmy, kim być winniśmy. A mądry człowiek potrafi rozdzielić czas, dzień i noc, aby uwolnić się od namiętności i kierować w życiu regułą rozumu jedynie.

Tak myślał Demetriusz z Faleronu. Dopiero tyle lat później w Egipcie pewien barbarzyńca kazał zastanowić się mu przez moment, gdy powiedział — bogowie to też zwierzęta, tylko wspanialsze od ludzi, twój rozum to jedynie instynkt ludzki a ty poddany mu myślisz, że jest on zasadą świata, bogowie to zwierzęta wyższe od ludzi!

Jego zbytek, którego zakazał Ateńczykom, przypominać miał im o hierarchii, aby zrozumieli nareszcie, że ludzie nie są jednacy i prawa inne być winne dla tych, którzy potrafią je stanowić. Tak jak obywatelem stać się mógł dopiero człowiek, którego majątek osiągnął tysiąc drachm, albowiem taki tylko potrafił być odpowiedzialny, dbać o ojczyznę jak o swoją majątność, zabiegać o nią, gdyż była gwarancją jego dobra. Poddawać się namiętnościom mógł ten, który potrafił zakreślić im granice, czas i miejsce, umiał wydzielić je a więc opanować, bo zapanować nad nimi do końca nie zdoła przecież nikt.

Zresztą Demetriusz z Faleronu lubił zbytek, kochał rozkosz i nie wyobrażał sobie, aby mógł i potrzebował zrezygnować z nich. Teraz będzie musiał zapłacić za nie, myślał w willi jak morzem w przypiływie otaczanej

narastającym szumem gniewnego tłumu. Zapłacić będzie musiał jak płaci się za wszystko, myślał, gdy powracała doń twarz brata jego Himerajosa, tak pięknego, gdy podejmował beznadziejną walkę.

Jednak Falerończyk przeżyć miał ten dzień jak i wiele następnych dni i lat, a do domu jego nie wdarł się nienawistny motłoch, ale wkroczył oddział macedońskich żołnierzy w poprzedzającej to ciszy, która spadła na jego mieszkańców jak nienazwany lęk. Oficer Demetriusza syna Antygona przekazał pozdrowienia od wodza swego dla sławnego uczonego, imiennika syna Jednookiego, gwarantując mu bezpieczeństwo i eskortę oddziału swego, aż do Teb samych, które stać się miały kolejnym domem Demetriusza z Faleronu.

To przecież nie tylko imiennik mój, myśleć mógł Falerończyk podążając forsownym marszem do Teb w kończącym się dniu, kiedy niespodziewanie utracił wszystko i równie nagle uratował życie słysząc nad głową wysoki śmiech bogini losu. To on z tego samego co ja gatunku, panów, zrodzonych i kształcących się do władania, formujących wolą swoją świat ludzi zgodnie z wpisaną weń istotą, którą potrafią rozpoznać. Oni, znając ludzi i ich sprawy, przykładając do nich kryterium rozumu, wprowadzić potrafią w dziedzinę ich ład i umiar. Szaleństwo namiętności, które porywa niedojrzałą zbiorowość, ogrodzić potrafią karbami zasad, oni dojrzały jak dorośli wobec dzieci, bliscy doskonałości swej, eudajmonii, która jest jak szczęście jedyne dostępne człowiekowi. Jest imiennik jak brat mój, choć nie widziałem go nigdy, brat mój dojrzały, chociaż młodszy ode mnie o lat tyle, dojrzały w przeciwieństwie do Himerajosa, brata krwi mojej już na zawsze młodzieńczego w piękności i śmierci.

Następne lat dziesięć miał spędzić Demetriusz z Faleronu w Tebach jak w śnie nierównym. Zostawił sprawy publiczne i one zostawiły jego. Pisał gwałtownie jakby nadrobić chciał czas na politykę i rządy Atenami oddany. Zasypiał często przy pulpicie nad pergaminem a budził się spacerując po gaju o zmierzchu. Rzeczy i czasy nakładały się na siebie. Kiedy odrywał się od tekstu nie umiałby powiedzieć czy spędził nad nim godziny czy tygodnie, czy w Beocji jest ledwie dni kilka czy upłynęły już lata. Nie nęciły go nawet rozkosze cielesne, od których uwalniał się nie-

uważnie u przypadkowych kobiet, jak nieuważnie zaspakajał głód nie dbając o celebrację, bez czego jak sam mawiał wcześniej, posiłek przypomina akt zwierzęcy, gdy winniśmy nawet najprostsze ciała konieczności, o ile możliwe to, podnosić do rangi wydarzeń kultury odbijających porządek naszego w świecie bytowania.

Jak nigdy wcześniej, rzadko znajdował czas na spotkania z przyjaciółmi. Z rzeczy publicznych zajmowało go właściwie tylko jego dziesięcioletnie Atenami władanie, o czym lubił mówić najbardziej. Wydawać by się mogło, że jego bytność w Beocji to tylko nieważny dodatek do okresu jego ateńskiej chwały a raczej interwał jedynie przed nieuniknionym do Aten powrotem.

Pisał także o tym. Nie tylko pozostawić chciał niefałszowaną historię wydarzeń, zawrzeć w niej pragnął również naukę tamtego czasu. Pisał „O dziesięcioletnich rządach własnych”. Pisał jakby z doświadczenia rządów swoich wyciągnąć potrafił wiedzę wszelką o polityce, o przewoźdzeniu ludowi, o prawach, ustroju politycznym, zwyczajach, a także całości spraw ludzkich: zaufaniu, wdzięczności, losie, słusznej dumie, chwili stosownej.

Błądząc po podtebańskich lasach zapuszczał się w historię, na jej splątanych ścieżkach odnaleźć usiłując sens mądrości i ludzkich poczynań. Wywoływał Grecji ojca, ślepcę, który potrafił odtworzyć w słowach swoich to co stanowić będzie fundament jej miast. W snach na zwoju pergaminu, przebudzeniach nocą obcego miasta, wędrówkach przeistaczających się w sen, tropił herosów, których cieniami byli oni wszyscy, wyblakłymi odbiciami na powierzchni poruszanej wiatrem wody.

Nie widział prawie Teb. Pod stopami odruchowo odnaleźć usiłował trawę uginającą się pod sandałami miłośników mądrości przechadzających się po Lykejonie, nozdrza jego rozdymały się szukając zapachu fijołków i odnajdywał się często, gdy wyglądał drogi od strony Eleusis wprowadzającej w Ateny lub w tebańskich budowlach odnaleźć próbując Partenonu zarys.

Toteż wsiadając na statek by na zaproszenie Ptolemeusza podążyć do Aleksandrii, nie pamiętał Demetriusz z Faleronu ile lat spędził w stolicy

Beocji; czy były to miesiące tylko, bo uwierzyć nie mógł, że upłynęło czasu więcej niż poświęcił go na władanie Atenami.

W nowej stolicy Egiptu, która przekroczyła już wielkością i świetnością wszystkie miasta starej Hellady, Demetriusz Faleroński obudził się jak po długim śnie. Może budzić zaczął się na statku, tyle dni pod zmiennym niebem, zawieszony nad przestrzeniami równie nieznanymi jak przyszłość jego, gdy uzmysłowił sobie, że z minionych jedenastu lat pamięta jedynie rulony składającego się w księgi pergaminu.

W Aleksandrii Demetriusz budować mógł Musejon na zamówienie pana nowego, a może przyjaciela raczej, nie licząc się z kosztami, za wzór przyjmując Musejon mistrza swego Teofrasta. Od razu jednak musiał przerosnąć on ateńską siedzibę muz czcicieli jak Aleksandria przerosła Ateny. Kompleks budynków i parków, sal biesiadnych z kolumnadami, gdzie nie tylko ucztować można, ale i celebrować materii konieczności przenosząc je w inne wymiary, palmowe aleje osłaniające nawet przed największym żarem, aby można było spełniać jedyny obowiązek miłośnika mądrości — myślenie, kryte portyki, labirynt biblioteki, gdzie tropić trzeba dziwnie niekonsekwentne dla niewtajemniczonych dzieje języka i obserwatorium astronomiczne, pozwalające nie tylko obliczać wieczne liczbowe relacje w świecie międzygwiazdowym, ale przede wszystkim oglądać całą nadksiężycową dziedzinę, widomy znak pierwszej przyczyny, gwiazdziste tchnienie Boga, kosmiczny ład, który wierzyć każe, że nawet istoty z podksiężycowego okręgu, świata skażonego przypadkiem i chaosem, mają swój udział w ładzie ostatecznym, choćby taki jak lustro w odbijanej przez siebie rzeczywistości, która pyłem gwiazdowym osiada na źrenicach.

A kiedy towarzysze wędrówek i myśli pytali Falerończyka czy nie lepiej dla mędrca oderwać się od próżności świata, aby zgłębiać istotę jego w warunkach sprzyjających temu najbardziej, a więc w izolacji od spraw publicznych i nieoczekiwanych zwrotów historii, pytając tym samym czy flotylla Demetriusza Antygonidy, która pod koniec odległej już wiosny położyła kres rządowi imiennika jego w Atenach, nie okazała się rozumnym zarządzeniem losu, mentor Musejonu aleksandryjskiego uśmiechał się zamiast odpowiedzi.

Jednak ściągnąć chciał do stolicy Egiptu Ateny i dokonać rzeczy niemożliwej: przenieść nad ujście Nilu attycki Musejon. Nic dziwnego więc, że odmówili mu najważniejsi: mistrz jego Teofrast, który odpisał, że choćby rzeczywiście Aleksandria tylekroć przekraczała Ateny wspa-
niałością, jak mówią to wszyscy, pozostanie tylko pyszną kopią attyckiego oryginału. Odmówił mu Meander, wcielenie tego co wprawiało w ruch Ateny, emanacja swojego miasta, bez którego nie potrafiłby pisać, a aleksandryjskie tłumy byłyby dla niego pustki jedynie obrazem, bez którego nie potrafiłby żyć i wystarczyło niedługo potem, gdy trochę dalej tylko odpłynął od wybrzeży Pireusu tak by stały się nieodróżnialną smugą brze-
gu, by utonął za daleko od swego miasta.

W Aleksandrii Demetriusz z Faleronu zastanawiał się czasem czy tęskniąc za Atenami, a Ateny dlań były czasem jego nimi rządzenia, nie tęskni za władzą, nie marzy o niej tu, gdzie jest przecież na służbie, choćby nikt nigdy nie dawał mu tego odczuć a możliwości stwarzane mu przez Ptolemeusza przekraczały możliwości jego jako Aten rządcy. A czas tamten porównać dawało się z jego w Egipcie powołaniem: tam władanie znaczyło dlań odsłanianie miasta istoty, miasta a więc całości, zbiorowości ludzkiej i jej wytworów, chciał by miasto stało się entelechią swoją do czego powoli prowadził mieszkańców, a wszyscy obrócili się przeciw niemu przy pierwszej niesprzyjającej okazji, pamięć o nim była nie sławą prawodawcy a wspomnieniem tyrana, czyli praca jego tam istniała tylko przez czas swojego trwania, może poza gajem z muz świątynią, która stała się miejscem narodzin Musejonu Teofrasta, czy pozostało coś po nim dobrego, choćby w Ateńczyków pamięci? W Aleksandrii chciał dopomóc w odsłonięciu dla ludzi prawdy rzeczy, na zawsze już, czy więc znaczenie ma, że prace jego odbywają się na chwałę Ptolemeusza, tak jak czy znaczenie miało, że rządził Atenami z Macedończyków nadania a czas ten powraca doń jak szczęścia nieomal wspomnienie?

A jednak zbyt dosłownie traktował Demetriusz z Faleronu rolę swoją, nie tylko miłośnika mądrości, ale przyjaciela i doradcy króla w osobie jednej, na co zwracali mu uwagę przyjaciele, gdy odwieść usiłował Ptolemeusza od wydziedziczenia syna pierwородnego na korzyść syna ze

związku z Bereniką, związku namiętnością powodowanego. Mieli rację. Na darmo Musejonu mentor przekonać usiłował pana Egiptu przywołując praw zasady i zgubne efekty namiętności. Ptolemeusz Soter uczynił syna Bereniki nie tylko następcą swoim, ale i współrządcą pozbawiając praw wszelkich Ptolemeusza Keraunosa.

A kiedy umarł pan Egiptu, założyciel dynastii, następca i imiennik jego na wygnanie zesłał tego, który usiłował stanąć między nim a tronem. Na rozpalonej ziemi, bez drzew prawie, które dać by mogły schronienie, skąd gaje i promenady pod kolumnami aleksandryjskiego Musejonu snem tylko mogły się wydawać, starzec już, Demetrusz z Faleronu rozpamiętywał swoje dzieje, piękną twarz Himerajosa i władzę z macedońskiej dłoni, którą sprawował najlepiej jak potrafił i która okazała się jak bańka na wodzie zdmuchnięta byle podmuchem i myślał o swoim w obronie praw wystąpieniu czego efektem było długotrwałe wygnanie, oczekiwanie na decyzję nowego króla, gdy z oddali dowiadywać mógł się dziejów ptolemeuszowego pierworodnego — Keraunosa i myśleć, że nie zastanawiając się Ptolemeusz Soter, założyciel dynastii wybrał najlepiej jak mógł i że świat wymyka się zasadom, gdy na słońcu, o którym wiedział, że spowoduje śmierć jego, poczuł ból i zobaczył węża, zwierzę Asklepiosa i poczuł jad wędrujący z jego krwią.

.....

Ofiarowując miastu wolność, na scenie pokładu w porcie ateńskim, czuł się Demetriusz szczęśliwy. Otwierała się przed nim stolica najwspanialsza, serce Grecji a więc serce świata. To tu dążył zawsze i dlatego tyle mniej interesowały go bezkresne krainy wschodu, gdzie zagubił się właśnie Seleukos, który podążyc chciał szlakiem Aleksandra i dotrzeć dalej nawet, czego nie uczynił żaden człowiek wcześniej, wdrzeć w tajemnicze i wielkie jak świat Indie i ciągnąć dalej, póki nie skończą się ludzkie dziedziny.

Seleukos był wojownikiem głównie. Jego domeną była przestrzeń, którą trzeba pochłaniać bez końca, a sukces mierzyło się ilością stadiów opanowanych krain. Demetriusz był nie tylko wojownikiem. Znał wołanie przestrzeni, wezwanie pustki, która unosiła jak grzbiet nieprzyto-

mnie pędzącego konia. Ale tęsknił także za inną ojczyzną swoją, światem, którego nie widział nigdy, choć świat ten uformował go, a obrazy jego przeświecały myśli Demetriusza jak zarys dna rysuje się pod głębiną morza.

Dlatego cieszył się, gdy w ostatnim traktacie ze sprzymierzonymi sprzed lat czterech ojciec jego zagwarantował wolność wszystkim miastom Grecji. I nie przeszkadzały mu opowieści o chytryści starego Cyklopa, który chce mieć w odwodzie Helladę za obietncę wolności stanąć gotową po jego stronie, a dodatkowo zawsze pewny pretekst do interwencji przeciw każdemu z diadochów.

Czas nie uładził się jeszcze a wojna nie skończyła się dopóki nie zapanują z ojcem nad przynależnym im światem, myślał Demetriusz. W niczym nie zmieniało to dlań podniosłości chwili, gdy z wysokości okrętu ofiarowywał Grekom wolność zaczynając od ich miasta najwspanialszego. Miasta bogini mądrości wcielonej w sztuki wszystkie, miasta przyznanego jej już przez Kekropsa — człowieka węża, a Demetriusz był jak Tezeusz wracający z Krety, aby ogłosić miastu koniec jego niewoli i rozpoznany jako wolność dający został równie późno jak Minotaura zabójca, który zmienić zapomniał kolor żagli na swoich okrętach, a że rozpoznany został świadczył łoskot rzuconych na ziemię tarcz i brawa, i radość szalona Ateńczyków, braci jego nieznanych.

Powracał wreszcie jak do rodziny swojej najbliższej: miasta zwycięzcy pierwszego potęgi perskiej; i miasta ojczyzny poezji najwspanialszej ujmującej życie całe w muzykę słów, które nie tylko rozumieć, ale i czuć pozwalają a więc rozumieć w pełni; i miasta ogrodu myśli, skąd świat rozwijał się w kierunku rozumienia; i miasta odbicia kosmosu odsłaniającego się w boskiej miarze posągów, budowli i obrazów. Miasta Greków, którzy byli jak Eumenes więcej niż wojownikami i przynależeli do innej jeszcze dziedziny, skąd nie wracali nigdy do końca na pole bitwy, gdzie przecież potrafili być najmężniejszymi i najprzemysłniejszymi. Aż do śmierci, którą Demetriusz przypominał sobie: w przerażającym przeczuciu cwałuje przez zwijający się obóz w kierunku dziwnego zamieszania, aby zobaczyć wśród śmiejących się i wiwatujących żołnierzy, na ziemi skręcone, dziwnie małe, potężne przecież za życia ciało Eumenesa z głową

przekrzywioną, jak przez dziecko porzuconą, zniekształconą kukiełka a twarz jego nie do poznania w sinym obrzęku...

Radość unosiła Demetriusza i była przeświadczeniem nie tylko o potęgę swojej, ale i doskonałości kształtów i przymiotów. Demetriusz piękny, Demetrusz wspaniałomyślny, wysłał oddział żołnierzy, aby ratować życie tyrana Aten Demetriusza z Faleronu, przeciw któremu gotował się rozsierdzony tłum, żądny śmierci jak tłum każdy jednoczący się w pościgu i rozrywaniu zdobyczy, tym bardziej upragnionej im bardziej niedosiężną była dotąd.

A przecież tłum Ateńczyków jest wspaniały, myśli Demetriusz Antygonida. To nagle odzyskana wolność upaja ich. Jak strażników swojej niewoli obalają Ateńczycy posągi Demetriusza z Faleronu, wleką je po bruku rozbijając młotami, topią w zatoce. To szlachetna wdzięczność biec im każe obok niego i całować skraj jego szat, padać przed nim na twarz, przed nim bratem ich, ojcem wyzwolicielem, bóstwem wolności.

Mądry imiennik nie potrafił zrozumieć, że rodacy jego są najmniej dziećmi z wszystkich na świecie ludzi i powietrze wolności jest im do szczęścia potrzebe na równi z zapachem fijołków, który wdychają każdą wiosną. Demetriusz Antygonida czuje nawet rodzaj współczucia dla swego imiennika, Demetriusza z Faleronu, mędrca, który wobec ludzi zastosować chciał miary i wagi, jakie stosować należy wobec martwych przedmiotów, aby uczynić je sobie powolnymi, gdy ludzi, Greków, Ateńczyków uwolnić trzeba, by odsłonili swą prawdziwą, szlachetną naturę i do celu dążyć nie przez nich a z nimi... Biedny mędrzec, myśleć mógł Antygonida wysyłając żołnierzy na ratunek imiennika swego i przeciwnika; miłośnik mądrości, który nie rozumie życia i nie powinien opuszczać przeznaczonego mu gaju.

Na ten czas czekał Demetriusz cztery lata. Wśród nieprzytomnych gonitw za zwierzyną, wśród ciał, które zdobywał bez wysiłku, piękny młodzieniec ciągle, niepochwytny model tyłu nieudanych portretów, wzór elegancji dla wszystkich młodych naśladować usiłujących każdy jego gest, podążających za nim krok w krok; o delikatnych manierach, które łączyć potrafił ze zdecydowaniem wojownika, heros niepokonany, ukochany syn najpotężniejszego Antygonosa, przed którym gięło się wszystko w Azji,

a przecież syn przerośnie ojca — to oczywiste było dla wszystkich, nawet Antygonosa samego, starca już przecież z dumą patrzącego na następcę; wśród pijaństw równie nieprzytomnych jak polowanie i orgie stające się jednym, czekał Demetriusz na swój czas; na moment, gdy rzuci do stóp Helladzie wolność prawdziwą i z połączonymi Grekami wyruszy raz jeszcze śladem Aleksandra, aby utrwalić i rozszerzyć zdobycze jego i zerwać świat jak owoc sposobiący się do jego dłoni, jak ciała kobiet i młodzieńców czekających tylko na jego wezwanie.

W miejscu, gdzie stopa Demetriusza dotknęła ziemi powstać miał „Ołtarz zstąpienia Demetriusza”. Wdzięczność Ateńczyków była jak deszcz złotych słów, tytułów i wizerunków. Jeszcze nie zdążył się nim Demetriusz zachłystnąć, gdy pozostawił zakochane w sobie Ateny i ruszył, aby zdobyć Megarę i przepędzić z niej garnizon Kassandra. Kiedy powrócił, okazało się jednak, że wdzięczność ogarnia go znowu jak letne słońce.

Ołtarze ku czci bogów Demetriusza i ojca jego Antygonosa wypełniać zaczęły miasto. Wydawać się mogło, że pomniki ich zastępują zniszczone wizerunki Demetriusza z Faleronu, tylko stanęło ich nieporównanie więcej, a Faleronczyk nigdy nie został uznany za boga i nie ośmieliłby się nawet pomyśleć o godności takiej.

Demetriusz i Antygonos ogłoszeni zostali bogami — zbawcami. Rzeczy nazwane zostały właściwie — myśleć mógł Demetriusz. Z wojskami ojca swego ofiarował Ateńczykom wolność — czy może być coś cenniejszego od wolności? Jakby ofiarował im na nowo życie, przywrócił świetność miastu przeznaczonemu świetności, czy więc nie jest dla nich jak bóg? Może bóg po prostu, bo czyż bogowie nie są nimi dlatego właśnie, że kształtują czyjeś losy, pozwalają osiągnąć powołanie lub stają mu na przeszkodzie, gdy sami, jak twierdzą mędrcy, podlegli są przeznaczeniu. Jak Demetriusz, który wolą swoją stwarza świat a poddany jest losowi i śmierci jedynie. A czy nie jest podległy im dlatego tylko, że uwierzył w to?

Może bardziej nawet cieszył Demetriusza tytuł króla, którym wraz z ojcem uświetniony został przez Ateńczyków. Od śmierci Aleksandra nikt w wielkiej Helladzie nie przyjął insygniów króla, która to godność, jak wierzyli w to diadochowie, należyć się będzie jedynie następcy wielkiego syna

Filipa. Wierzyli w to nawet wtedy jeszcze, gdy Kassander zamordować kazał Aleksandra, syna i imiennika swojego wielkiego ojca.

.....

Kim zostać mogło dziecko najpotężniejszego, od niemowlęctwa dziedzic świata, nierozumiejący zakładnik nieskończonych ambicji, w aurze zdrady i śmierci nadchodzącej koszmarem opowiadany przez noc, przed którym broniły tylko drobne dłonie jego coraz bardziej płochliwej, przeźroczystej nieomal matki, tak pewnej i dostojnej niegdyś, później z synem, samotna już na zawsze para królewska w ruchomym więzieniu, wśród ciężkich, obojętnych spojrzeń żołnierzy świąty Aleksandra, a przecież strażników raczej, gotowych broń swoją skierować przeciw niemu, co wiedział nie rozumiejąc, nie dziecko, król od zawsze, choć jak dziecko beznadziejnie próbując odnaleźć współczucie w bezwzględnych postaciach wokoło?

To co pierwsze przypominał będzie sobie z gmatwaniny piaskowego światła, to wstrząsy kół na wybojach, pył wypełniający gardło mimo chusty mającej przed nim chronić, krzyk i wrzawę tłumu, wielorekcie, wielogłowe monstrum połyskujące metalem jak groźny żywioł kłębiący się wokoło i gdzieś daleko dotykający nieba spokój morza.

Wspomnienia wypełniają się i zaczynają układać po sobie jak chwile dnia po przebudzeniu, od momentu, gdy tuląc się do matki, wyczerpany kolejną, pośpieszną gonitwą, widząc łańcuch gór Epiru zamykających horyzont, zobaczył coś co przeraziło go najbardziej dotąd — oczy jego schodzącej po pałacowych schodach babki Olimpias. Nie były jak oczy innych, które niosły odbicia a w nich jego rozpoznawalną twarz, dające się choćby w części oswoić, stając prawie jego częścią, jeżeli udało się w nie dłużej popatrzeć — źrenice babki były jak ciemne rozpadliny, gdzie pograżając odkrywało się ruch kształtów niby nienazwanych postaci złego snu. Zimne spojrzenie Olimpias towarzyszyć mu będzie ten pierwszy w pełni świadomy, przerażający rok, obejmować dreszczem strachu i nawet później, po zamordowaniu jej, budzić krzykiem z czarnego snu, choć wtedy w Epirze, wierzył przecież matce, że to na Olimpias polegać mogą wyłącznie. Matka również unika szyderczych spojrzeń teściowej śmiejącej się głośno z językowych pomyłek, których Roksana nie potrafi się wyzbyć, jak

on zejść stara się z oczu Olimpias, bez słowa śledzącej Aleksandra jakby porównywała go z cieniem jego nieznanego ojca a porównanie takie zawsze wywołać może jedynie wzgardliwe skrzywienie ust.

Z wcześniej jeszcze pamiętał zanoszącego się nieprzytomnie śmiechem swego przyrodniego stryja Filipa Arridajosa i jego piękną, młodziutką żonę, patrzącą na męża jak na zwierzę domowe, którego trzeba doglądać, aby potem zobaczyć ich znowu, po następnym uciążliwym marszu w taborach armii, doprowadzonych pod strażą przed oblicze Olimpias, Arridajosa w zwierzęcym przerażeniu nie potrafiącego opanować drżenia kończyn na widok tej, której trucizna ponoć zatrzymała go w rozwoju i doprowadziła do stanu zidiocenia, a później ją, Eurydykę, schwytaną wreszcie wnuczkę wielkiego Filipa, poszarpaną i brudną, ale nieulękle spoglądającą w źrenice babki Aleksandra. Widział jak odprowadzano ich i zapytać chciał: co dzieje się z nimi i dlaczego chcą zrobić im krzywdę, ale dłoń Roksany zasłoniła mu usta. I słyszał potem ciche opowieści o zwłokach ich wydobytych z ciemnicy, gdzie bez światła spędzili wiele dni, nim Filipa zakłuli traccy żołnierze a żona jego, po przygotowaniu męża do drogi ostatecznej, powiesiła się, uprzednio przekazując czekającym na jej śmierć Trakom życzenia by dręczycielkę jej Olimpias dosięgnął podobny los.

Nie zobaczył trupów Eurydyki i męża jej Filipa Arridajosa, ale nie wszystkie potrafiono ukryć przed nim, a może nikt nie usiłował czynić tego, więc patrzył Aleksander na ciemne pasma krzepnącej krwi jakie na kamieniach dziedzińca pozostawiają wleczone łachmany ciał ludzkich. A potem pamiętał straszny czas oblężenia Pydny. Krzyk głodujących dochodzący do okien pałacu, do których nie wolno było się mu zbliżyć. Ciemne dymy stósów, gdzie dokonywali swojego ziemskiego bytowania umarli i babkę przebiegającą korytarze pałacu z oczami nieprzytomnie szukającymi wojsk swoich.

Może tylko zdawało się mu, że z daleka słyszał krzyk mieczami, na strzępy rozdieranej Olimpias, bo podobno ginąc nie wydała nawet głosu. Twarz babki, którą z dziedzińca wyprowadzali zbrojni, przez moment przesłoniła twarz Kassandra, wypełniona nienawiścią jakiej Aleksan-

der nie widział dotąd i może czymś jeszcze, co później dopiero uznał za strach, gdy pan Macedonii przez chwilę spoglądał nań pociemniałymi źrenicami, aby nie zamieniając z nimi słowa, wskazać Roksanę i jej syna jednemu z oficerów. To dopiero potem ze strzępków wspomnień dowiedzieć miał się Aleksander źródła nienawiści owej.

Zobaczył w nim Kassander cień ojca jego, jak on rozpoznawał swojego nieznanego rodziciela ze spojrzeń jakimi obdarzali go napotykanii, pełnych strachu, smutku, żalu. Dla Kassandra był on żywą pamięcią chwil najstraszniejszych, kogoś kogo lękał się będzie do końca dni swoich, tak, że wiele lat później, jego, wojownika, władcę Macedonii, w Delfach na widok pomnika Aleksandra opadło pozbawiające światła przerażenie i bliski był utraty przytomności, jak ćwierć wieku wcześniej, gdy oszalały bóg Aleksander w Babilonie tłukł głową jego o mur w odpowiedzi na śmiech, który u ledwo z Grecji przybyłego syna Antypatra, wywołał widok padających na kolana przed królem, a w bólu pękającej nieomal czaszki i wyrywanych włosów, oszołomieniu i upokorzeniu widział Kassander spadającą nań śmierć, nie wojownika lecz zatłuczonego przez pana psa. Miesiące, które syn Antypatra strawił na daremnych próbach choćby posłuchania u Aleksandra, bo przecież nie chodziło tylko o życie jego, ale i ojca, brata, cały ród Antypatra, w narastającej niepewności a potem już pewności raczej, że nie ma dla nich ratunku i wszyscy skazani są haniebnie a bez winy, bo winą jest tylko niemoc, tym większa im z pewnością większą podążał do dalekiej Azji, aby oczyścić ojca z bezzasadnych pomówień, miesiące te zmieniły go bezpowrotnie. Może dlatego, ojciec jego bezwarunkowo lojalny wobec dynastii wielkiego Filipa pozbawił go praw dziedziczenia i dlatego Kassander w siedmioletnim, drżącym na przeciw siebie chłopcu, zobaczył jego straszego ojca i poczuł nienawiść, która trawi nawet strach.

Zamknięty sześć następnych lat, do śmierci, która zbliżała się każdego dnia bardziej natrętna i namacalna jak mur otaczający ich zamknięcie, domek i niewiele drzew wokoło, milczący strażnicy, alejka i mur — ich świat, gdzie Aleksander dorastał będzie do śmierci i myślał o ojcu, który nie tylko począł go, ale nieświadomie wyznaczył mu w dniu urodzin śmierć, on syn demiurga ojca swego płacił będzie za jego nieprawości i gniew jak mat-

ka — coraz bardziej lunatyczna obja się między murami jakby wierzyła, że mogą otworzyć się i histerycznie tuli syna wiedząc, iż nie potrafi go osłonić, powtarza, że tylko ona pokutować winna za to co uczyniła, chociaż nosiła już w swoim łonie Aleksandra, gdy niepewność o los nienarodzonego jeszcze syna i nienawiść od dawna już wypalająca się w zazdrości, kazały zwabić jej pod pozorem wspólnego opłakiwania męża ich i pana, Statejrę, żonę ostatnią Aleksandra, córkę zwyciężonego przezeń króla Persji Dariusza i siostrę jej, wdowę po druchu Aleksandra najbliższym Hefajstionie, aby zwłoki ich zakopane w studni nie mogły zostać odnalezione już przez nikogo.

Diadochowie wiedzieli, że Kassander zabije syna boskiego Aleksandra przed osiągnięciem przezeń męskiej dojrzałości — czternastu lat. Słowa oburzenia stonowane zostały przez uczucie wdzięczności jakie żywić musieli wobec tego, który usunął im z drogi ostatnią przeszkodę do walki o świat. Może niektórzy przypomnieli sobie Roksanę, córkę baktryjskiego satrapy Oksyartesa. Przypomnieli ją sobie schodzącą po stopniach wykutych w skale z wydrążonej w gładkich fortecach, panią gór, zbyt piękną, aby mogła być śmiertelna, objawienie miejsc, gdzie skały sięgają nieba — i pożałowli jej jak żałuje się wspomnień.

Podobno przed śmiercią lęk o syna doprowadził ją na skraj obłędu, czepiała się rąk strażników błagając ich o litość i rozdierany wstydem Aleksander musiał ją uspokajać. Podobno Kassander wpatrywał się w zwłoki wychudzonej, postarzałej przedwcześnie Roksany i szkliste, przerażone oczy jej syna, dziecka, które nie zostało młodzieńcem a lata strachu nie przyzwyczyły go doń. Kassander wyglądał na rozczarowanego i miał zapytać: czy można zabić lęk? Ale nikt nie wiedział o jaki lęk mu chodzi.

.....

To co dla wodzów Aleksandra oczywiste było od dawna — stało się prawdą oficjalną. Tylko jeden z nich zostanie spadkobiercą, bo jeden może być Aleksandra następcą.

Bogów jest wielu i o różnych znaczeniach — król będzie jeden i zapanuje nad całą ojcumene, nawet nad tymi krainami odległymi, gdzie nie zdążył dotrzeć niepokonany Aleksander.

Wiedział o tym Demetriusz, tak jak wiedział, że to on może czas jakiś wespół z ojcem, zostanie nim. Zostanie następcą Aleksandra, którego śmierć zdziwiła wielu. Czy można było uwierzyć w śmierć boskiego zwycięzcy, syna boga co wielu traktowało tak dosłownie, że przebąkiwali o pozębieniu Aleksandra nie przez Filipa Macedończyka a przez węża, Zeusa w ciebie gada, który wślizgnął się do łóżnicy Olimpias? Czy można było uwierzyć, że odór zwłok Aleksandra nie wypełni świata? A może bóg Aleksander wybrał śmierć? Gdy pokonał wszystkich rywali i zapanował nad światem, zmęczony odszedł, nie zajmując się już królowaniem, może niegodnym Aresa wcielenia?

Demetriusz wiedział więc, że nie powinien jeszcze, dopóki dzierżą ziemię inni pretendenci do tego tytułu, przyjmować godności króla. Natomiast nadanie mu jej przez Ateńczyków uznać mógł za dobrą wróżbę i zapowiedź na przyszłość.

Coraz bardziej jako należne sobie apróbował Demetriusz kolejne honory z rąk Ateńczyków. Za właściwe uznał nazwanie imieniem swoim pierwszego miesiąca roku i ostatniego dnia miesiąca każdego. Jeśli Pallas Atena dała swoje imię miastu, nie było powodu, aby imię tego, który zwrócił życie Atenom, jego imię, nie zostało odcisnięte na czasie, którym żyje miasto, jak wizerunki jego i jego ojca utkane na procesyjnej sukni patronki miasta.

Demetriusz z ojcem mieli być nie tylko bogami swoich zasług. Aby zrodził się heros winien mieć w rodowodzie boski szczep i dlatego w oficjalny poczet potomków Ateny mieszkańcy jej miasta wpisali Antygonidę i Demetriadę. Symboliczne znaki boskości ich rodu.

Antygonos śmiał się, gdy doniesiono mu o tym. W pętli rzeki Orontes budował Antygoneę, która stać się miała już po wsze czasy jego pomnikiem, przekraczającym nawet wspaniałością nową stolicę Egiptu, kamienną pamięć wielkości jej twórcy. Nowa stolica świata przewyższyc miała Aleksandrię tak jak dzieła Antygonosa i syna jego przewyższą epopeję wodza jego wielkiego Aleksandra. — Honory, którymi obdarzają ludzie, nawet największe, są znakiem nie boskości a strachu i nadziei na nagrodę dających; kiedy znikają przyczyny, honory odbierane są z większą jeszcze

skwapliwością, pozostają dzieła i ich w kamieniu wykute domy — miał powiedzieć Antygonos. Czy mógł przypuścić, że kilka tylko lat później, zaraz po śmierci jego, miasto, które wznosi ponad czas, zburzone będzie po fundamenty, setkami lat pękające i gnijące w ziemi w wodach spływających z gór i piaskowych wiatrach, zapomniane przez wszystkich, a pętla rzeki Orontes zaciśnie się wokół syna jego, aby zadławić go, gdy Demetriusz wczepie już wszystkie nadzieje ucieczki i coraz bardziej ociężały i pijany rzucał będzie nie wiedzieć po co kośćmi, które objawić miały uśmiech bogini losu?

Jednak Demetriusza nie śmieszył gest Ateńczyków. Zawsze wiedział, że jest kimś innym, tak jak i ojciec jego, który nie był nigdy tylko jednym z choćby najwybitniejszych wodzów Aleksandra. Był kimś innym i czuł, że wola jego jak wola boga nadać potrafi kształt światu. Był z pewnością bliżej nieśmiertelnych niż tych wszystkich, pełnych strachu i zapobiegliwości, ciułających chwile jak wyżebrane monety, tych, którzy nie żyli a umierali od chwili narodzin jak powietrze gubiąc z dłoni ulatujący czas, wściekłych w tłumie i tchórzliwych w samotności, których rozsądek był maską bezrozumu jedynie.

Czy nie był rzeczywiście ze szczepu innego, skąd z boskiej krwi rodzili się herosi? Dlatego zastąpić mógł Dionizosa, swojego pobratymca przecież i słusznym było przechrzczenie Dionizji na Demetria, bowiem więcej uczynił dla miasta niż bliski mu bóg szału i ekstazy.

Stratokles mówi głosem ostrym i wysokim. Jego pobrużdżona, wysunięta ku przodowi twarz kurczy się i marszczy jak wprawiany w ruch pergamin. Mówi w ciszy. Ateńczycy nieruchomieją na kamiennych ławkach. Nie wiedzą czy Stratokles poważnie zgłasza ustawę, aby przyjęcie przed oblicze Demetriusza i ojca jego Antygonosa poprzedzone było ceremoniałem jaki należy jest przy składaniu ofiar. Wniosek Stratoklesa jest logiczny. Skoro Antygonidzi są bogami, to stając przed obliczem ich należy składać ofiary a ceremoniał prowadzony winien być przez naznaczonego ku temu specjalnie kapłana, kapłana ich czci.

Stratokles gestykułuje, jego małe oczki myszkują po siedzących na ławkach. Kto odważy się zapytać czy Stratokles mówi poważnie, gdy

Demetriusz znał będzie imię pytającego nim upłynie godzina? Kto przeciwstawi się tej uchwale i w imię czego podjąć miałby takie nieznane jeszcze ryzyko, gdy ustawa zmieni tak niewiele wobec wszystkich zaszczytów, którymi miasto obdarzyło swojego wyzwoliciela?

Wraz z wszystkimi Stratokles cieszy się z przyjęcia ustawy, wznosi ręce i krzyczy w aplauzie jakby zanosił się nieprzytomnym śmiechem. To na jego wniosek Ateńczycy przyjmowali ustawy o kulcie Antygonidów. Demetriusz wysłał mu nawet dary uznając jego gorliwość w okazywaniu wdzięczności miasta wybawcy. Kiedy jednak patrzył w przygięty kark Stratoklesa i widział nagłe spojrzenia spod nastroszonych brwi, poczuł się niemal niepewnie, rozumiejąc, że nie wie co powoduje kornie przygiętym przed nim człowiekiem.

Minęło już piętnaście lat, gdy niezwyczajnie ściszeni Ateńczycy spoglądali na morze znieruchomiałe w błękitnym upale. Sto siedemdziesiąt okrętów wojennych ruszyło przeciw Macedończykom a ich pograżona za horyzontem wspaniałość, jeśli nie była tematem każdej rozmowy, każdej myśli mieszkańców, tliła się w gorącym powietrzu, powracała nocą w poszumie fal, które usypiały i nie dawały zasnąć. Niepewność wypierała euforię zwycięstwa nad Antypatrem zepchniętym do Lamii i osaczonym, radość wybuchającą co czas jakiś w ulicznych okrzykach i zapewnieniach o oczywistości triumfu nad Klejtosem i powrotu wielkości miasta, sztuczną wesołość, która bardziej może była niepewności zagłuszaniem. Jednak to najprawdziwsza euforia zwycięstwa kazała ogołocić Ateńczykom nie tylko miasta skarbiec, ale i swoje zasoby bez czego niemożliwe było zbudowanie floty, którą rzucić można przeciw strasznym Macedończykom i ich wielkiemu admirałowi.

W upalną ciszę ulicy garncarzy ostro wdziera się krzyk Stratoklesa, który w wieńcu kwietnym na głowie biegnie między domami krzycząc — Cieszcie się Ateńczycy, cieszcie się i uczynicie dzień ten świętem waszym bo zaiste niezwykły to dla was dzień. — Zbiega się wokół niego tłum przekrzykując się i pytając, ale Stratokles powtarza tylko swoje przesuwając się drobnym truchtem a jego twarz przypominająca nienazwane zwierzę lśni potem.

Stratokles biegnie już w wielkiej grupie, ale za moment tłum rozpada się na kolejne wzbierające strugami wybiegających z domów, z podcieni, gajów mieszkańców pochowanych tam przed południowym słońcem, aby biec teraz nieprzytomnie wieszcząc zwycięstwo. Niedługo o triumfie wiedziało już całe miasto i powtarzało wiadomość w nieprzytomnej radości, nie pamiętając nawet kto ją przyniósł. Tylko niewielu doświadczonych z rady miasta pytać jeło skąd owe informacje i kto może za nią ręczyć. Jednak szal radości nie dopuszczał sprzeciwu i trzeba było dopiero całego następnego dnia, aby posłańcy z morza przekonali Ateńczyków, że obok wyspy Amorgos to Klejtos zniósł flotę ateńską.

Ciężar klęski spadł na miasto jak upalna noc. Jakby w ciemnym olśnieniu mieszkańcy zdali sobie sprawę, że przy Amorgos zatonała na zawsze już morska potęga Aten. A czym są Ateny bez morza?

Upłynął czas zanim Ateńczycy zdali sobie sprawę, kto był autorem oszukańczej wieści, gdyż Stratokles zgłosił w zamęcie opętanej radości przyjęty przez aklamację wniosek o wielkiej ofiarze dla upamiętnienia dnia tego. Wezwany do wytłumaczenia, ku zdumieniu Ateńczyków nie tylko stawiał się osobiście przed zgromadzeniem i nie bronił się niewiedzą, ale swoim zwykłym skrzekliwym nieco głosem z grymasem, który znaczyć mógłby równie dobrze kpinę jak i napięcie wielkie, zapytał donośnie — Cóż złego uczyniłem pozwalając się cieszyć wam przez dwa dni?

Może bezczelność ta, może przygnębienie czyniące mieszkańców miasta Ateny biernymi i ociążałymi uratowały Stratoklesowi życie. Zresztą nikt później nie miał czasu zajmować się nim w zamęcie poszukiwania dróg wyjścia, które plątały się tym bardziej im trudniejsza robiła się sytuacja. Ci jednak, którzy pamiętali tamten czas przypomnieli sobie dziwny grymas Stratoklesa, gdy wnioskował boski ceremoniał przy przyjmowaniu nie gości Demetriusza, ale ofiarników.

To był nieomal rok, gdy Demetriusz odkrywał swoją boską tożsamość w stolicy Grecji, mieście węża i bogini mądrości. Rok kobiet i młodzieńców, którzy robili wszystko, aby zobaczyć z bliska Demetriusza zbawcę, móc dotknąć go, móc poczuć w sobie jego boską obecność; byli dlań jak miasto, istnienie zbiorowe, którego twarzy, postaci zapominał, aby zapa-

miętać jedynie rozkosz, spazm panowania. Rok, który minął tak szybko, że Demetriusz nie miał czasu zastanowić się nad myślą nawiedzającą go jak wypowiedziane przez kogoś pytanie: czy rzeczywiście dał Atenom wolność?

Nie myślał także o znakach jakie Ateńczycy odkrywali jako gniew bogów. Huragan rozpędził największą procesję ateńską czasu Panatejów i rozdarł rozpozarty w powietrzu peplos patronki miasta z wytkanymi wizerunkami Demetriusza i Antygonosa między świętymi obrazami bogów i herosów Aten. Nieznane przymrozki zwarzyły winnice attyckie, które nie dały plonów a ołtarz nowych bogów — zbawców nagle obrósł szalejem i cykutą. Ze sceny teatru Dionizosa niosły się gromkie oskarżenia Filippidesa przeciw Ateńczykom a szczególnie Stratoklesowi, obrażającym bogów, którzy stracili już cierpliwość a gniew ich może być straszny.

— Świat pełen jest znaków, które wyjaśniać można na różne sposoby. Swoje prawdy czerpie Filippides od zauszników Lizymacha. Znam lepszych wiedzy piastunów. Sam wolę czynić świat sobie powolnym i wybieram te znaki, które prowadzą mnie ku temu — powiedział miał Demetriusz.

.....

Białe mury Antygonei wznoszą się ku niebu. W pałacu stary Antygonos czeka na wieści od syna, o którym myśli coraz częściej. Jakby syn nie tylko przejmował jego obowiązki, ale również zmysły, jakby ojciec mógł widzieć jego oczyma, słyszeć jego uszami, dotykać palcami jego. Coraz częściej Antygonos opuszcza swoje coraz cięższe ciało, aby ścigać swojego syna, siebie młodszego, wcielenie swoje jak chciałby wierzyć, ale jest to tylko sen o przekroczeniu siebie, wyjściu poza coraz mniej posłuszne ciało, przełamaniu więzienia czasu i przestrzeni, przeżyciu siebie. Antygonos potrafi wyobrazić sobie syna i świat wokół niego na moment tylko, aby za chwilę nie wiedzieć czy był tam z nim naprawdę, czy była to tęsknota obumierającego ciała i niepoddającej się ciągle duszy.

Teraz czeka na wieści o kampanii, która rozstrzygnąć ma panowanie nad morzami a więc być może losy jego i rodu jego. Doniesionu mu, że statek od zachodu, od strony Cypru zbliżył się do brzegu i zatrzymał, a na

czólnie na ląd przybył jeden tylko człowiek, który ruszył w stronę królewskiego pałacu. Antygonos wie, że musi być spokojny. To co miało się stać, stało się już i jego pośpiech nie zmieni niczego zasiewając tylko niepokój w sercach ludzi wokoło, których on wódz przekonać musi, że największa nawet klęska jest tylko chwilowym i nieważnym w istocie zrządzeniem losu. Dlatego na przekór krwi uderzającej mu falami do twarzy, obojętnie i wyniośle trwać musi zaciskając do białości dłonie na swoim zdobionym krześle, słuchając wieści o zbliżającym się dworzaninie Demetriusza, Milenezyjczyku Arystodemie, który z twarzą poważną i nieruchomą nie odpowiadając na pytania, w milczeniu podąża do pałacu. I widzi go już przed sobą, u stóp paradnych schodów, w otoczeniu bezładnego tłumu tłoczących się bez dbałości o godność, gdy podnosząc prawą rękę Arystodem mówi głosem słyszalnym w całej Antygonei — Raduj się królu Antygonie. Rozgromiliśmy w bitwie Ptolemeusza, zdobyliśmy Cypr i pojмалиśmy szesnaście tysięcy ośmiuset jeńców.

Jakby królewski tytuł użyty przez czującego efekt pochlebę, zmienił postawę Antygonosa. A może zmieniło ją zwycięstwo, które wydało się Jednookiemu ostatecznym królestwa Aleksandra zdobyciem. Przy aplauzie wojska, które starym macedońskim zwyczajem uznaje się władne przyznawać tytuł królewski, zakłada Antygonos biały królewski diadem i taki sam wysyła swemu zwycięskiemu synowi. Na wieść o tym diadem na Ptolemeusza głowę nakładają w Egipcie wodzowie jego i dworzanie. Takie samo władzy insygnium przywdziewają Lizymach i Seleukos.

Pisze Plutarch:

„Nie było to tylko dodanie nowego imienia, zmiana szat czy stroju, ale był to zaszczyt, który rozdymał ich zuchwałość, podwyższał mniemanie o sobie i sprawiał, że w sposobie życia i stosunkach z ludźmi stali się bardziej napuszeni i pyszni, mniej więcej tak jak aktorzy tragiczni przybierając kostium, aby zagrać w teatrze swoje role zmieniają sposób poruszania się, postawę, głos, sposób zasiadania przy stole i mówienia, tak oni od tego czasu stali się gwałtowniejsi wobec poddanych jakby odrzucili maskę i udanie przesłaniające ich absolutną władzę i czyniące wcześniej wiele

spraw łagodniejszymi i łatwiejszymi do zniesienia dla skazanych wobec nich na posłuszeństwo; taka może być siła i skuteczność głosu jednego pochlebcy, który jest w stanie doprowadzić do tak wielkich dla świata zmian.”

.....

Na początku to nie więcej niż punkcik na horyzoncie, którego nie dostrzega prawie nikt. Może to być odległa, biała chmura, którą nie warto się zajmować, bo nie wróży nawet niewielkiej zmiany pogody. Ktoś kto przypadkowo dostrzeże ją, nie będzie dzielił się z nikim nieważną obserwacją. Ale biały cień widnokregu rozsypuje się na szeregi punkcików coraz szybciej rosnących i mnożących się. Nie sposób oszukiwać się, że to nie żagle flotylli zbliżają się do Rodos.

Mieszkańcy miasta pozostawili już wszystkie zajęcia i w napięciu obserwują horyzont. Z tarasów jak stopnie amfiteatru, którymi miasto spływa ku wodzie, z murów, balkonów, dachów i okien jak na scenę patrzą Rodyjczycy na morze, gdzie rozpoczyna się przedstawienie, oni nie do końca jeszcze świadomi bohaterowie tragedii swojej śmierci, albo przetrwania. Patrzą jak zahipnotyzowani na flotę jakiej nigdy nie widzieli oni, ludzie morza, ani miasto ich, port najruchliwszy.

Morze wypełnione jest okrętami, woda wznosi się nie w falach a żaglach, których są setki, tysiące może jak odbłaski słońca w kroplach wody i coraz więcej ich migocze na fali uwalnianych wznoszącym się światłem. Nie trzeba za długo patrzeć w zatokę żagli o czym wie prytan Damoteles organizując ludzi, śląc ich po broń i pędząc na mury czy w różne punkty miasta. Trzeba zająć ich choćby niepotrzebnymi działaniami, aby nie oglądali setek wspaniałych okrętów wojennych, tysiąca transportowców, w brzuchach których gotują się do zniszczenia miasta weterani Antygonidów, stada pirackich okrętów, skąd zbóje morscy z nienawiścią po raz pierwszy dopełnioną triumfem, czekają pomsty towarzyszy swoich krzyżowanych na rejach czy twarzą do słońca na wybrzeżu, topionych wraz z okrętami, tropionych wytrwale i bezwzględnie przez zapobiegliwych Rodyjczyków; trzeba zająć mieszkańców zanim serca upadną im przed tak przytłaczającą przewagą jakiej dopełniają setki statków handlarzy kłeską, przybywających, aby zbijać majątek na miasta agonii, kupować złupione

dobro i właściciele jego, którym uda się przeżyć, handlarzy tak pewnych już Rodos upadku.

Demetriusz przybywa. Demetriusz gniewny, który zdecydował się ukarać przykładnie Rodos, wyspę uparcie sprzymierzoną z Ptolemeuszem, wyspę jak ogniwo spinającą jego Demetriusza już przecież morze. Przybywa gniewny bardziej jeszcze za zdobycie i przekazanie panu Egiptu statku, na którym żona przesyłała mu listy i przedmioty jego. Gniew syna Antygonosa rośnie, jakby ktoś wdarł się w środek jego intymnego świata, jego relacji z żoną, które dalekie od żaru namiętności są przecież jak sala jego snu, azyl boga splugawiony brutalnym najściem obcych i tego syn boskiego Antygonosa nie myśli puścić płazem.

Ogromne okręty płyną na port pchając przed sobą bale drewniane zbite w gigantyczną, najeżoną żelaznymi ćwiekami osłonę przed pociskami, które spoza murów miotają groźne maszyny rodyjskie, choć nie takie jakie Demetriusza fantazja rzuciła na odporne miasto. Jak okręt największy zbliża się ku brzegowi pływająca wieża wznosząca ponad umocnienia portu. Ale po pierwszym szoku, jaki spadł na miasto widokiem floty Demetriusza, jak obraz nieskończonego stada drapieżników białymi płetwami tnących żywioł, który je wydał, gdy napływały na Rodos, aby je pochłonąć, po pierwszym podmuchu obezwładniającego przerażenia, nie mieli już czasu Rodyjczycy na kontemplację potęgi swego wroga. Trzeba było bronić życia a więc i wolności dyktującej jego rytm, rodzin i dóbr, praw, które pozwalały przewidzieć a więc i obłaskawić świat. Trzeba było walczyć, a żeglarze i kupcy Rodos przywykli do ryzyka i wierzyli w szczęście swoje, szczęście miasta, którego patronką była córka Posejdona i żona Heliosa nie skąpiąca im łask swoich, bo, aby świetność nadać swojej wyspie, potrzebowali Rodyjczycy przychylności morza i słońca. Wierzyli w szczęście, gdyż wiara konieczna jest do sukcesu a wiedzieli z doświadczeń swoich i przodków swoich i rodaków wszystkich, tych, którzy pograżyli się w otchłani wodnej zaciskając palce na strzaskanych deskach nadziei i tych, którzy dymem poszybowali w niebo pozostawiając za sobą domy, bogactwa i potomków, zgodnie z zespołową wiedzą stającą się udziałem narodu, że w chwilach krańcowych przyszłość nieprzewidywalna jest jak morze.

Nieprzewidywalna jak południowy wiatr, podnoszący się, gdy żołnierze Demetriusza zdobyli już molo i wypełnili wodę wokół trupami obrońców, pokaleczonych spadających z desek platformy, aby tonąć w ulewnej strzał w coraz większych, zmieniających barwę falach. Wiatr przeradza się w huragan a niebo staje prawie czarne, gdy pływające wieże syna Antygona zaczepiają o mury. Potem widać już niewiele i Demetriusz ulec musi wreszcie swojemu kapitanowi przekrzykującemu wycie morza, że dotrzeć trzeba do bezpiecznego skrawka lądu z dala od pocisków Rodyjczyków, gdy nie sposób sterować w nawałnicy.

Wszystkie jego okręty próbują się już ratować, choć miotane wiatrem wśród ryczących fal, gdy pękają maszty i wiosła, zdane są raczej na przypadek, los szczęścia. W gęstym, wodnym zamęcie widzi Demetriusz swą największą pływającą wieżę przewróconą na bok i przykrywaną falami i wie, że inne maszyny morskie nie mają szans uratować się, jak nie ma nadziei na utrzymanie mola, gdzie pół tysiąca jego żołnierzy bez pomocy, której nikt nie może im teraz dostarczyć, ulegnie wreszcie przeważającym siłom Rodyjczyków.

Białe grzywy morskich koni, które ze skały wyrwał trójząb Posejda, buchają ku niebu. Piana ich pysków zlewa ludzi wczepionych w deski pokładów, zmywa w odbierający powietrze bezmiar, wydaje potworom wody. Morze to rozszalałe ciała trytonów, hippokampów, których spiżowe kopyta uderzają w burty statków, sturękich monster miotających jak skrawkiem kory schronieniami śmiertelnych odważających zapuszczać się w nie-swoje dziedziny, to twarz marszczącego brwi Proteusza; morze to powóz rozwścieczonego Posejda ziemiotrząsy wznoszącego do ciosu swój trójząb, boga chaosu, którego rydwanem jest żywioł oswobodzony władcy gniewem.

Zaczepiony liną o maszt, zalewany falami pragnącymi porwać go w otchłań, wygraża Demetriusz zazdrosnemu wód władcy, który zniszczyć chce jego, pana mórz także, tak jak udaremnił już wyprawę do Egiptu po cypryjskim triumfie, gdy uległy świat otwierał się przed Antygonidami a panowanie nad nim odebrał im bóg mórz rozbijając i topiąc flotyllę Demetriusza, tak, że sam wódz uratował się z trudem jak woli myśleć, aby nie

przypuszczać, że życie ofiarował mu jego boski konkurent. To wtedy, Demetriusz wznosząc się wraz z okrętem ponad oszalałe wody by runąć nieomal w tym samym momencie w huk, w głębię kipieli, nie wiedząc czy wody nie zamkną się nad nim, z wnętrzościami podchodzącymi do gardła i nie wiadomo czy to pionowy w dół lot, spadanie, czy wrząca woda zmienia się w strach, wśród obłędu lęku towarzyszy, przekrzykując wycie Posejdona poczuł życie jak słońca na twarzy wodę, życie, które odbiera oddech i ogłusza, jak krzyk wyciśnięte z własnego strachu, jak krzyk i krew płynącą z przegryzionych warg, jak wyzwanie.

Nie będzie kazał Demetriusz, teraz, na Rodos, po klęsce szturmie rozbitego furia Posejdona, chłostać łańcuchami nieposłusznego morza jak prawie dwieście lat wcześniej uczynił to król Persów Kserkses. Nie będzie także próbował przebłagać gniewnego bóstwa. Wie przecież, że zdobędzie świat i większy będzie niż Aleksander. Świat jak kobieta, który zmusić trzeba do uległości jeśli nie odda się dobrowolnie. Świat, w którym trzeba walczyć z ludźmi i bogami i Demetriusz wśród dowódców ponuro patrzących na uspakajające się morze i liczących straty: zgruchotane okręty i zaginionych ludzi, wybucha śmiechem.

Patrzy na miasto wznoszące się zielonkawymi od roślinności tarasami ku górze i na morze szare teraz jak twarze jego wojowników. Śmieje się zaciskając zęby bo wie, że zdobędzie miasto i morze i da światu widowisko jakiego dotąd nikt nie był jeszcze świadkiem.

Mury, miasto wzniesione ludzką ręką, ludzką wolą i przemyślnością wznosiło się przed nim jak należny mu łup. To jego przemyślność i wola zgruchocze to co wznosili Rodyjczycy setkami lat, to czego bronić będą determinacją ostateczną tysięcy mieszkańców swoich i sojuszników potężnych. Demetriusza moc zatriumfuje nad morzami, wbrew ich bóstwom nawet i dlatego musi on zmiażdżyć Rodos i nie ustąpi przed poselstwami całej nieomal Hellady, które błagają o odstąpienie za cenę darów i kompromisów ze strony wyspiarzy, odtrąci nawet mediację Ateńczyków pielgrzymujących doń jak do zagniewanego bóstwa; musi zdobyć Rodos, miasto córki Posejdona, musi złamać jego potęgę a dopiero wtedy okazać może wyrozumiałość.

Demetriusz buduje maszyny. Budował wieże pływające, które wędzić miały się do portu, górujące nad murami, z platformami umożliwiającymi rażenie z góry obrońców, z pomostami, które przerzucić można na mury, aby wędzić na nie; wieże wmontowane solidnie w okrętu konstrukcję, stabilne, aby mogły utrzymać się na morzu nawet przy silnym wietrze jak statek solidny. By budować maszyny takie musiał Demetriusz przedtem zapoznać się już z okrętów konstrukcją.

Dziesięć lat wcześniej asystował zafascynowany syn Antygona przy tworzeniu ojca jego morskiej potęgi. Patrzył jak do Tyru ściągają z gór Libanu na karawanach wozów zaprzęgniętych w muły i osły deski i bale wycięte z cedrów i cyprysów olbrzymich. Widział jak w dokach wygina i dopasowuje się belki w okrętów szkielety, jak później nadbudowuje się nad nimi rusztowanie pokładu i burt. Patrzył z bliska i wypytywał chciwie mistrzów szutników o własności drewna i morza, o to co przewidzieć a więc obliczyć można. On, który na ojca swego polecenie, od mędrców kształconych w wielkiego Pitagorasa zakonie uczył się zasad proporcji, które rządzą światem, stosunków liczb, przebiegów doskonałości ujawniającej się na powierzchni rzeczy, dziedziny pozoru na jaką jesteśmy skazani.

Potem sam z toporkiem już przycinał deski i wpasowywał je w kształt statku, który mógł być idealny na tyle tylko na ile ludzie potrafią zbliżyć się do doskonałości, a więc pozostawiał miejsce dla kolejnego, wyższego stopnia ludzkiego kunsztu. A przecież Demetriusz wierzył, że rozumem swoim i zręcznością, poprzez miary wywiedzione z doskonałych rachunków, stworzy nieprześcigniony wzór. Statek panujący nad dziedziną Posejdon i zazdrosnemu władcy mórz niepodległy, który dopędzi każdy umykający przed nim twór ręki ludzkiej i potrafi go pokonać, przebodzie swoim dziobem każdą burtę i opanuje morza.

Na razie jednak Demetriusz konstruował coraz większe okręty o wiosłach, z których każde poruszać musiały ręce siedmiu wiosłarzy a mimo to zwinne i szybkie. Starzy mistrzowie podziwiali jego niespodziewany kunszt, talentu spełnienie wymagające praktyki i wyjątkowe szczególnie u syna władcy a właściwie współrządzącego, gdy on projektował i tworzył okręty kolejne i uczestniczył w ich budowie jak rzadko który majster, przy-

cinając drewno, wbijając ćwieki i dogładając całości w gorączce nieomal z oczami patrzącymi gdzie indziej, jakby ślizgał się już po wodzie niedosiężny dla fal największych, dopędzał wrogie okręty i wdzierał do portów zdobywając dla siebie morze. Umiejąc wyliczać proporcje musiał także Demetriusz osobiście wcielać je w materialne kształty. Dopiero wówczas czuł, że panuje nad tworzywem i stwarza zeń rzecz nową, nadaje formę światu.

Wyginając dziób okrętu w kształt idealny, który odnaleźć usiłował między lambdą a sigma, kształt doskonały dla wody przecinania i dla radości oka ludzkiego, a więc kształt doskonały po prostu, czuł Demetriusz, że rozumieć dopiero zaczyna naukę akademików, którzy wskazywali mu jedność dobra, piękna i prawdy. Projektując okręt by odporny był na uderzenia morza i był jak strzała spuszczone z cięciwy przedziurawić gotowy każdą burtę, z siekierą w ręce osobiście wygładzając każdą nierówność, dopełniając łuku doskonałości, czuł się syn Antygona jak bóg biorący w posiadanie nieskończone dziedziny chaosu i jak bóg, któremu nic nie może się oprzeć, łamiący każdą wolę ucieleśnioną w dowolne dzieło.

To z tą świadomością budował wieże pływające, które zdobyć miały port rodyjski. Piękno ich było pięknem burzy zakrzepłej w formę, zmaterializowaną w drewnianej konstrukcji ideą nawałnicy, której nic nie może stawić czoła. Teraz, gdy uspokajające się fale ukazywały połamane deski rusztowań, jedyną pozostałość pływających gigantów, które otworzyć miały Rodos niczym skała brzuch statku, widząc w drewnianych odpadkach pogruchotane resztki swoich ambicji, mógł Demetriusz odczuć klęskę większą niż załamanie się jednego szturmu.

Jednak syn Antygona śmiał się pełną piersią. Zrozumiał swój błąd i wiedział już, że doskonałych rachunków nie wolno powierzać nieodpowiedzialnemu żywiołowi, który w świecie ludzkim jest udziałem chaosu. Aby walczyć, jak Anteusz oprzeć trzeba się na ziemi i takie właśnie ruchome konstrukcje przeciwstawi na skale opartemu Rodos i ukaże przewagę kunsztu swojego i swojej woli, które splecą się w jeden doskonały kształt Heliopolis, miast zdobywczyń.

W metalu objającym niszczeniu przeznaczoną, drewnianą konstrukcję przeglądają się mury i tłumy na murach i ich oczy, w których

wznoszą się kolejne piętra ogromnej wieży, każde wyposażone w balisty i katapulty wyzierające spoza ruchomych zasłon otworów strzelniczych. I ciągle wśród tysięcy postaci uwijających się przy rosnącej budowli widzieli Rodyjczycy purpurowy płaszcz Demetriusza. Gdy dziewięciopiętrową machinę górującą znacznie nad murami obijano płytami z żelaza, których nie mogły przedziurawić nawet strzały wypuszczone z katapulty, przebłyskująca metalem purpurowa plama wzmogła swoją aktywność. Król laską wskazywał ułożenie drabin umożliwić mających swobodne przemieszczanie się setek i tysięcy wojowników wbiegających na wieżę i tych, którzy będą musieli wycofać się, aby uczynić miejsce nowym i słyszał już wrzawę, widział zamęt biteny i zapobiegał chaosowi, wprowadzał weń ład, rozumem swoim i wolą porządkował żywioł ludzki.

A wokół Heliopolis powstawały ogromne tarany burzyć mające mury Rodos i platformy obite metalem, które chronić miały burzących mury i otwierających drogę machinom.

„Poliorketes — miast zdobywca”, powtarzali wskazując króla Rodyjczycy i był w tym niepokój, podziw i uznanie należne przeciwnikowi, którego znaczenie podkreśla walczących z nim męstwo. „Poliorketes” powtarzali jego żołnierze i był w tym zachwyty dla wodza ich, którego wielkość stała się również ich udziałem.

W purpurowym królewskim płaszczu narzuconym na zbroję Zojlosa, laską wskazując ostatnie detale konstrukcji i drogi przeznaczone do szturm, czuł się Demetriusz panem Rodos a co więcej Rodos bohaterem. Jego gesty w równej mierze przeznaczone były dla ukończenia ostatecznych i precyzyjnych przygotowań do Rodos zdobycia jak i dla widzów, przed którymi na amfiteatrze przedpola pod murami demonstrował swoją sztukę: miast zdobywanie, co znaczyło także panowanie nad ludźmi i materią, a niespokojny zachwyty w oczach Rodyjczyków więcej wart był dla niego niż oczywiste uwielbienie jego armii.

Budowa machin dobiegała końca. Osłony taranów leżały przed Rodyjczykami jak puste skorupy wymarłych dawno potworów. Okute metalem walce jak węże olbrzymie przygotowywały się, aby wgrzyźć w mury.

Heliopolis dopełniała się. Pod okiem i dłonią Demetriusza, w świetle promieni Heliosa, Rodyjczyków opiekuna cyzelowano ostatnie detale.

Poliorketes szykował się do zdobycia Rodos. Nawet nieprzyjaźni bogowie nie mogli przeszkodzić jego planom. Wydawać by się mogło zresztą, że zrezygnowali i oni a opór Rodyjczyków będzie dla Demetriusza jak huk fanfar dodający splendoru miasta zdobyciu. Nie mogły go więc przejmować drobne niepowodzenia: wzięcie w niewolę oddziału jego najlepszych żołnierzy kierowanych przez doskonałego dowódcę, których wysłał do podkopu licząc na zdradę Atenagorasa dowódcy najemników, gdy on w błąd tylko wprowadził Demetriusza. Wszystko to było jak podmuch niepomyślnego wiatru przed przybyciem do portu.

Wpatrując się w najświetniejszy portret Protogeneza przetransportowany mu przez żołnierzy z przedmieść miasta, portret, o którym słyszał wcześniej, malowany przez artystę lat siedem i ciągle w ocenie twórcy nieukończony bo niedoskonały, słuchając poselstwa Rodyjczyków błagających by nie niszczył tak pięknego dzieła, zwracając się do nich nieco profilem z nieruchomiejącą twarzą mówił, wymawiając szczególnie precyzyjnie bo wiedział, że to co mówi jak obraz, który ogląda przeznaczone jest dla niekończącego się szeregu pokoleń, że wolałyby zniszczyć portrety ojca swego niż uszkodzić dzieło takie, piękna wcielenie, myślał Demetriusz o pięknie nieomal ukończonych machin swoich, Heliopolis — w kształt zamkniętym miasta zdobyciu, pięknie burzenia, walki, śmierci, która nadaje wartość życiu i jest jak odbicie ostrza w metalu pokrywającym Heliopolis.

Szturm rozpoczął się, gdy pod skorupami osłon, w ulewie pocisków Rodyjczyków wyplantowano ziemię i zasypano fosy między ciałem maszyny a murami a trzy tysiące czterystu najsilniejszych żołnierzy pchać jęło wieżę w miasta kierunku i widnokrąg przesłoniły setki żagli okrętów uderzających na port. Heliopolis wczepiła się w mur. Zaczepiły oń i inne, mniejsze wieże. Pod obitymi metalem platformami tarany kasać zaczynają kamienie. Okręty przedrzeć próbują się przez łańcuchy i bariery zamykające port.

Zarzucane zapalającymi pociskami, dziurawione głazami z rodyjskich machin, nie mogąc sforsować barier dzielących od portu, okręty

płoną i toną. Wbiegający na mury z platform Heliopolis i innych wież wojownicy Demetriusza atakowani z furją przez obrońców, otaczani ze wszystkich stron mimo strzał sypiących się z wyższych pięter machin oblężniczych, nie mogą rozwinąć szyku, ranieni, rażeni pociskami, spychani z murów spadają, giną na kamieniach, odpadają od murów odtrącane bosakami drabiny, po których pną się kolejne oddziały by lecieć w dół, staczać w głąb niezasypanych jeszcze fos, pod odłamami skał, których niedługo dostarczać będą rozbierane domy miasta, gną się i załamują pomosty wież i znowu fruną w dół żywi i zmiażdżeni kamieniami żołnierze Demetriusza, pękają osłony taranów i poparzeni wrzątkiem wyjący ludzie usiłują uciekać jak ich towarzysze, żywe pochodnie w zbrojach oblepionych płonąca smołą; a tam gdzie mury pękły Rodyjczycy wznoszą już kolejne i mijają dni i noce, które są tylko jak ciemny płaszcz przesłaniający zmęczone do nieprzytomności twarze.

Pod murami, między pociskami obrońców, którzy usiłują dosięgnąć rozpoznawalnego z daleka w purpurowym płaszczu i wspaniałej zbroi, z platformy Heliopolis Demetriusz dyryguje szturmem, wysyła kolejne oddziały, koncentruje uderzenie a zdumienie długotrwałością oporu a więc i bezskutecznością usiłowań jego, zmienia się w zaciekłość, gdyż wie, że nic nie powstrzyma go przed miasta zdobyciem. A siły obrońców wyczerpać muszą się pod naciskiem jego armii i woli.

Jest spokojny, choć wściekłość jego na moment zapala wieść, że nawet taka nieporównywalna z niczym dotąd zgromadzona przezeń flota, nie jest w stanie skutecznie zablokować jednego portu, gdy między jego okrętami przemknęły się okręty sprzymierzonych niosące pomoc oblężonym: najemników i żywność, której zaczynało już w mieście brakować. Przestrzeni wód nie sposób przegrodzić więc jak przestrzeni nieba a okręty Rodyjczyków potrafią wyprawiać się i zdobywać okręty jego nim wielka flota ruszy im w pomoc.

Ale nadchodzi noc, kiedy słońce jakby powróciło, tylko na chwilę zanurzając się w morzu czerwoną poświatą, aby rozświetlić nią na powrót niebo. Rodyjczycy zniszczyć usiłują Heliopolis. Ściągnięte z wszystkich miejsc murów, wszystkich punktów miasta katapulty, balisty, onagery sypią

na wieżę deszcz ognistych gwiazd i grad gładów jak wyrzucany rękami tysiącami rozwścieczonych olbrzymów. Pękają metalowe osłony Heliopolis. Spod ran wieży wyłania się nagie drewno, które ogrniają płomienie a ludzie gaszący je padają pod deszczem pocisków, które zobaczyć mogą z ciemności oślepieni ogniem, dopiero, gdy wdzierają się w ich skórę, miażdżą czaszki.

W ciemności nie widać ilu ludzi ginie, tarza się w agonii na stratoswanej murawie, ilu opada na nieruchome kurchany pod murami, ale mimo furii Demetriusza, który coraz nowe oddziały śle na Heliopolis, nie jest to szturm na miasto tylko rozpaczliwa obrona coraz bardziej zagrożonej wieży. Wreszcie musi zrozumieć to i Poliorketes, gdy Heliopolis płonie już w kilku miejscach a ulewa pocisków bębni po jej skorupie jak grad po płótnie namiotu, każe odtoczyć ją i znowu nie widać ilu miażdżą ogromne koła wieży, ilu ginie obalonych kamieniami, we wrzasku nocy, który jest triumfalnym krzykiem Rodyjczyków, skowyt konających jest nieodróżnialny i gasnący olbrzym powoli oddala się w mrok.

Jak rannego człowieka dogląda Demetriusz swojej uszkodzonej wieży. Wie już, że oblężenie trwa zbyt długo a więc raz jeszcze przygotowuje decydujący atak. Jest świt i znowu horyzont przesłaniają żagle okrętów a na mury ruszają maszyny Demetriusza i ze wszystkich stron cała jego armia, aby, gdy zajęci walką Rodyjczycy wyślą do obrony wszystkie swoje odwody, uderzyć taranami w nadszarpnięty fragment muru, wyłamać go i rzucić w wyłom przygotowany uprzednio półtoratysięczny oddział doborowych żołnierzy.

Wojownicy Poliorketesa wybijają grupkę obrońców nim nadciągnąć zdołają posiłki, wdzierają do miasta i opanowują całą, niebronioną prawie dzielnicę. Docierają do teatru. Wpadają między ławki widowni i na pustą scenę. Demetriusz wie, że zwyciężył, wiedzą to jego żołnierze wznosząc okrzyk zwycięstwa i ze zdwojoną siłą atakując miasto a popłoch po raz pierwszy ogarniać zaczyna Rodyjczyków, z których część opuszczać chce mury, aby bronić miasta a część nie wie po prostu co robić, gdy docierają do nich rozkazy pryтана Damotelesa, który trwać im każe na posterunkach zawiadamiając, że sytuacja jest już opanowana.

Sytuacja nie jest opanowana i tylko odsiecz Rodyjczyków blokuje wyłom w murze nim dopadną go kolejne oddziały Demetriusza, które obrońcy są w stanie teraz zatrzymać a sam Damoteles ze swoją strażą przyboczną i niewielką grupką najemników, którzy nie walczą jeszcze na murach, dobiega teatru, aby zatrzymać przeważające wielokrotnie siły Demetriusza. Prytan wie, że musi osadzić wroga póki nie nadejdzie odsiecz z miejsc, skąd po odparciu ataku, odesłać można choćby część niewielką obrońców.

Wśród kamiennych ławek i w odsłoniętych korytarzach trudno napastnikom rozwinać całą siłę, gdy Damoteles prowadząc swoich ludzi zna tu każdy kamień, każdy cień. Prowadzi ich i walczy pierwszy. Odpiera ataki i jest już wielokrotnie ranny, ale wie, że nie może jeszcze zginąć. W ogniu słońca wznoszącego się coraz wyżej, na kamieniach jak płomień żaru, przełamując wyczerpanie, które straszniejsze jest niż ból, bo to nie zszarpane i pokaleczone mięśnie są w stanie raz jeszcze wznieść tarczę przed uderzeniem i uderzyć samemu i krzyknąć na ludzi, poderwać ich, zmusić do beznadziejnej walki, Damoteles uderza mieczem czując za każdym razem, że jest to już uderzenie ostatnie, gdyż nie podniesie w górę żelaza raz następnym i nie krzyknie czując krew płynącą z gardła, z ust i uderza znowu, i znowu, i krzyczy, gdy w napastników kamieniami rzucają nadbiegłe kobiety i wyrostki i widzi już nadciągających pierwszych żołnierzy, którzy oderwać mogli się od pozycji na murach po odparciu szturmujących, i wie, że zwyciężyli nie nadążając podnieść tarczy a miecz sięga go, ruzłupuje nadwyrężony hełm i Damoteles pada, kiedy kolejne ostrze wbija się weń, a on unosi się na kamiennym morzu ognia pod słońcem, które sięga zenitu i jest jak błogosławieństwo Heliosa dla swego miasta.

Tym razem nie był to tylko kolejny odparty szturm. W mieście utracił Demetriusz swój doborowy oddział i wydawałoby się pewną szansę na zwycięstwo a wojskami jego powiały pomruki niezadowolenia. Szepty o beznadziejnych ofiarach, lekkomyślności wodza i niełasce bogów.

Demetriusz wiedział, że musi zwyciężyć i zdobyć Rodos. Im dłużej trwać będzie oblężenie tym pewniej miasto padnie mu do stóp. Ponawiać trzeba tylko szturmy, ponawiać ataki, dzień za dniem, dokąd ludziom nie zemdleją ręce i nogi, dokąd nie osuną się pod ciężarem broni a wtedy

dać im należy wytchnienie, sen po to, aby następnego dnia znowu rzucić ich na mury; i dalej, dalej, aż do zwycięstwa.

Ale mijał rok. I Demetriusz otrzymał list od jedynej istoty, przed której wolą gotowy był się ugiąć. Antygonos wzywał go do Hellady, gdzie Kassander odwojowywał region po regionie, miasto po mieście i zaczął właśnie oblegać Ateny. Władza Antygonidów w Grecji została zagrożona.

Po niezwyciężonej armii i niepoliczalnej flocie, które pewnego dnia oddaliły się w bezchmurny horyzont, zostały nieznane wcześniej maszyny oznaczone walką, ale piękne jak walka sama, samotne wieże na widnokręgu morza. Wymienione na złoto przeistoczyły się w posąg Heliosa patrona miasta, największy posąg świata stopami wparty w dwa przeciwległe cyple zatoki, między którymi wpływały do Rodos statki. Cud świata, pamięć którego przetrwa pamięć króla — miast zdobywcy, stwórcy budowli ruchomych przeznaczonych walce, cud świata z machin oblężniczych wyrosły.

* * *

Był bogiem. Domem jego stał się Partenon, świątynia Ateny, jego starszej siostry. Jedyne godne go w Atenach domostwo. Czy wierzył Demetriusz w boskość swoją, czy może przestał już w ogóle wierzyć w bogów?

Po kolejnej kampanii, gdy już podporządkował sobie całą nieomal Grecję, wracając do Aten, Demetriusz poprosił listownie o wtajemniczenie go we wszystkie miasta misteria. Młody bóg był niecierpliwy, zaznaczył więc, aby wszystkie inicjacje nastąpiły w tym samym czasie. Kiedy tłumaczono mu, że najważniejsze wtajemniczenie Epoptyków odbywać musi się w dwóch ceremoniach: mniejszej we wrześniu i większej w sierpniu, zwanych wrześniową i sierpniową, po to właśnie, by nie można było zmienić biegu rzeczy i po inicjacji pierwszej upłynął co najmniej rok dla przygotowania się do wtajemniczenia właściwego, Demetriusz zachnął się. — To co właściwe jest dla zwykłych śmiertelników niewłaściwe jest dla bogów —

powiedział podobno. A gdy tłumaczono mu, że niemożliwe to jest choćby ze względów formalnych, odpowiedział — to już nie moja sprawa!

Demetriusz ścigał wiedzę. Ścigał ją jak wszystko inne: sławę, podziw i miłość ludzi, jak zwycięstwa, ciała, twarze, obrazy i przestrzenie, piękne słowa i gesty, zapamiętnia i sny, jak wszystko co zdawało się mu jest w stanie ogarnąć rękami, schwytać w dłonie jak umykającego ptaka. Wierzył więc, że istnieć musi formuła rozumienia, ukryte serce świata tłoczące krew wiedzy. Musi istnieć wiedza pewna, wolna od wątpliwości, ofiarująca naturę rzeczy a nie jej morfologię a więc pozwalająca nie tylko zbadać, ale i przewidzieć bieg spraw.

Jednocześnie czuł zawsze, że jak ojciec jego jest depozytariuszem zasady rzeczy. Z czasem nazwał ją i uświadomił sobie, że jest nią działanie. Chciwy tłumacz był przecież nimi ciągle rozczarowywany i znużony prędko. Nie mógł uwolnić się od wrażenia, że wszystkie wyjaśnienia, cała wiedza teoretyczna jest jak rysunek, który niezdarnie naśladować usiłuje głębię rzeczy. Przecież cała wiedza o budowie okrętu nie wystarczała dla właściwego uchwycenia siekiery i nie potrafiła tego opisać. Arystoteles kroił podobno martwe zwierzęta, myślał Demetriusz, a wiedza jest jak filozof dociec usiłujący istoty ruchu z umarłych ściegów. Świat staje się i stwarza i to ja jestem jego twórcą!

Drugą stroną tego przeświadczenia było jednak przekonanie o tajemnicach, które odkryć można potęgą rozumu i woli. To co wyrywa mieczem świata ma swój rewers, który winien wydostać rozumem i do tego jak do sztuki walki potrzebuje przewodników, i ta wiedza jak sztuka panowania dostępna jest tylko wybranym. Kiedy jednak sugerowano mu zwykłą drogą do wtajemniczeń ogarnął go gniew i oburzenie.

Czy nie był jedyny?! Wybrany z wybranych?! Czy może więc również wobec siebie przyjąć prawdę skądinąd oczywistą, że wtajemniczenia wymagają przygotowania i pokory adepta?

Był marzec. Na wniosek Stratoklesa zgromadzenie ludowe uznało go za wrzesień, a po przejściu przez Demetriusza pierwszego wtajemniczenia miesiąc nazwany został sierpniem, aby wyzwoliciel Grecji mógł zostać inicjowany właściwie. Potem marzec znowu okazał się marcem i wszystko

mogło wrócić do normy poza pamięcią Ateńczyków, którzy długo przypominać mogli sobie zniekształcony głos Stratoklesa i twarz jego w skurczu szyderstwa, uniesienia?

Misteria, o których Demetriusz marzył długo w Azji a potem oczekiwał ich, gdy jako wyzwoliciel przybył do Hellady, przestały mieć znaczenie. „Nienajlepszy teatr”, myśleć mógł Poliorketes, wsłuchując się w podniosłe formuły wygłaszane przez kapłanów prowadzących go przez ciemności, wynurzając się z półmroku w oślepiający blask i znowu pogrążając w nocy, skąd przeświecały jedynie zarysy postaci i zdarzeń, aby odnaleźć się w obcym świetle między żywymi obrazami i podążyć labiryntem wśród znaków i symboli, nad którymi nie miał czasu się zastanawiać, w sytuacjach wyzwalać mających lęk i oszołomienie, aby uwolnić od nich i być może powodować pokorę wobec odkrywanych prawd, a u niego wyzwalały rozbawienie przemieszane ze zniecierpliwieniem, gdy przypomniał sobie miesiąc, który dla jego wygody stał się najpierw wrześniem potem sierpniem, aby znowu powrócić do swojej marcowej istoty i pomyślał, że ci stwarzający na jego użytek światy, starać się muszą, aby nie przstraszyć go naprawdę ani nie rozgniewać.

Patrzył ze wzgórza patronki na jej miasto u swoich stóp. Słyszał odległy ludzki gwar. Miasto napływało zapachem morza, fijołków, odorem alg, świeżych ryb i zwierząt jucznych. Chłodna przestrzeń nasączała się ciepłem. Zapominał jak długo i po co

jest tutaj. Powietrze wypełniało go i rzeczy, które postrzegał jak na odległych skalistych płaskowyżach Azji, nad żółtymi ziarnami pustyni, w stepie o rudych łodygach pusta przestrzeń po widnokrąg, która dosięga go, jak na morzu. Tam musiał pędzić, zachłystywać się pustką, aż pozostawał sam pęd unosząc go coraz dalej od siebie. Tutaj pił wino. Przeźroczy, zielonkawy płyn nasycił barwy i rzeczy wokół niego. Wtedy wzywał kobiety, młodych chłopców i swoich towarzyszy.

Każde ciało mogło być obietnicą. Rzucił się między nie jak w ogród żywych owoców. Sięgał jak po doznania, których wir ogarniał go. Świat stapał się w skurczu rozkoszy. Demetriusz przemieszczał się między ciałami pogrążając w nie i widząc równocześnie jak posiadają je jego towa-

rzysze i zapamiętywał się w rozpuście jak w walce. Zmuszał je do uległości, zdobywał, otwierał i zanurzał aż do zupełnego wyczerpania, gdy świat odpływał i pił wino wlewane mu do ust przez usługujące ręce a wszystko stawało się odległym szumem obrazów i odczuć.

Jak w walce potrafił ogarniać go szął. Wywrzaskiwał życzenia i poganiał razami, aby spełniane były natychmiast, ubliżał i traktował partnerów namiętności swojej jak rzeczy, upokarzał i zmuszał aby dziękowali mu. Wsłuchiwał się w skomlenie bitych, aby zmieniać ich w przedmiot rozkoszy, posiadać ich i zmuszać do nieomal takiego samego skowytu ekstazy. I znowu tacy sami jednoczyli się w dionizyjskim szale.

I była Lamia. Jak wszystkie kobiety. Była piękna i chociaż nie była już młoda, kiedy zobaczył ją, gdy stanęła na przeciw niego na zdobytym okręcie Ptolemeusza, poczuł, że jest to ktoś wyjątkowy. Towarzysze potrafili nawet okazać zdziwienie swoje dla namiętności jego wobec, jak uważali, przekwitłej już hetery i tłumaczyli to sztuczkami miłosnymi, albo czarami wręcz, których Lamia wyuczyła się latami praktykowania swojej sztuki. I może były to czary. Umiała uspokajać go, usypiać zmożonego alkoholem i miłością i nagle, jeśli zechciała, budzić w nim namiętność; potrafiła być matką nieomal usypiając w sen bez snów, który jest tylko ciepłym schronieniem i być wstydliwą dziewczynką, przed którą odkrywał powaby uciech cielesnych; opanowała sztukę przeistaczania się z pomocą barwników, gestów i głosu, które czyniły ją kimś innym. Organizowała orgie i zachęcała, by uczestniczył w nich podsuwając mu osoby i pomysły, przytrzymując wyrywające się ofiary, uczestnicząc w zbiorowym spełnieniu i spółkując na jego oczach z kilkoma, aby przez moment czuł rozkosz upokorzenia, podniecenia i nienawiści i zapomniał o tym, kiedy przywdziewała odmienne wcielenie.

Tak inna od Fili, żony, królowej, matki syna jego Antygonosa. Nieruchomej w swojej królewskiej godności i jak pamięć o niej niezbędnej Demetriuszowi. Fila, która niekiedy przywoływała mu swoim widokiem obraz Kraterosa, wcielenia cnót wojownika — jej pierwszego męża, który pierwszy zginął w walkach dziedziców, bo może nie chciał uczestniczyć w nich naprawdę.

Mieszkał na Akropolu. Kolorowymi oczami pomników zewsząd patrzyli nań bogowie. Przebierał niekiedy hetery za dziewiczą patronkę miasta i ustawiał w pozycji bogini, aby potem rzucać je na kolana, lżyć, kazać ssać swój członek, zlewć ich twarze spermą i moczem, jak zwierzęta na czworakach zmuszać do zbiorowej kopulacji. — Kurwa Atena! Wyrzaskiwał — Boska suka! Kamienne posągi bogów milczały.

Gdy budził się zmęczony niespokojnym snem, o którym nie wiedział, kiedy zaczynał się a kiedy kończyły się szaleństwa nocy, powracało do niego oblężenie Rodos. Spazm niekończącego się szturm i walki. Jego Heliopolis jak stający dęba koń zaczepia kopytami o mury miasta.

Musiał odstąpić a przecież wygrał. Bezskuteczne oblężenie stało się tytułem do chwały. Nazwano go Poliorketesem. Ale tam walka wyznaczała rytm jego dni. Tu, na wzgórzu bogów, gdy miasto leżało mu u stóp, czas był pusty jak powietrze rodzącego się dnia.

W Atenach ścigał Demoklesa. Nie tylko dlatego, że olśniła go uroda, która oszołamiała całe miasto i przyniosła chłopcu przydomek „piękny”. Demokles uciekał przed Poliorketesem, nie odpowiadał na listy, nie przyjmował prezentów. Demetriusz, ten, na którym zogniskowało się spojrzenie wszystkich Hellenów a nawet barbarzyńców zamieszkujących dziedziny ludzkie, oczekiwany następca Aleksandra, bóg w ludzkim ciele, zdobywca miast, pan mórz, ciągle młody i piękny, wyzwoliciel Hellady, mistrz sztuk rzadkich zdolny osobiście budować najdoskonalsze okręty i maszyny oblężnicze, ujmujący tak swą ogładą i wspanałością jak ekscytację budzący swymi szaleństwami w walce i w pokoju, ten, który bogów wyzywał orgiami jakich nie znał nikt na świętym wzgórzu patronki Aten, niezwyciężony w walce i miłosnych zapasach, o jego spojrzenie zabiegały żony dostojnych mężów, dziewice z surowych rodzin i młodzieńcy z szacownych domów a jeden gest wystarczał, aby sprowadzić na jego posłanie najwierniejszą lub najwstydlivszą, wiedział, że jak nikt ze śmiertelnych godzien jest uwielbień a odrzucenie względów swoich poczytywał za niezasłużoną obrazę, opór Demoklesa wyzwolił w nim gniew, gniew, który przerodził się w pasję. Wiedział, że musi zdobyć Ateńczyka.

Czekał na samotność jego nie dlatego nawet, iżby obawiał się oburzenia Ateńczyków czy choćby rodziny najbliższej Demoklesa, wstydził się swego za urodą niedorostka pościgu. Aż dopadł go wreszcie w jego domu. Samotny, powoli zbliżał się do chłopca, którego lęk budził w nim narastające podniecenie. Pewny swojej siły widział przed sobą bezbronną piękność zdaną na jego łaskę. Chwytał właśnie dłoń Demoklesa, gdy ten wywinął się mu i skoczył pod ścianę, gdzie na ogniu bulgotał wielki kocioł wody.

Zmieniony w posąg widział Demetriusz rozpaczliwy skok chłopca do wrzątku i w tym samym momencie urywający się od razu nieludzki wrzask. Czas tracił swój rytm i upływały długie chwile nim zbliżył się do kotła, aby zobaczyć obrzmiały, czerwony kawał mięsa, który jeszcze przed momentem był ciałem ludzkim. Kiedy wybiegał zdawało się mu przez moment, że widzi znieruchomiałą twarz ojca chłopca, który obserwował całą scenę.

Upił się jeszcze tej nocy i z nienawiścią pogrążał w ciałach heter, wbijał między chłopięce pośladki i pastwił nad nimi, aby zasnąć wreszcie w objęciach Lamii. Dziwił się będzie, że wśród tylu śmierci i gwałtów powróci doń czasami scena śmierci Demoklesa i twarz ojca jego, której przecież nie zobaczył wtedy.

Ale historia Demoklesa była jedyna i unikalna. Zaproszenia od Atenek wszelkiego wieku i stanu zasypywały Poliorketesą. Codziennie natrafiał na swojej drodze na kobiety czekające na jego spojrzenie, młodzieńców gotowych na każde skinienie przyłączyć się do jego orszaku, codziennie zawołowane piękności błagały o przyjęcie w siedzibie bogów na Akropolu.

Klejnetos syn Kleomedona był nieomal tak samo piękny jak Demokles. A może piękny był tak samo, tylko niedosiężność martwego nie dawała żywemu szans w oczach Demetriusza, zwłaszcza, że żywy uległy był bezgranicznie i posłusznymi oczyma wypatrywał choćby pojawiających się na twarzy Poliorketesą życzeń. Kiedy rano drżącym głosem Klejnetos zaczął wyłuszczać swoją prośbę, rozbawiony Demetriusz pomyślał najpierw, że przeliczył się sądząc, że to przymioty jego sprowadziły

doń gotowego na wszystko chłopca a potem zastanowił się czy rzeczywiście natrafia na różnicę jakąś między Kleajnetosem a tymi, którzy oddawali się mu z fascynacji potęgą jego i wielkością objawiającą się właśnie w możliwości spełniania życzeń niespełnialnych dla innych.

Zgodził się spełnić prośbę Kleajnotosa tym chętniej, że bawiło go uczynienie dla miasta prawa z żądzy swojej, która jak kaprys bogów staje ponad śmiertelników zasadami. Wszyscy wiedzieli co spowoduje uwolnienie uwięzionego za długi ojca Kleajnetosa.

Demetriusz widział jak nieskończenie przerasta innych śmiertelników, widział jak ulegają mu, muszą ulec, kiedy jest bogiem, albowiem jest nieskończenie odmienny od tych, którzy otaczają go, wyglądają łaski jego spojrzenia, zainteresowania. Widział równocześnie jak dalece potomkowie Tezeusza, Solona, Peryklesa sami upokarzają się czekając względów jego, jak kwestionują swoje prawa i religię wreszcie, która jest fundamentem praw i porządku, widział to i zaczynał czuć pogardę.

Rozgniewał się jednak, gdy zaraz potem uchwalono ustawę zakazującą dostarczania mu listów pisanych do zgromadzenia obywateli. Może właśnie tchórzliwość tej próby wzmogła jego gniew. Nie miał jednak czasu, aby dać Ateńczykom odczuć owoce swego oburzenia. Okazało się, że nie tylko edykt został odwołany, ale jego pomysłodawcy skazani na śmierć. Nie interweniował w ich obronie. Miasto zasłużyło na swój los. Kolejna ustawa mogła bawić go, bo dalej nie można było się już posunąć. Na wniosek Stratoklesa przyjęto, że wszystko co zadecyduje król jest dobre dla miasta i zgodne z wolą bogów. Zgromadzenie wolnych obywateli ugłaskać usiłowało swojego pana.

Stratokles pieje nieomal. W jego skrzypliwym głosie nikną słowa, gdy proponuje uchwałę, która zdumiewa wszystkich. Jego mała i zwiędła jak stare jabłko twarz marszczy się w wyraz ostatecznego triumfu. Kto bowiem wśród przerażonych obywateli, tych którzy z powodu grymasu niezadowolenia pana z Akropolu śmiercią ukarli próbujących jeszcze wystąpić w obronie praw miasta i jego niezależności, przeciwstawi się nawet najbardziej obłąkanemu żądaniu, jeśli w grę wchodziło będzie ryzyko rozdrażnienia boga — Demetriusza?

Oszłołomienie tylko dyktuje jednemu z zasiadających krzyk — to przecież szaleństwo! co powoduje komentarz siostrzeńca Demostenesa, Democharesa zwanego Lakończykiem — byłoby to szaleństwo, gdyby nie było aż takim szaleństwem!

To nie Poliorketes zmusza Ateńczyków do płaszczenia się przed nim i ustanawiania praw czyniących go bogiem najwyższym. Nie on żąda od Ateńczyków by śmiercią karali choćby nieśmiało bronić usiłujących resztek praw ich i godności, nie on podsuwa pomysły Stratoklesowi a jednak co czas jakiś, po kolejnym zgromadzeniu, bez noty żadnej wysyła mu garść złota jak pieniądze rzucane sprzątajacemu nieczystości z jego drogi. Poliorketes nie myśli nawet specjalnie o Ateńczykach i nie zastanawia nad nimi, czasami tylko dla żartu jakby sprawdza jak daleko mogą się posunąć. Jak wtedy, gdy wyraził publicznie zdziwienie, że Ateńczycy spokojnie przyjęli obraźliwe stwierdzenie Democharesa. Na drugi dzień, wołą ludu siostrzeńiec Demostenesa został wygnany.

Czas na Akropolu był dla Demetriusza jak sen. Był oczekiwaniem przyrywanych kampaniami podporządkowującymi Antygonidom Helladę. Był łagodnym podmuchem powietrza rozcieńczającym wszystkie obrazy tak, że należało spełnić haust wina, z entuzjazmem wykrzyczeć pijacką piosenkę, sięgnąć po ciało wyzwalające podniecenie i posłuszne, ścigać postacie za woalem, zasłoną ubioru, obnażyć je, posiąść i wyjawic ich trywialną tajemnicę, aby uwierzyć, że można istnieć. Był czasem coraz okrutniejszych żartów sprawdzających powolność Ateńczyków i obojętność bogów.

Czasami podróżował do ojca, który wznosił wokół siebie coraz okazalsze mury Antygonei. Stary cyklop, nieruchomiejąca góra mięsa, przypominał mu to co syn wiedział najlepiej: jest to czas oczekiwania przed ostateczną rozprawą, która rozstrzygnie losy świata. Czas dopełnia się i bębny wybijają już takt rodzącego się dnia. Dnia, kiedy przejmą dziedzictwo Aleksandra i rozszerzą je aż do najdalszych krańców ziemi, oni już i tak więksi, którzy drwią z żalonych konkurentów swoich na podwładnych ledwie się nadających. Nadchodzi czas starcia największego.

Chory Kassander wycofał się do swoich twierdz. Panował jeszcze nad największymi miastami Macedonii, ale nadchodził już Poliorketes,

straszny miast zdobywca z wielką armią, niepokonany, tylekroć już rozbijający oddziały Kassandra a teraz plujący krwią władca Macedonii nie ma sił dla przeciwstawienia się mu. Większość wojsk wysłał na pomoc Lizymachowi szykującemu się do azjatyckiej kampanii, aby po połączeniu się z Ptolemeuszem i Seleukosem zgromadzić armię zdolną przeciwstawić się Antygonidom i stanąć z nimi do ostatecznej rozprawy. Zanim jednak stanie się to, Demetriusz zgnieść potrafi Kassandra co zrozumiał władca Macedonii obserwując nadciągającego syna Jednookiego. Gdyby Lizymach przedostał się do Azji, Poliorketes ruszyć musiałby jego śladem, aby połączyć się z ojcem i Kassander mógłby być uratowany, gdyby... Ale Hellespont jest w rękach Antygona, pieczę nad nim sprawuje przemyślny Filetajros a wkroczenie do Azji nie tylko kosztować będzie wiele krwi i wysiłków, ale wcale nie wydaje się pewne...

A jednak niespodziewanie do Kassandra dociera list Demetriusza z propozycją układów, Filetajros zdradził, Lizymach przeszedł Hellespont. Przerażeni nagle pojawiającą się armią Lizymacha na jego stronę przeszli inni wodzowie Antygonosa i Lizymach dotarł do Sardes bez walki.

Eunuch Filetajros rozpoczął karierę, która zamknie się w chwili śmierci sędziwego władcy czterdzieści lat później a uznać można, że rok po jego śmierci, kiedy bratanek Filetajrosa Eumenes pobije pod Sardes Antiocha syna Seleukosa, utwierdzając jednoznacznie prawo swoje i dynastii Attalidów do władania niepodległym Pergamonem. Eunuch, którego najwyższym tytułem mogło być zarządzanie skarbem, co uzyskał od Lizymacha za wkład swój w jego nad Antygonidami zwycięstwo, nie myślał zadowolić się tym. Dwadzieścia lat po tym, gdy dla Lizymacha zdradził Antygonosa, niespodziewanie wraz z królewskim skarbem przeszedł do obozu Seleukosa pomagając mu wydatnie w pokonaniu swojego długoletniego pana. Co skłoniło Filetajrosa, aby od zdezorientowanych i zdemoralizowanych żołnierzy po śmierci Seleukosa tuż przed ostatecznym wydawałoby się triumfem, wykupić ciało króla swego, którego nie udało się mu jeszcze zdradzić, bo za zdradę nie uznawał nikt ogłoszenia się przez eunucha władcą niezależnym wykorzystując zamordowanie króla i odległość dzielącą go od następcy tronu? Czy okazały pogrzeb, który wyprawił Filetajros zamor-

dowanemu królowi uznał za zadośćuczynienie za władzę nad Pergamonem? Czy może pożegnać chciał się stary człowiek z kimś kogo losy spletały się z jego całe życie, kimś wspaniałym i zazdrości godnym, wtedy, gdy zwyciężył już swój los i nie będzie już musiał zdradzać nikogo, bowiem z pogardy godnego kaleki stał się władcą udzielnym, panem swych poddanych i ich obrońcą, co zademonstruje za lat kilka odpierając od murów Pergamonu barbarzyńskie hordy Galatów?

Demetriusz pędzi przed sobą porażoną strachem konnicę Antiocha. Bitwa jest wygrana a on zapamiętuje się w pogoni, w ekstazie, aby zorientować się, kiedy będzie już za późno. Setki słoni Seleukosa szarżują na niego, a za tym żywym wałem, ginie nie mogąc doczekać odsieczy syna stary cyklop — Antygonos Jednooki.

Gruby, postarzały, pijany Demetriusz rzuca kośćmi w pętli rzeki Orontes, blisko miejsca, gdzie po fundamenty zniszczono dzieło ojca jego Antygoneę, której pamięć przetrwać miała stulecia a której nie pamiętał już nikt. Kości toczą się, a ich drewniany łoskot jest jak stuk kopyt końskich. Bezradny bóg w pętli ciała, czasu i swojej słabości, coraz mniej bóg, gdy dopada go poczucie beznadziejności, któremu nigdy dotąd nie uległ. Oddała się od siebie jak wtedy, gdy opuścili go Macedończycy i odszedł jak aktor, którego rola dobiegła końca. Bogowie śmieją się nad nieprzytomną głową spętanego Poliorketesa, który nie potrafił nawet umrzeć w walce jak ojciec jego, bo wierzył ciągle, że los jak kości ująć potrafi w swoje ręce, a teraz drewniane figury szydzą z niego zamykając na ziemi swoje ślepe oczy.

.....

Demetriusz powrócił na morze. Powrócił jak będzie robił to, gdy przegra wszystko na lądzie, jak powróci tam już po śmierci swojej, śmierci między bagnami, z dala od otwartych przestrzeni wody, na których znowu zebrać można siły i odzyskać wiarę w ostateczne zwycięstwo w świecie bez krańców otwierającym się przed żeglarzem.

Demetriusz był spokojny. Zginał ojciec jego czekając na odsiecz syna, która nie nadeszła. Z własnej winy o krok od zdobycia dziedzictwa Aleksandra utracił armię a jego między diadochami pozycja wydawać

mogła się najgorsza, chociaż zostało mu panowanie nad morzami i, jak liczył, wierna Grecja, gdzie płynął, aby odzyskać siły i był spokojny jak zawsze, gdy Tyche pozbawiała go wszystkiego i wiedział, że wbrew wszystkiemu podjąć musi walkę i zwyciężyć, a bólu i żalu nie wolno mu okazywać.

A jednak stracił panowanie nad sobą, choć na moment tylko, gdy niedługo po odbiciu od efeskiego portu napotkał statek ateński, wiozący grzeczne poselstwo, zawiadamiające go, że Ateńczycy wybrali neutralność i zdecydowali się nie wpuszczać więcej żadnych królów w mury swego miasta, a nową żonę jego, epirocką księżniczkę Dejdamię z honorami odesłali do Megary — Pośpieszyli się — Miał przez zęby wychrypieć Poliorketes.

Gdy spod pokładu wrócił do zalęknionych posłów, znowu był spokojny i wygłosił jak zawsze precyzyjną i kunsztownie skonstruowaną wypowiedź na temat złożoności sytuacji, którą on, Demetriusz jest w stanie zrozumieć, acz dziwi go coś, co ludzie niewyrozumiali uznać mogli by za niewdzięczność Ateńczyków, zawsze z jego strony dostępujących łask wyłącznie.

Wszyscy widzieli, że Demetriusz cierpiał naprawdę. Długo, zmarszczoną twarzą bez słów żegnał oddalający się statek ateński, długo nie odpowiadał będzie na pytania patrząc na puste morze jakby rozpamiętywał utraconych na zawsze przyjaciół. Jakby wierzył, że winni są mu miłość jedynie a układ między nim — władcą wspaniałomyślnym a nimi — obdorzonymi najbardziej, aż do teraz, do ich bezprzykładnej zdrady w obliczu klęski przyjaciela, był harmonią wyłącznie; jakby nie pamiętał orgii w świętym domu patronki miasta, na co, spod stóp Akropolu patrzeć w milczeniu musieli mieszkańcy; pasma upokorzeń, które on, bóg samowładny sprowadzał na nich, upokorzeń tym dotkliwszych, że gorliwie wypełniali je sami bez wyraźnych z jego strony poleceń, okrutnych żartów jak, gdy poprosił ich o szybkie zebranie ogromnej sumy dwustu pięćdziesięciu talentów, którą błyskawicznie dostarczyli mu najbogatsi, aby w obecności ich, Demetriusz śmiejąc się przekazał je Lamii i orszakowi jej kurtyzan, zaznaczając, że wdzięczność winne są najznamienitszym miasta oby-

watelom dbającym o ich potrzeby, jakby wszystko to nie miało znaczenia i na morzu pozostał jedynie bóg zdradzony w chwili złej przez niewdzięcznych wyznawców.

Czy wtedy, po klęsce Demetriusz zapomniał o pogardzie jaką żywił do dalekich potomków wielkich Ateńczyków, pogardzie którą okazywał tylekroć, wierzył w przyjaźń wzajemną i lojalność, oczekiwał miłości i wdzięczności?

Hellada, na którą liczył Poliorketes poszła śladem Aten. Pozostało mu drewniane królestwo na morzu, dzieło jego własnych rąk. Na lądzie utrzymał Korynt i parę pomniejszych miast i to z pomocą im wysłał Demetriusz swojego młodziutkiego szwagra Pyrrusa, wojownika objawiającego już zdolności niezwykle, wodza umiejącego wydawać rozkazy, obdarzonego wyobraźnią i odwagą a więc cnotami, które stanowią składnik niezbędny talentu wojennego. Zatopiony jak zawsze w sprawach swoich, przygotowujący plany wydarcia zazdrosnej Tyche wszystkiego co utracił, jako oczywiste traktujący oznaki podziwu i atencji, nie dostrzegając Poliorketes odmienności Pyrrusa. Nie zauważał wydymających się ust, grymasu młodziutkiego szwagra, który w napięciu nieomal śledził gesty Demetriusza a jego uwaga nie była podziwem wiernego ucznia, ale skupieniem śledzącego przeciwnika, aby tym skuteczniej przygotować się do walki. Nie zwracał uwagi, że naśladowując go Pyrrus stara się zdystansować mistrza a swoją zachwałością na polu walki przekroczyć chce brawurę Demetriusza. Nie mógł więc Poliorketes nie tylko przewidzieć, ale choćby dostrzec w nagłym intuicji przeblysku, że wychowuje sobie jednego z najgroźniejszych rywali, bohaterów swoich losów. Albowiem patrząc jak zwykł był to robić Pyrrus, zobaczyć można rzeczy proste jedynie i przyszły Epiru władca uczyć się mógł wyłącznie kultu siły i wiedzy o walce śmiertelnej jaką toczyć muszą ze sobą panowie świata, który jest areną, gdzie jest miejsce dla jednego tylko.

Po klęsce pod Ipsos Demetriusz nie wydaje się już groźny swoim dawnym przeciwnikom i wie, że może to wykorzystać. Pyrrusa właśnie wysłał pan mórz, aby starał się dla niego o rękę córki Ptolemeusza, ale brat Dejdamii nie będzie zabiegał specjalnie o interesy swojego szwagra. Przycho-

dzi czas, aby rozpocząć samodzielną karierę i Pyrrus z posiłkami Ptolemeusza odbija od brzegów Egiptu, aby sięgnąć po swoje epirockie dziedzictwo.

Tyche uczyniła gest na jaki czekał Demetriusz. Sojusznicy stawali się rywalami a przegrany przeciwnik mógł okazać się wygodnym sprzymierzeńcem. Ślub między Seleukosem a Stratoniką, córką Poliorketesą był wielodniową uroczystością a odbywał się na granicy królestw obu władców: na wybrzeżu, gdzie przybyła Demetriusza flotylla.

Jednak nawet najbardziej wspaniałomyślny z diadochów za jakiego uznawano Seleukosa nie zechce nie wykorzystać swojej przewagi a Demetriusz nigdy nie jest skłonny cofnąć się przed jakąkolwiek mocą. Dawny sojusz zostaje odnowiony tym prędzej, gdy królowie orientują się jak szybko do sił Poliorketes powraca. Tak syn Antygona traci wszystko co zachował i odzyskać zdołał w Azji i wyspy nawet, zagarniętą znów przez Ptolemeusza Afrodyty ojczyznę — Cypr, jakby nienawidząca go losu bogini łudziła, aby doświadczyć tym boleśniej.

Jednak król bez ziemi jest spokojny. Wie co robić winien, by zwyciężyć ponownie. Jak niegdyś oprzeć się chce na Grecji, tylko tym razem nie nadciągnie tam jako wyzwoliciel. Rozpocznie od Aten, serca Hellady, wabiących go wspomnieniami zapachu fiołków i wina, nienawistnych i upragnionych jak kobieta, która zdradziła choć wydawała się być posiadana bez reszty. Jakby powrócić chciał na dawny swój trakt i przejść go raz jeszcze, unikając pułapek wszystkich, bo nie wiedział, że nie ma dawnych dróg.

I znowu wroga bogini odwoła się do rywala jego, który pogna swoje morskie konie i widział będzie Demetriusz w kataklizmie burzy tonące okręty i stał na pokładzie wśród ulewy fal prowokując Posejdoną pewny, że nie da się pokonać i to on zwycięży ostatecznie.

Czy rzucając kości w pałacu na mokradłach Demetriusz poddał się? Czy puchnące ciało, dławiące go wraz z kolejnymi chaustami wina nie było tylko konsekwencją śmierci duszy, która zrezygnowała i umarła w pętli rzeki Orontes, obok Antiochii rosnącej na fundamentach zburzonej Antygonei?

Burza była niedogodnością tylko zmuszającą do korekty planów, kiedy na drugi dzień licząc zatopione okręty zrozumiał Demetriusz, że nie może zaatakować Aten. Zaatakował więc Messynę.

Prowadził szturm i pierwszy wdarł się na mury, gdy usta i policzek przebiła mu strzała z katapulty. Półprzytomny, brocząc krwią doprowadził jednak do zdobycia miasta. A potem dalej, piędź po piędzi odbijał Grecję. Zdobył Attykę i stanął wreszcie pod murami tak długo oczekiwanych Aten.

Ateńczycy wiedzieli co może czekać ich z ręki gniewnego Poliorketes. Wiedzieli jak wydziedziczony bóg szalał na wieść, że miasto miast, serce Grecji odwróciło się odeń. Wiedzieli, przygotowywali się więc do walki ostatecznej i każdy miasta mieszkaniec, niewolnik nawet, czuł, że bronić będzie Aten jak życia swojego.

Miasto stało się warownią a zgromadzenie wydało ustawę, na mocy której śmiercią karana być miała każda wzmianka o układach z Demetriuszem.

Poliorketes domyślał się determinacji Ateńczyków i cieszyła go ona. Wiedział, że wcześniej czy później złamie opór ich jak ujarzmia nieposłuszeństwo opornego konia, jak do posłuszeństwa zmusza opierające się kobiety, czekał więc swojego czasu odcinając miasto od świata, ogradzając go umocnieniami obozowisk i zamykając morze palisadą swoich okrętów. Ogłosić kazał edykt o śmierci za każdą próbę pomocy Ateńczykom i patrolował wody powtarzając — Jak trzeba, odgradzę ich od nieba.

Jak wściekłość morza o nadbrzeżne skały tak rozbiły się szturmy jego o nowe umocnienia Ateńczyków wspierające stare mury i obrońców zajadłość, ale Poliorketes nie zmienił nawet wyrazu twarzy. Wiedział, że zdobędzie miasto i każdy dzień przybliżał ten czas.

Schwytał kupca, który skuszony cenami przewieźć chciał do miasta zboże. Powiesić kazał go na maszcie statku, na którym zawisł również statek kapitan i defilować polecił pływającemu rusztowaniu przez wiele dni by Ateńczycy napatrzeć mogli się na spuchnięte trupy rozkładające się na ich oczach. W mieście powoli gasła nadzieja. Rósł głód.

Morze, poza ruchomym wałem okrętów Demetriusza było puste choć wydawać się mogło, że oczy tysięcy Ateńczyków wypatrujących tam

odsiecz ywczarują wreszcie jakąś nieznaną flotę. I mogli myśleć Ateńczycy, że to złudzenie tylko, gdy zauważyli przy Eginy zarysie punkciki jak żagle. Ale punkciki rosły i wielokrotniały we flotę ogromną, która jak liczyli gorliwi przekroczyć znacznie musiała liczbę stu okrętów.

Miasto szalało. Na murach obrońcy dęli w rogi i trąby, uderzali w bębny i tyrasy, ulicami biegły śpiewne korowody. To swoją flotą ogromną jak przyobiecał nadciągał Ptolemeusz Zbawca. Odgłosy radości docierały do Poliorketesasa, który uśmiechał się i jakby szukał wiatru rozdymały się jego nozdrza. Wykrzyknął rozkaz powtarzany na kolejnych okrętach, których wiosła z pluskiem uderzyły o wodę a dzioby zwróciły się w kierunku Eginy. Pan mórż wydawał bitwę swojemu rywalowi.

Do walki nie doszło. Okręty Ptolemeusza podniosły kotwice, które zarzucić zdołały u wybrzeży wyspy i na oczach Ateńczyków śpiesznie oddaliły się za horyzont. Na morzu pozostała Demetriusza flotylla. Na miasto spada cisza.

Przechodziły dni burz i lodowatych deszczy. Przy brzegu, łańcuchami kotwic wczepione w dno, opierały się sztormom okręty Poliorketesasa. Wokół miasta płonęły ognie obozowisk. Głód rozpalał oczy Ateńczyków, spychał ich w piwnice, gdzie szukali resztek, polowali na robaki. Wielodniowy głód wypierał wszystko inne, stawał się uczuciem jedynym i gwałtownym.

Młodzieńca, który znalazł szczura dopada ojciec i usiłuje wyrwać mu martwego gryzonia. Przewracają się i tarzają walcząc na usłanej nieczystościami ziemi.

Epikur potrafi narzucić uczniom spokojną dyscyplinę. Codzienne karmi ich zachowanym na tę okoliczność bobem a oni ustawiają się w kolejce biorąc taką samą miarkę jaką przeznacza sobie mistrz i dziękują mu, usiłując uśmiechnąć się jak on uśmiecha się do nich. Kiedyś jeden poskarżył się na niewielką porcję. Epikur dołożył mu ze swojej nie zwiększając ilości pożywienia przeznaczonej na dzień.

Lachares obchodzi strażę. Nawet on czuje już głód, widzi go w nieprzytomnych oczach żołnierzy, których trzyma na posterunku tylko strach przed Demetriuszem i zemstą jego, a Lachares zaczyna rozumieć, że

nie ma już żadnej nadziei i on jako uzurpator pierwszy padnie ofiarą gniewu Poliorketesusa i widzi swoje pokaleczone ciało przybite do drewna na głównym placu miasta. Czuje na gardle żelazną obręcz jaką wokół Aten za-
dzieźnął ich prześladowca.

Wiosna, buchająca zapachem kwiatów i roślin wszystkich, wypędza wycieńczonych Ateńczyków na ulice i place miasta w poszukiwaniu słońca, które może przeświecić pergaminową skórę wypędzając spod niej dreszcze głodu, w poszukiwaniu kielków, aby choć na moment oszukać organizm. Ale nie ma słońca, które roztopić potrafi głód.

W ciepłą już noc z miasta wymyka się tyran Lachares, aby zniknąć na zawsze. Wieść rozchodzi się i ciżba myśląca wyłącznie o swoim głodzie otacza budynek Rady. Jak łatwo było podejmować uchwały. Sprawa jest oczywista i beznadziejna. Do namiotu Demetriusza przybywają posłowie ateńscy by pertraktować, ale Poliorketes śmieje się — Otworzyć bramy — przerywa im i Ateńczycy otwierają bramy.

Wezwany przez Demetriusza lud Aten ściąga do teatru. Ze wzgórz miasta, jego placów i ulic podążają niespokojne szeregi widm. Postacie słaniają się, wspierają, pomagają sobie. Za nimi, marszowym krokiem, chrzęszcząc bronią posuwają się żołnierze Poliorketesusa. Tłum wypełnia widownie, opiera o ławki, kłębi niemo między rzędami amfiteatru, wokół sceny otoczonej oddziałami w bojowym szyku.

Strach gasi głód i ogarnia dygoczących w napięciu Ateńczyków. Nawet słabość przesłania piętrzący się między kamieniami lęk. Wtedy na scenę wchodzi Demetriusz.

Na moment ten czekał siedem lat prawie. Tyle razy wyobrażał sobie nieme miasto wydane jego łasce. Przygotowywał się do tej chwili, aż wreszcie wydrzeć musiał ją losowi jak świat, który znajdzie się wreszcie w jego dłoniach.

Demetriusz wchodzi na scenę i staje patrząc na Ateńczyków. Przygląda się twarzom, które rosnać zdają się w napięciu nadchodzącej nocy. Milczy ciągle aż kiedy cisza kaleczy uszy jedynie terkotem cykad. Wtedy przemawia.

Mówi o podziwie, który żywił zawsze do miasta miast, Hellady wcielenia, o przyjaźni jaką obdarzał Ateńczyków, zdawało się mu z wzajemnością, wspomina o zawodzie, który sprawili mu jego ateńscy przyjaciele dodając zaraz, że król winien być wyrozumiały jak ojciec wobec dzieci, jak wyrozumiała potrafi być miłość prawdziwa a więc, oświadcza, przebaczył im i chce odnowić święte więzy przyjaźni a jako świadectwo intencji swoich, nie potrzebujących przecież żadnego dowodu, podarować miastu chce sto tysięcy medimnów zboża, które okręty jego dostarczać zaczną już od jutra.

Stoi uśmiechnięty król wspaniały w szale entuzjazmu, który Ateńczykom zapomnieć pozwala o głodzie i słabości, koszmarach oblężenia i tak bliskim jeszcze strachu. Stoi na scenie teatru, uśmiechając się jak trzydzieści lat wcześniej w zbroi złotej na pokładzie okrętu wtedy młodzieniec piękny, teraz mąż dojrzały, naznaczony doświadczeniem jak blizną.

Ale nie pyta już Poliorketes Ateńczyków o zgodę na stacjonowanie w mieście jego wojsk.

.....

Peloponez był już w jego rękach. Poliorketes stał u wrót Sparty szykując się do jej zdobycia, kiedy przybył doń nieprzytomny ze zmęczenia poseł Aleksandra Kassandra syna.

Aleksander wzywał na pomoc króla Demetriusza przeciwko bratu swojemu, matkobójcy Antypatrowi. Czy sprawiły to Wielkiego Aleksandra klątwy, gdy uderzał głową Kassandra o ścianę królewskiego pałacu w Babilonie przeczuwając może los jaki syn Antypatra zgotuje jego żonie i synowi jedynemu, czy innych bogów niełaska, ale agonია Kassandra duszącego się krwią własną (choć niektórzy mówili, że żywcem zjadły go robaki załęgłe pod skórą) była tylko początkiem jak atrydowych nieszczęść. Niedługo nacieszył się władzą pierworodny Kassandra Filip a po jego śmierci do walki stanęli synowie pozostali i Antypater zabić kazał matkę swoją Tessalonikę, która stanęła po stronie jego brata.

Demetriusz nie rozważa tragedii rodu Antypatra. Wie, że nie można dać czekać losowi. Pozostawia Spartę i rusza ku Macedonii, która wreszcie, czuje to, otwiera się przed nim. Na granicy jednak nie wrogowie a go-

spodarze zastępują drogę gościowi, który przybył za późno. Antypatra przegnał Pyrrus, król Epiru biorąc za przysługę ziemie nadgraniczne, Aleksander podziękować chce Demetriuszowi za gotowość pomocy, na szczęście niepotrzebnej już.

Demetriusz z uśmiechem wykrzywionym blizną patrzy na młodego Aleksandra, który nie potrafi jeszcze ukryć niepokoju. Dwie armie spoglądają na siebie. Weterani Poliorketesza obserwują macedońskich żołnierzy, którym udziela się niepewność ich niedoświadczonego wodza. Macedończycy patrzą na pięknego ciągle mężczyznę, jednego z najświetniejszych spadkobierców boskiego Aleksandra, o którym słyszeli tak wiele i nie wierzą by odszedł dlatego tylko, że zniknął powód zaproszenia go tutaj.

Wielka jest sława Demetriusza i wystarczy by, licząc na nagrodę? żałując legendy? jeden z Aleksandra ludzi doniósł, że uczta, na którą zaproszony został syn Antygona ma być jego stypą.

Demetriusz nie postarzał się. Lata walk, zdrad i klęsk zmieniły go, ale ciągle czuje płomień, który prowadzi go, gdy bogini losu zaprasza na most cienki jak ostrze miecza. Niebezpieczeństwo jest jak pokusa, jak czternaście lat wcześniej, gdy wzywała go żona Aleksandra Polisperchona a on pozostawił obóz wojsk swoich pod Megarą, by tylko z grupką wiernych popędzić konie pędem nieprzytomnym na przedmieście wrogiego miasta ku niewidzianej dotąd piękności, nieznannej obietnicy.

Skąd dowiedzieli się o tym wrogowie, silnym odziałem otaczający willę jeszcze w pełni nocy? Nocy, która uratowała Demetriusza, pozwoliła mu wymknąć się otulonemu w płaszcz biedaka spomiędzy ciemnych postaci prześladowców? Demetriusz lękał się wówczas. Bał się śmierci śmiesznej i głupiej, która pozostawi po nim pustkę i niesławę a przecież zaciskając dłoń na rękojeści sztyletu czuł jak krew niesie go przez wrogą noc i frunął nad oceanem ciemności.

I teraz znowu wbrew ostrzeżeniom ruszył przez noc do namiotu Aleksandra otoczony gwardią przyboczną. Z uśmiechem wpatrywał się w zdumienie i lęk w oczach gospodarza, który jak przypuszczał Poliorketes nie potrafił zareagować na nieprzewidzianą sytuację. Demetriusz był

w swoim żywiole. Nie rozstając się z mieczem spacerował po namiocie wykrzykując donośnym głosem żarty, śmiejąc się i kpiąco wpatrując w gospodarza by w pewnym momencie oświadczyć, że z powodu zmęczenia powrócić musi do siebie.

Następnego dnia Demetriusz zawiadomił Aleksandra, że pilnymi sprawami wzywany wraca już do Grecji. Liczy więc, że młody przyjaciel towarzyszyć będzie mu choćby tylko do granicy.

Gościnności zasady nakazywały zgodzić się, szczególnie wobec kogoś jak Demetriusz, który stawiał się natychmiast na nagłe gospodarza wezwanie. Oszołomiony radością Aleksander chciał zresztą osobiście przekonać się czy rzeczywiście marzenie jego spełnia się i straszny syn Antygona odchodzi pozostawiając w spokoju jego królestwo.

Obie armie przekraczają granicę ciągle obserwując się nieufnie, aby zatrzymać w tessalskim mieście Larysa. Demetriusza cieszy napięcie spowijające żołnierzy jak kurz drogi, udzielające się Aleksandrowi, który nie śmie odmówić, gdy Demetriusz w towarzystwie tylko kilku przybocznych wjeżdża w środek świty syna Kassandra, aby osobiście zaprosić go na wieczorną ucztę. Poliorketes śmieje się szeroko i Aleksander nie wie czy wylewność zaproszenia jest kpina tylko czy wyrazem tak znanej powszechnie wspaniałomyślności syna Antygona.

Przybywając na ucztę wie już Aleksander, że znalazł się w jaskini lwa. Wchodzi przecież w środek Demetriusza armii i jeśli nawet zabrałby ze sobą gwardię całą nie uratuje go ona przed przeciwnika przewagą. Paraliżowany strachem, woli nie prowokować Poliorketesa i uznać, że oznaki żadne nie wskazują na złe syna Antygona zamysły.

Demetriusz nachyla się nad pobladłym Aleksandrem. Śmieje się a ślina z jego ust pryska na twarz syna Kassandra. Sartuje głośno wykrzykując dwuznaczne wobec Aleksandra komplementy. Obserwowany przez wszystkich na sali, w ciszy nieomal, którą wywołuje jego donośny głos, gestykuluje przed Aleksandrem jakby chciał go zahipnotyzować.

Nagle twarz Poliorketesa tężeje. Bez słowa, nie reagując na pytania gościa, skrzywiony wzgardliwie, zdecydowanym krokiem Demetriusz podąża do wyjścia ścigany przez Aleksandra, który nic już nie rozumie

i wie tylko, że ułagodzić musi rozgniewanego czymś przerażającego gospodarza.

Demetriusz opuszcza salę i rzuca czekającym u wejścia żołnierzom — Zabijcie tego, który idzie za mną — w tym samym momencie, gdy w otwór drzwiowy zanurza się Aleksander, aby z krzykiem paść pod uderzeniami mieczy.

Demetriusz z pogardą patrzy na wijące się pod ciosami ciało, które krzepnie w plamie wypływającej na posadzkę krwi. Nie sięga nawet po broń, gdy grupka dworzan Aleksandra rzuca się panu swemu ze spóźnioną pomocą i ginie prawie u Poliorketes stóp, usiłując beznadziejnie dosięgnąć go, na co on nie zwraca niemal uwagi i tylko nachyla się nieco nad konającym, który próbując zatrzymać wnętrzności i krew buchające z rozplatanego brzucha charczy nieprzytomnie i boleśnie — wyprzedził nas o dzień!

Czy rzeczywiście strachem pędzony Aleksander przygotowywał plan pozbycia się swego zagrożenia i może Demetriusz dowiedział się o tym?

Noc jest jak groza a wojownicy Aleksandra czekają na świt wiedząc już o śmierci swojego władcy. Ze światłem jednak do wycieńczonego obozu poprzedzony heroldami przybywa osobiście Demetriusz, który spokojnie i z godnością proponuje im przyjaźń i służbę.

Napięcie i strach eksplodują w entuzjazmie i Demetriusz na tarczy wzniesiony tysiącami rąk, zgodnie z dawnym macedońskim zwyczajem okrzyknięty zostaje królem.

Demetriusz myśli, że odzyskał wszystko co stracił uprzednio. Króluje nad Macedonią a Grecja po zdobyciu opornych Teb jest mu posłuszna. I znowu syn Antygona przygotowuje się do swojego zadania. Jego podwójny diadem wieści panowanie nad Europą i Azją a więc światem całym.

Demetriusz buduje Demetrias bo wie, że król wielki pozostawić musi po sobie pomnik większy niż największe bogów kolosy. Pomnik, który stanie się życiem dla pokoleń następnych. Niepomny historii ojca swego wznosi Demetriusz Demetrias.

W przetykanym złotem purpurowym płaszczu, przy obrocie każdym odkrywając nieboskłon wygwieżdżony świetlną sferą harmonią, która jest okrycia drugą stroną, w purpurze żarzącej się nawet na butów podszwach, gdy w ślad za nim fruną podwójne wstęgi kokard u kapelusza, przemieszcza się Demetriusz po dachach nie zbudowanych jeszcze budynków, aby stamtąd postrzegać poddanych swoich jak elementy niezbędne konstrukcji większych, odległy od nich jak od fundamentów budowli swoich, pozwala podziwiać się ze stempli monet, gdzie portret żyjącego władcy zdumienie wywołuje wśród Hellenów i Macedończyków, pozwala oglądać się nie schodząc do ich spraw, które winny znaleźć się w dyspozycji urzędników jego, obce mu jak on obcy im jest i niezrozumiały, bóg zatopiony w boskich sprawach burzenia i stwarzania, który wie, że winien być jedynym i będzie nim, gdy uwolni moc wypełniającą jego ciało.

Bliższy im bywa tylko w tyle rzadszych już orgiach i pijaństwach a zwłaszcza w walce, która zbliżając go do nich ukazuje jego odmienną, niedosiężną dla wroga.

Gdy szturmował Teby raz drugi w ciągu dwu lat, bo niewdzięczni Tebańczycy prędko zapomnieli jego łaskawości, kiedy miast ukarać ich przykładnie ucztował z nimi, wdzierał się na mury pierwszy. Narażał się najbardziej przez rok nieomal oblężenia i choć wielka strzała katapulty przedziurawiła mu szyję na wylot a żołnierze jego zamarli, gdy niesiono go do obozu, przez krew buchającą z krtani zdołał wezwać ich do walki. A po kilku dniach ku osłupieniu wojowników, którzy nie mogli uwierzyć oczom, stanął na czele i wdzierał na mury aż do szturm ostatecznego, oddającego im miasto odporne, gdy mimo wściekłości ataków i tysięcy poległych żołnierzy jego, mimo oczekiwań zwycięzców i zwyciężonych, ponownie wybaczył Tebańczykom.

Lubił okazywać łaskę. Nie dlatego, iżby cenił szczególnie życie poddanych swoich czy obcych. Wiedział, że władca prawdziwy potrafi życie nie tylko odbierać, ale i ofiarowywać, to znaczy darować je wbrew przewinie i karze należnej i czuć, że winowajcy żyją z łaski jego i wiedzą o tym. Chciał Demetriusz, aby decyzje jego były suwerenne więc nieprze-

widywalne i kochał gest, kiedy ruchem dłoni życiem obdarzał pozbawionych nadziei.

Demetriusz przygotowywał się do zdobycia świata. Nie odzyskał jeszcze azjatyckich dziedzin, ale mocną stopą wsparł się o Macedonię, oparował Grecję a więc był nieomal w sytuacji Aleksandra, gdy ten rozpoczął swoją kampanię. Musiał tylko ujarzmić wcześniej Trację i rzucić na kolana jedyne z nienawidzonego z konkurentów swoich starca potężnego Lizymacha. A potem przez ziemie jego w Azji Mniejszej uderzyć na Seleukosa, aby na końcu dosięgnąć obwarowanego w swoim egipskim ościepie Ptolemeusza. Toteż, gdy Lizymach przekroczył Dunaj, aby spacyfikować dzikich Getów i tam jak wielu wodzów wielkich nie doceniając sił i zdolności barbarzyńców, otoczony dostał się do niewoli Dromicheta, Poliorketes zdecydował, że rozprawi się z nim ostatecznie.

I znowu zazdrosna bogini odwołała go od pewnego zwycięstwa i powrócić musiał, aby stłumić tebańskie powstanie i przepędzić Pyrrusa, który wykorzystując jego nieobecność pustoszył Helladę.

Wielu zwracało mu uwagę na młodego króla Epiru, także nieomal rówieśnik Pyrrusa, syn pierworodny Demetriusza Antygonos Gonatas. Mówili, że władcy Macedonii rośnie pod bokiem rywal najgroźniejszy, który uczył się panowania i wojny stanowiących dla niego jedno w otoczeniu najbliższym Poliorketes, a teraz celem dla niego upragnionym najbardziej, a może wręcz pasją najgwałtowniejszą, jest zaćmienie swojego mistrza i konkurenta. Demetriusz śmiał się. Pyrrus mógł przeszkadzać jak kiedy przepędzać musiał go z Hellady, ale nie był dla niego przeciwnikiem poważnym.

Gdy jednak wreszcie zdecydował się Demetriusz rozprawić z niewygodnym sąsiadem, bardziej, aby nie przeszkadzał mu w realizacji wielkich planów, niż ze względu na znaczenie Epiru i jego władcy, spadła nań gorączka, która unieruchomiła go w Pelli.

Czy ataki choroby, które zaczęły niespodziewanie dosięgać Demetriusza były wynikiem nieumiarkowanego życia: trudów walk, pijaństw i rozpusty? Czy były jak ciężar serca rosnącego, gdy po szaleństwach nocy wskakiwał na konia i powadzić musiał wyprawę, jak dawne rany, które od-

zywały się w śmiertelym wyczerpaniu wielogodzinnej bitwy, jak słabość tak trudna do przewyciężenia nawet siłą woli? Czy były raczej zmęczeniem fantasmagorią świata, nieustanym korowodem ludzi i wydarzeń, które zdają się nie mieć końca a jednocześnie powtarzają coraz bardziej, coraz szybciej jak barwne sekwencje wirującego wokoło coraz bardziej obcego i pozbawionego sensu snu? Może dawniej potrafił w momentach takich podrywać się do ataku, walki, pogoni, zachłystywać przestrzenią na stepie, pustyni, na morzu, zapominać o sobie i świecie jak wówczas, gdy pod Ipsos rozbił konnicę Antiocha i gnał ją przed sobą uwolniony nieomal od ciała, aby opamiętać się, kiedy było za późno, a teraz pustka sięgała jego ciała, wybuchała w nim gorączką, oplatała słabością, której nie potrafił już pokonać? A może spadała nań wówczas twarda dłoń bogini losu, która przeznaczyła go do klęski i czekała tylko momentu ostatecznego jak, gdy lata później osaczony w górach Amanu przedarł się przez niezdobyte umocnienia obsadzone licznymi wojskami i w kilku starciach rozbił wielokrotnie silniejsze oddziały Selukosa, nawet tysiące wozów jego uzbrojonych w śmiertelne kosy a pan Azji, najpotężniejszy ze spadkobierców Aleksandra wahał się przed wydaniem bitwy rozstrzygającej synowi Antygona, w sytuacji ostatecznej najgroźniejszemu z żywych, bo król Seleukos nie był już tym, który samowtór z Antygonosem wchodził w tłum zbuntowanych wojsk i żołnierze czuli to i widzieli gwiazdę nad głową Demetriusza a tłumy ochotników ściągać zaczęły do jego obozu i szaleńcza wyprawa w ostatecznym, beznadziejnym momencie okazać mogła się bezprzykładnym triumfem, gdy gorączka zwała z nóg Demetriusza, odebrała mu świadomość, wydała go walce z widmami maligny, aby gdy odzyska poczucie rzeczywistości po dniach czerdziestu będzie już za późno?

Sześć lat wcześniej jednak, kiedy tylko podniósł się z łóżka, słaby jeszcze Poliorketes popędził na Pyrrusa i bez wysiłku nieomal przegnał go z Macedonii. Natychmiast zresztą zawarł z nim porozumienie nie chcąc tracić czasu wobec przedsięwzięcia swojego życia, wyprawy, która zaćmić miała wszystkie doychczasowe.

Jeszcze zanim dopadła go choroba gromadzić zaczął ogromną armię i budować flotyllę jakiej nie znał świat. Wojska jego przekroczyły już

liczbę jaką wraz z ojcem doprowadzili pod Ipsos, ponad sto tysięcy wojowników ćwiczyło na polach pod okiem wodzów sposobiąc się do pokonania armii wszystkich.

Demetriusza porwała pasja budowy okrętów i sposobienia floty, która bez reszty już zagarnie morza i tak własność jego. Dawna namiętość, w której stapała się pasja tworzenia i panowania a więc i destrukcji, praca nad doskonałością kształtu, porażającego pięknem i niszczyć potrafiącego wszystkie inne, ułomne konstrukcje ręki i umysłu ludzkiego. Projektując drewniany kościec, rozważał Demetriusz optymalną kombinację masy i szybkości, potęgi i zwrotności jaka winna ślizgać się po morzach na skrzydłach wiosł wspomagana wiatrem i nieomal jednocześnie siekierą i młotkiem wpisując ją w kształt okrętu a myśl stawała się ostrzem z drewna wyłupującym istotę ruchu a dłoń była refleksją odnajdującą formę kadłuba i moment ten wcielając się w sam ruch wody był Poliorketes szczęśliwy.

Jak nikt wcześniej zbudował szesnastkę — galerę, której wiosło każde poruszało ośmiu wiosłarzy, największą z istniejących i tak szybką, że nie potrafiła się jej przeciwstawić żadna inna.

Nie rozważał Demetriusz przewagi okrętów tworzenia nad miast budową, okrętów — nie tylko ludzi mieszkania i wcielenia piękna, ale i narzędzia ruchu, walki i zwycięstwa, modelu człowieka powołania, który, gdy przetworzyć potrafi je w kształt doskonały staje się bogiem. Nie rozważał, bo wiedza ta dawała pewność jego rękom. Jak przed ponad dwudziestu laty w portach fennickich z miarą i toporkiem w dłoniach pasował deski, wyginał dzioby okrętów, wyrównywał konstrukcje. Od kiedy słońce wynurzało się z morza i rozjaśniało jego głębie, do momentu, gdy ciemniejsza przestrzeń pędziła w nieskończoność, odrzucając purpurowy płaszcz i kapelusz z fantastycznymi kokardami, bez chwili wypoczynku Demetriusz własnoręcznie budował flotyllę i dozorował innych budujących. Przerzywał pracę wyłącznie, aby pognać nie zsiadając z konia do stoczni innej i tam doglądał jak przyoblekają się drewnianym ciałem szkielety okrętów i popędzał pracujących włączając się osobiście do ich dzieła.

Zawiesił działania wszystkie. Projekt kanału, który przeorać miał Istm Koryncki i połączyć Adriatyk z Morzem Egejskim czekać będzie dwadzieścia dwa wieki na realizację.

Jak w transie, gdy zacierają się dni a czas przestaje znaczyć nie czuł zmęczenia. Galopował między stoczniami Pireusu, Koryntu, Chalkis, stoczną nad Pelli jeziorem a stada okrętów jego gromadziły się przy brzegu gotowe nieomal do wyruszenia. Nie zajmował się wiadomościami o przedsięwzięciach diadochów, którzy na powrót zawiązali koalicję wymierzoną w syna Antygonosa i wciągnęli w nią Pyrrusa. Królem Epiru powodowała już nie tylko ambicja, która kazała mierzyć się mu ze swoim mistrzem dawnym, nie tylko obawa przed potęgą rosnącą nad jego granicą, ale i upokorzenie jakie zgotowała mu małżonka jego, syrakuzkańska księżniczka Lannassa, a wystarczył jej gest jeden wielkiego Demetriusza, aby ofiarowała mu rękę swoją i ziemię pozostawiając Pyrrusa jak obojętną, nieznaczącą osobę.

Dla Poliorketesa konkurenci byli tylko ofiarami czekającymi jego uderzenia, które nastąpić miało właśnie a nieprzeliczona flota potrzebowała dni kilku by spłynąć do Pireusu gotowa do wyprawy największej, gdy okazało się, że zabrakło tych dni właśnie a na Macedonię spadli z dwóch stron Lizymach i Pyrrus i trzeba było bronić królestwa swego, mimo, że do brzegów Grecji przybył flotą potężną i armią ogromną Ptolemeusz.

Demetriusz był tylko nieco poirytowany koniecznością zmiany taktyki. Nieco inne działania doprowadzić musiały do ostatecznego zwycięstwa. Jednak podążając na Lizymacha odkrył Poliorketes kolejny, nieprzewidziany dotąd element — żołnierzy swoich, Macedończyków. Po raz pierwszy od sześciu lat zmuszony był przyjrzeć się twarzom pod hełmami. Odkrywał spojrzenia obce i niechętne. Nawet nie tyle nie wierząc co nie rozumiejąc, powoli zaczynał przekonywać się do słów dowódców informujących go z coraz większym niepokojem o narastającym niezadowoleniu żołnierzy, głuchym szemraniu, które przerodzić może się w bunt.

Sześć lat minęło, kiedy z radością ogłaszali koniec panowania przeklętego szczepu Kassandra i na tarczy wznosili syna Aleksandrowego wodza Antygonosa, Demetriusza najdzielniejszego i najpiękniejszego,

młodego bohatera legend Hellady, zdobywcę miast i serc — mórza pana. Sześć lat panowania władcy niedosiężnego, do którego zbliżyć się nawet nie było można, obcego jak perski monarcha poza szpalerem dworzan swoich, odległego w płaszczu z purpury jak posąg boga, wizerunek z monet, z których ku zdumieniu i zgorszeniu ich spoglądał ten sam nieruchomy profil jaki podziwiać mogli z tarasu pałacu królewskiego czy z konia, gdy przesuwiał po nich wzrokiem nie patrząc nawet.

Co z tego, że sam ryzykował najbardziej i pierwszy wdzierał na mury Teb, gdy nie dbał o nich i wysyłał ich tysiącami na bezsensowną śmierć, lekceważąc ją, jak, gdy odpowiedział synowi swemu Antygonosowi Gonatasowi apelującemu o rozwagę większą w narażaniu żołnierzy, a słowa jego powtarzano z gniewem po wielokroć, bo nie upewnił się nawet, że nie jest słyszany mówiąc — czy upomną się u ciebie o żołd?! — Lekcewał ich, gdy nie pozwolił na najdrobniejszy nawet akt rewanzu na znienawidzonych Tebańczykach.

Ojciec jego Antygonos Jednooki był krwią ich krwi, nawet kiedy karał okrutnie za każdy przejaw nieposłuszeństwa był jak surowy ojciec. Był zawsze między nimi i znał ich. Był tylko najlepszym z nich i umiał wybaczać, i czuli, że są jego dumą tak jak on był dumą ich.

Dawno już nauczył się Demetriusz gardzić ludźmi, zwłaszcza tłumem. Wiedział, że zbiorowością rządzi impuls bezrozumny i namiętność najniższa, jeśli nie zapanuje nad nią wola lepszych i przykład. Pamiętał zawsze ojca swojego, gdy w Triparadejsos wsparty ramieniem z Seleukosem schodził w odmęty zbuntowanej armii, aby uspokoić ją głosem i spojrzeniem. Głuchy sprzeciw wywołał w nim zdumienie a potem krótkotrwały gniew, który ucichł natychmiast, gdy Poliorketes zrozumiał bezradność swoją wobec impulsu nurtować poczynającego dziesiątki tysięcy żołnierzy jego jak pomruk morza piętrzącego się, gdy niebo ciemnieje i nadchodzi burza.

Powróciły do Demetriusza słowa Jednookiego i zrozumiał, że sześć lat to czas długi a Lizymach żołnierzom bardziej przypominał będzie ojca jego niż on sam, on, który sądził być bogiem, był dla nich tylko obcym idolem, gdy przeciwnik był bohaterem wyprawy największej, wodzem

Aleksandra, ojcem żołnierzy, którzy nie wiedzieli w imię czego mają podjąć z nim walkę. Zrozumiał nawet Poliorketes, że, kiedy zgłosiła się do niego pierwsza grupa żołnierzy prosząca o urlop dla załatwienia spraw rodzinnych, powinien zachować się wyrozumiale i zawrócić, forsownym marszem podążyć na przeciw Pyrrusa, bo nic tak nie budzi miłości wodza do żołnierzy jak wygrana bitwa.

Gdy jednak stanęli na przeciw władcy Epiru, Demetriusz rozumieć zaczął, że świat wymyka się mu z rąk, choć wtedy jeszcze nie mógł przyjąć tej wiedzy stanowiącej o jego klęsce i umocnił obóz, przygotowując ją się do bitwy...

Nocy najbliższej, pojedynczo a potem grupami całymi przystrajając hełmy liśćmi dębu, drzewa Epiru, przemykać jęli do Pyrrusa żołnierze Poliorketesa. A kiedy dzień nastał, stanowisko jego nie przypominało już wojskowego obozu. Pojedynczy wojownicy, którzy w poranku budzącym chłodnym powiewem, gromadzić zaczęli się i powtarzać szeptem a potem półgłosem, że bezsens jest umierać za lekceważącego ich króla, obojętnego i wyniosłego, tworzyli już coraz większe grupy pokrzykując, że Pyrrus jest wodzem wielkim, dla żołnierzy swoich ojcem a przeciwieństwem Demetriusza pyszałka i rozpustnika. Zamieszanie i hałas narastały, kiedy oficerowie nie rozumiejąc co dzieje się wpadali z namiotów swoich między rozgorączkowanych żołnierzy krzykiem rządając natychmiastowego spokoju a odpowiadał im narastający pomruk i podniesiona broń. Gdy znany z gwałtowności taksjarcha wdarł się z obnażonym mieczem w środek gromady pierwszy oszczep ugrzązł mu w plecach, ale potem żołnierze runęli nań ze wszystkich stron zostawiając na murawie okrwawione strzępy ciała zmieszanego z materią i trawą. Wystarczył już podniesiony głos i groźny ze strony dowódcy gest by zbuntowany tłum rzucał się na oficerów. W bezładnych, coraz liczniejszych grupach, w które przeradzała się armia, w coraz większym harmiderze i zamęcie, żołnierze klócili się czy należy wracać do domów, przejść całą armią do obozu Pyrrusa, czy wcześniej nie powinni ująć Demetriusza i przekazać go władcy Epiru jako rękojmię swojego wyboru.

W namiocie, po środku obozu, słuchając gwaru dobiegającego tu jak poszum wichru zmieniającego się w nawałnicę i odbierając meldunki przerażonych dowódców wołających nieomal, że nikt już nie jest w stanie opanować zbuntowanej armii Demetriusz ciągle nie był w stanie zrozumieć sytuacji. Nie mógł zrozumieć, że z króla, ktrego tak niewiele dzieli od panowania nad światem całym, wodza największej armii, pana mórz, okazał się z nastaniem dnia wodzem bez wojsk i królem bez królestwa.

Ciągle jednak zrewoltowani żołnierze nie odważali zbliżyć się do namiotu Poliorketes, który po środku obozu stał w przestrzeni bezludnej i milczącej jak za niewidzialnym wałem oddzielającym go od tumultu zbuntowanego tłumu.

Wreszcie wielka grupa formująca się nieomal na kształt oddziału ruszyła wolno do namiotu wodza, aby zatrzymując się u wejścia zarządzać z Demetriuszem rozmowy. Gdy Poliorketes stanął na przeciw nich najpierw żołnierz jeden, którego słowa powtarzał inaczej nieco drugi, głosem nie do końca pewnym mówić począł, że Macedończycy zdecydowali się wycofać z walki. Po chwili wołać zaczęli wszyscy, że nie będą walczyć w obronie nieprawości Demetriusza i aby usunął się, bo cierpliwość Macedończyków doszła już kresu.

W purpurowym płaszczu nieporuszony syn Antygonosa trwał przed nimi a twarz nie drgnęła mu nawet. Przekrzykując się, gdy powtórzyli już kilka razy to samo, żołnierze wystraszeni swoją zuchwałością cofnęli się w głąb obozu między towarzyszy. Jednak pierwszy krok został zrobiony i zachęczone przykładem nadciągając zaczynały watachy z odległości krzycząc, grożąc i miotając obelgi.

Wydawało się, że Poliorketes nie rozumie błagań swoich przybożnych, którzy zaklinali by zgromadził wierne sobie oddziały i wycofał się jak najprędzej zanim żołnierska tłuszcza nie zaatakuje jego namiotu lub nie nadciągnie ze swoimi oddziałami Pyrrus. W pewnym momencie jednak, bez słowa Demetriusz zanurzył się w głębi namiotu. Odrzucił wspaniały płaszcz i kapelusz, zdjął purpurowe buty, otulił czarną opończę i oddalił. Zniknął jak aktor, który po zakończeniu występu odchodzi niepostrzeżenie. Przepada w nicości.

.....

Czy owijając się w czarny płaszcz i oddalając z obozu, ze sceny, zrozumiał już Demetriusz, że przegrał a droga jego dobiegła końca? Bo nie świadczy o niczym fakt, że podejmie jeszcze walkę, walczył będzie jak Eumenes, chociaż po swojemu stawiając za każdym razem wszystko na jedną kartę, na jeden rzut kością, na rzut, którego nie mógł uzyskać.

Może jeszcze zdołał zapomnieć o swej wiedzy, gdy ruszył w beznadziejną do Azji wyprawę, po raz ostatni wyzwiał boginię losu i musiał wierzyć, że zwycięży, zapomnieć musiał o klęsce, nie pamiętać wiedzy, która zagościła w nim, gdy owinięty w czarny płaszcz oddalał się w nieistnienie, stał się nikim pewnego dnia po dniu kiedy był wszystkim, rzucał wyzwanie światu i świat miał w rękach. Może potrafił zapomnieć swojej wiedzy, ale ona nie opuszczała go i spadła nań gorączką, gdy znowu wbrew wszystkiemu wydawało się, że klęski obrócą się w Demetriusza triumf największy, wtedy właśnie choroba obezwładniła go, odebrała zmysły, aby wypuścić po dniach czterdziestu, gdy było już po wszystkim.

Demetriusz owija się w czarny płaszcz i znika.

.....

Niewiele później Demetriusz pojawił się w Kassandrei. Z portu zabrać miał żonę swoją Filę, aby wspólnie opuścić królestwo utracone. Jednak Fila nie będzie towarzyszyć mu w jego dalszej wędrówce.

Demetriusz patrzy na swoją martwą żonę. Czy wybrała cykutę nie chcąc znosić kolejnego upokorzenia klęski? Czy była już zmęczona latami zmagania, zmienności fortuny i roli u boku boskiego małżonka?

Demetriusz spogląda na nieruchomą twarz starej kobiety, którą poślubił trzydzieści trzy lata wcześniej, gdy z ojcem swoim z Triparadejsos ruszał na podbój świata. Kilkanaście lat starsza od niego wdowa po Kraterosie nie była nigdy obiektem uczuć gorących swojego męża, ale była dlań elementem pewności w obłędzie zmieniającego się świata. Potrafiła wyrozumiała być dla szaleństw Demetriusza, bardziej matka dzieci jego i królowa niż małżonka. Rozdarta między rodzinę swoją a męża potrafiła odnajdywać wyjścia najlepsze — jeśli były takie, bo nic nie mogło uratować ani

przeklętego rodu brata jej Kasandra, ani Poliorketes, który niczym mniej niż światem nie potrafił się zadowolić.

A teraz zostawiła go w chwili może najtrudniejszej, opuściła ostatecznie jak bogini losu, chociaż myślał, że polegać może na niej w momentach najcięższych, bo odejść potrafiła w chwilach chwały jego, jak wtedy, gdy wraz z ojcem ruszał na podbój świata, który skończyć się miał na polach Ipsos a ona nie chcąc być drugą przy epirockiej księżniczce Dejdammii, wyjechała do Macedonii do brata swego Kassandrosa, ale powróciła, gdy mąż po klęsce zbierał strzępy swego panowania. Łagodziła gniew władcy Macedonii, gdy Demetriusz tylko co stanąwszy na nogach zajął Cylcję przynależną bratu Kasandra na mocy po Ipsos układów. Potrafiła uśmierzyć bunt wśród rozżalonych żołnierzy. Usiłowała gospodarzyć Macedonią, gdy małżonek jej zadowalał się tylko władaniem.

Teraz opuściła go, może nie chcąc porzucić raz jeszcze ojczyzny swojej, a może rozumiejąc, że walka skończona już i nie ma po co szukać dróg, których nie ma. Zdumiony Demetriusz nie wiedział czy czuje żal do niej czy po niej, czy po bogini losu opuszczającej go, do której zdawało się zawołał ze statku, patrząc na oddalające się wybrzeża Macedonii słowami poety mówiącymi więcej niż był w stanie uzmysłowić sobie: „Tyś mą żagiew wzniciła, ty ją dzisiaj gasisz!...

Poliorketes patrzy na twarz jak metal stopiony w masce pośmiertnej, której rysy wytłoczył czas. Szuka lat rozsypanych w niewyraźnej przestrzeni, czasu młodości swojej i wieku męskiego, czasu życia, które spędzili towarzysząc sobie, choć rzadko razem i widzi tylko siatkę bruzd na skórze jak glina.

Myśli, że odnajdywał będzie Filę w twarzach jej dzieci, jak odkrył ją w słowach gniewnych swojego syna, który podczas Teb oblężenia zapytał czemu bezsensownie gubi żołnierzy tyłu. A przecież Antygonos Gonatas kochał go i z podziwem śledził czyny jego i słowa, może tylko w miłości synowskiej do niego podobny. Bo wtedy pod murami Teb, gdy noc na chwilę przyniosła uspokojenie, pomyślał Poliorketes, że i on nie podobny jest do ojca swego, który zdawał się być mu wzorem. Tak inny był od Jednookiego jak Gonatas od niego w momentach, kiedy Demetriusz dostrzegał go, nawet

wśród zabawy obcy i zamyślony, obojętny na sławę i zaszczyty, dbały mało o słowa cudze, towarzyszył mędrcom nieznanym jak nauczającego w Atenach Cypryjczyka Zenona z Kition mówiącego o cnocie, która winna być sama dla siebie nagrodą, syn jego przygotowujący się do panowania jak do służby.

Wybrzeże Macedonii oddala się, na fali rozmazują się cienie gór. Góry jak te, do których przybijał trzydzieści cztery lata wcześniej, gdy rozpoczął swoją drogę i oswajał się z morzem.

.....

Demetriusz wie, że cnotą męża jest nie ulec i wie, że nie on podłożył głowę pod stopę Tyche. Swoje wspaniałe szaty zostawił w obozie na przeciw Pyrrusa. Teraz w prostym odzieniu przemierza całą Helladę, gromadzi pozostałe wojska, przekonuje sojuszników, układa się z przeciwnikami. I nieprawdopodobnie staje się. Znowu Demetriusz jest królem i wodzem na czele armii. Przywdziewa purpurowy płaszcz, którego może ślubował nie włożyć dopóki na powrót nie okaże się go godnym. Z armią rusza ku Atenom, które znowu sprzeniewierzyły się dawnym układom.

Co więcej, Ateńczycy wysłali poselstwo do Pyrrusa, prosząc niedawnego, bez walki pogromcy Demetriusza o ewentualną pomoc przeciwko wspólnemu wrogowi. Czy mogli myśleć, że odstraszą tym Poliorketes? Przecież mieli dosyć czasu by poznać go i zrozumieć, że nic bardziej nie może go sprowokować jak takie właśnie działanie. A może Ateńczycy w małości swojej nie potrafią już zrozumieć kogoś kto nie ulęknie się swojego zwycięzcy?

Armia i flota Demetriusza odcinają Ateny od świata jak siedem lat wcześniej. Ateńczycy pamiętają straszliwe oblężenie czasu tamtego i nieprawdopodobieństwo łaski Demetriusza. Pyrrusa nie ma a pod murami stoi Poliorketes. Do niego więc udaje się poselstwo filozofów z czcigodnym Kratesem zwierzchnikiem Akademii na czele błagając o łaskę i o odstąpienie.

Nie wiadomo co spowodowało rezygnację Demetriusza. Mało prawdopodobne, aby była to wymowa najzdolniejszych nawet filozofów i retorów, choć z pewnością gest łaski wobec próśb najświetlejszych

umysłów Hellady musiał być dla Demetriusza kuszący. Tym bardziej, że Poliorketesowi nie tyle zależało na zdobyciu Aten i osadzeniu się w nich na stałe lecz na ukaraniu wiarołomnych sojuszników — prośba o łaskę mogła być więc zadośćuczynieniem wystarczającym. Zajęcie Aten nie było dlań najważniejsze bo przygotowywał właśnie wielką na Azję wyprawę, wyprawę rozstrzygającą, która miała mu dać nareszcie panowanie nad światem, a z tej perspektywy nawet stolica Hellady nie miała specjalnego znaczenia.

A jednak przy wszystkich szaleństwach swoich był Poliorketes świetnym strategiem. Zawsze dotąd przedsiębrał wyprawy jak wódz prawdziwy, zabezpieczając tyły, przygotowując bazy i punkty zaczepienia, jeżeli więc w sytuacji tej zlekceważył tak ważne Hellady miasto, wiedział może, że z wyprawy tej nie sposób powrócić... Bo czy mógł wierzyć w zwycięstwo wprowadzając na okręty mniej niż trzynaście tysięcy wojowników? Czy mógł wierzyć w zwycięstwo nad nieprzelicznymi armiami Lizymacha i Seleukosa, gdy przeciwstawić zdołał im ledwie dziewięć część tego co zgromadzić potrafił rok wcześniej przed klęską, którą poniósł bez walki? Niewielu więcej niż wyprowadził z klęski strasznej pod Ipsos? I choć liczyć mógł na grupki najemników, których przywabić zdoła w Azji to czy wyprawa ta nie była ostatnim rzutem kości, gdy jak zwykle postawił wszystko na jedną szalę nie po to by wygrać, ale by po raz ostatni stanąć do walki i zginąć jak heros?

Raz kolejny przemierza Demetriusz stary szlak Azji Mniejszej. Zdobywa Sardes i łopot skrzydeł Nike unosi go nieomal tak, że zwycięstwo jego wbrew wszystkiemu: doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi wydaje się nieuniknione i zaczynają przyłączać się do pochodów triumfu kolejni wodzowie Lizymacha. Jednak dopędza go już Agatokles, syn pierworodny władcy Tracji, nieodrodny dziedzic jego wielkości, który nie ulęknie się ani sławy swojego przeciwnika, ani jego szczęścia. Jest już Agatokles jak mąż doświadczony i mimo przewagi ogromnej nie wyda bitwy ostatecznej swemu natchnionemu przeciwnikowi tylko tropić go będzie, nie dawać chwili spokoju, odcinać prowiant a i Demetriusz wie, że nie może ścigać swojego wielokroć liczniejszego przeciwnika, pogrąża się więc w Azji licząc na

zgubienie Agatoklesa i jak Eumenes niegdyś na odnalezieniu sobie w dalekich krainach miejsca. Choć jednak rozbija Agatoklesa w każdej bitwie, z której na czas młody wódz potrafi się wycofać, szanse Demetriusza na przedostanie się w głąb Azji maleją a wreszcie z wycieńczoną, wyniszczoną chorobami armią zawraca i przedzierając się przez góry Taurus, które zamknął za nim syn Lizymacha wkracza Poliorketes w dziedziny Seleukosa.

Seleukos był zięciem Demetriusza, aby stać się teściem swojej niedawnej żony. Ma więc pretekst Demetriusz by opisać mu swoją ciężką dolę i w imieniu swoich cierpiących głód i choroby żołnierzy poprosić o pomoc.

I Seleukos wspaniałomyślny zaopatruje w żywność armię tylukrotnego rywala swojego. Wspaniałomyślność postępuje jednak w parze ze zdrowym rozsądkiem, gdy Seleukos z armią ogromną staje na przeciw Demetriusza blokując wszelkie przejścia w górach Amanu, drogi do kraju swego.

Cofając się z nielicznymi wojskami w góry Taurus pomiędzy dwoma potężnymi przeciwnikami, z których każdy dysponuje siłami po wielokroć przewyższającymi jego, szuka Demetriusz wyjścia. Słę kolejny list do Seleuka prosząc o pozwolenie przejścia jego terytoriów w kierunku dowolnie wskazanych dziedzin barbarzyńców, gdzie Poliorketes wywojować mógłby swoje odległe od wszystkich królestwo, albo chociaż prosząc o możliwość przezimowania na władcy Syrii terytoriach.

Seleukos jest nieubłagany. Teraz, gdy Demetriusz jest na jego łasce, żąda odeń kapitulacji i zakładników. Podejmując wszystkie środki ostrożności nie docenia jednak Poliorketes. Jak osaczone zwierzę Demetriusz uderza. Osobiście prowadzi do ataku swoją armię rozbijając kolejne oddziały Seleukosa, nie zatrzymując się i pędząc do przodu jak za swoich młodzińskich lat, gdy nic nie było w stanie go zatrzymać. Szał wodza udziela się żołnierzom. Zatrzymują się jedynie, aby uczcić swoich poległych i na kilka godzin najciemniejszej nocy, aby ze świtem zaatakować przeciwników, nie przypuszczających, że bezpośrednio po marszu wyczer-

pującym i bitwie wojownicy Demetriusza w nocy jeszcze dojść potrafią do ich obozu, aby uderzyć z pierwszymi promieniami słońca.

Cofając w zamieszaniu armię, Seleukos po raz pierwszy w swoim niekrótkim, spędzonym na wojnie życiu jest niepewny. Zna Demetriusza i widział prowadzone przezeń szarże, którym nikt nie był w stanie się oprzeć. Żołnierze opowiadają, że na czele armii wroga pędzi zawsze król — wojownik w purpurze, jak bóg wojny i nikt nie jest w stanie stawić mu czoła a żołnierze jego postępują za nim i walczą jak w natchnieniu. Seleukos jest jednym z najpotężniejszych władców świata a monarchia jego rozciąga się od Morza Śródziemnego do Indii, już ponad ćwierć wieku minęło, gdy z tysiącem ludzi ruszał na krańce ziemi, aby odbić swoje królestwo i nie może rzucać go na los szczęścia bitwy jednej, na przeciw desperata mającego do wyboru zwycięstwo lub śmierć, co z tego, że wojska jego mają przewagę wielokrotną, gdy desperatem tym jest Poliorketes, boski wojownik, do którego zdaje się powróciła dawna kochanka jego Tyche.

Demetriusz jak niegdyś przestaje czuć zmęczenie. Spi prawie na stojąco i nie odróżnia dni. Unosi go ekstaza prowadząca w bitwie nad ziemią, gdy znowu jest niedosiężnym bogiem nie wierzącym w swoją śmierć.

Seleukos zdecydował się rzucić na przeciwnika wszystkie wozy swoje zaopatrzone w śmiercionośne kosy. I na przeciw wozów tych poprowadził Demetriusz atak wiedząc, że każda próba oskrzydlenia ich skończyłaby się masakrą wojowników ciętych kosami wirującymi wraz z kołami rydwanów. Trzeba tylko nie ulęknąć się dudnienia ziemi w galopie ściany tysięcy koni i wozów i dlatego Poliorketes znowu porywa za sobą żołnierzy pędząc na wprost rydwanów i zabijając rzutem oszczepu pierwszego woźnicę, obalając konie i mieszając szyki, aby dać przykład wojownikom podążającym w ślad jego i rozbijającym szarżę wozów mieszających się ze sobą, wpadających na siebie w zamęcie, gdy kosy tną nogi końskie a krzyk miażdżonych kołami woźniców niesłyszalny jest prawie przez kwik zwierząt.

I znowu armia Seleukosa cofa się. A o świcie wojownik w purpurze prowadzi skalnym piargiem wąski szereg żołnierzy na zdumionych obrońców przełęczy, którzy nie wierzą by ktoś mógł ich zaatakować na ich

niedostępnych pozycjach. A po dniach kilku, góry Amanu, Syrii wrota były w rękach Demetriusza.

Seleukos cofnął się na równinę wysłuchując meldunków o coraz liczniejszych ochotnikach, którzy ściągają do obozu syna Antygona wybrańca Nike i bogini fortuny.

To był świt, gdy Demetriusz chwiejnym krokiem wyszedł ze swojego namiotu odprowadzany przerażonym spojrzeniem przybocznych, aby po momencie runąć na ziemię zanim podtrzymają go ręce towarzyszy.

Czy gorączka spadła z gór, mroźnych nocy, kiedy nie można było rozpalać ognisk by nie uprzedzić o swoim nadejściu? Czy spadała na organizm wyczerpany wielotygodniowym wysiłkiem ostatecznym bez chwili wypoczynku, zawsze na czele w walce, której nikt nie był w stanie wytrzymać a Demetriusz miał już pięćdziesiąt lat i wszelkie szaleństwa życia za sobą? Czy może Tyche wyczekała znowu odpowiedniego momentu raz jeszcze łudzając swego przeciwnika widmem szansy?

Czterdzieści dni minęły, gdy Demetriusz rzucał się w malignie a słowa jego pojedyncze nie składały się w zdania. Czterdzieści dni ciężar choroby spoczywał mu na piersiach i nie pozwalał się podźwignąć.

Dopiero potem, po raz pierwszy otworzył oczy by popatrzeć przytomnie, wstał bez słowa i niepewnie, z twarzą wychudzoną, porytą i skupioną, jak po długiej nieobecności, powrocie z odległej krainy, oglądał obóz budzący się po nocy. Przyglądał się resztkom żołnierzy, którzy nie zdezerterowali jeszcze lub nie przyłączyli się do wroga. Poczym zarządził wymarsz.

Seleukos nie atakował ciągle. Demetriusz tymczasem ruszył forsownym marszem w kierunku Cylcji by niespodziewanie zawrócić i przez góry wejść w środek krainy Seleukosa. A gdy Seleukos dopędził go i rozłożył się obozem, by odpocząć, w nocy Poliorketes podjął atak. Tyche opuściła go jednak ostatecznie. Dwóch zdrajców z armii jego ostrzegło władcę Syrii, który zdążył na nogi postawić armię. Demetriusz cofnął się.

Cofnął się by zaatakować piętnastokrotnie większe siły Seleukosa w świetle dnia. Prowadził swoich żołnierzy wiedząc, jak wiedział od dawna, że nie ma już nic do stracenia. Wdarł się w środek wojsk władcy Syrii,

gdy ten zeskoczył z konia i zdejmując hełm krzycheć począł, że walka nie ma sensu, bo on oszczędzić chce Hellenów jak oszczędzał ich dotąd.

Demetriusz z garstką najwierniejszych raz jeszcze pędzi ku przełęczom Amanu. To przez nie prowadzi droga do Cylcji a dalej na wybrzeże i do portu Kaunos, gdzie ciągle jeszcze tkwi jego niezwyciężona flota. Jednak los jest przesądzony. Przełęcz obsadzone są przez oddziały Seleukosa.

Dlaczego Demetriusz pdał się rywalowi? Miecz wymierzony we własne serce siłą zatrzymali przyjaciele, ale czemu oddał się w ręce Seleukosowi, kiedy wiedział, że wszystko jest już stracone? Czy mógł wierzyć, że wymknie się raz jeszcze, że raz jeszcze jak Eumenes podejmie walkę, ale przecież i Eumenes zakończył życie w obozie swego przeciwnika, dawnego towarzysza broni?

Lata całe w pętli rzeki Orontes i bagnisk, galopował Demetriusz obserwując czujne straże i przeszkody, które zgotowała mu natura. Lata czekał na pojawienie się Seleukosa lub córki swojej Stratoniki za syna Seleukosa Antiocha wydanej. Lata całe ćwiczył i polował zawzięcie na swoim małym łownym terenie pod okiem licznych straż nieomal jak Eumenes w Norze czekając swojego czasu, który nie mógł nadejść.

Cwiczył coraz mniej. Przestał polować i ruszać się. Pił wino i obżerał się, coraz grubszy i opuchły jakby coraz mniej rozumiał co dzieje się wokoło. Latami rzucał kości, coraz bardziej odruchowo, coraz bardziej bezsensownie i czekał na wynik jakby chciał z drewnianych brył wypatrzyć twarz rządzącej światem Tyche. Punkty na kostkach złożyć mogą się we wzór, który zrozumieć pozwoli dzieje, drogę życia i pozwolić na gest odkupienia?

Drewniane kostki wysypują się z grubej ręki i toczą się pod niewidzącym spojrzeniem.

Demetriusz umarł niezauważenie. Dopiero wtedy, po latach, gdy zapomniano go nieomal, powrócił do Hellady, aby mogła podziwiać go po raz ostatni. Wspaniały morski pogrzeb, był dopełnieniem jego życia, odsłaniającego się w drodze ostatniej, tyle dni na morzu, którego był zawsze panem od portu do portu złota urna na wyścielanym purpurą pokładzie,

opłakiwana przez Grecję całą w zapachu więdnących kwiatów, śpiewie i muzyce fletu.

Antygonos Gonatas dotyka czołem złotej urny. Pokład kołysze się. Muzyka prowadzi okręt i fale w przestrzeni, która staje się coraz jaśniejsza, bieleje jak dym unoszący się ku niebu.

Miną lata nim Antygonos Gonatas sy Demetriusza Poliorketesa zostanie władcą Macedonii i podporządkuje sobie Grecję, dając prawdziwy początek dynastii Antygonidów. Antygonos wbrew panującym już obyczajom, nigdy nie pozwoli wytłoczyć podobizny swojej na bitych przez siebie monetach. To jednak temat na zupełnie inną opowieść.

GŁOWA

Śmiech wokoło nadbiega jak krzyk ptaków. Wrzask kruków, których skrzydła trzepoczą w śnieżnej zawiei nad głowami barbarzyńców. Wilcze skóry na jasnych ciałach. Twarze — pyski wilcze. Maski wilcze przesłaniają twarze, maski wilcze tańczą na wietrze, skóra zdarta z szarych pysków marszczy się w podmuchach powietrza, przywiera do twarzy, wrasta w nie.

Więc jednak nadchodzi sen. Zapomniany, zapomniany, zagłuszany w zajęciach dnia, pasji dnia, gorączce światła. A może teraz właśnie Keraunos stworzył go widząc w swoich ostatnich chwilach barbarzyńców w wilczych skórach i maskach, wśród czarnych skrzydeł unoszących się nad wozami, do drągów przybitych skrzydeł kruków, widząc śmierć nadchodzącą w zwierzęcej skórze, w łopocie skrzydeł ścierwnika... może to piszący o nim, widząc go w kręgu wozów, w śniegu, na kolanach, wśród zwierzopodobnych wojowników zobaczyli sen ten, który podobno opowiadali przyjaciele Keraunosa, jeśli mógł mieć on przyjaciół, mówiony im jeszcze w rwanych słowach bo płuca chwytały niepełne kęsy powietrza po-

wracając z nocy, dziedziny Seleukosa wzywającego na sąd bestie i ptaki drapieżne i obdzielającego je porcjami wielkimi mięsa mordercy swego?

Barbarzyńcy śmieją się z godności króla. I Ptolemeusz Keraunos, gdy utracił wszystko, gdy zrozumiał, że nie tylko przegrał, ale jak żaden władca przed nim Macedonię, zdobywczynię świata na żer rzucił zwierzopodobnym istotom, przeżyje ostatnie upokorzenie, które nie okaże się ostatnim, kiedy brocząc krwią, czarne plamy na purpurowym płaszczu, przygięty do ziemi pada na kolana i ciało raz pierwszy odmawia mu posłuszeństwa, czuje kolano na swoim grzbiecie i może już tylko patrzeć prosto w ciemne oczodoły szarej maski bo i kark jest za słaby, aby nie pozwolić skrócić głowy za włosy by łatwiej było uderzyć w odsłoniętą szyję i gołogłowy król w świście śnieżnego wiatru i śmiechu barbarzyńców, na kolanach, nogą przygięty do ziemi z karkiem skrzyconym jak ofiarne zwierzę czeka na śpiew miecza, wolno rosnący w śnieżnym powietrzu.

Palce jak konary, palce w jego włosach, jak palce we włosach synków Arsinoe, jak tamte skręcają głowę zanim odrąbiają ją od tułowia, zanim przetną gardło i uspokoją wreszcie skurcze drobnego tułowia, palce wypuszczą wreszcie Arsinoe i jej wycie, dłonie strażników puszcza jej ramiona i pozwolą opaść jej na dwa nieruchome już ciała, które kazał cisnąć do jej stóp mówiąc — Rzucić przed nią ścierwo jej bękartów. — A potem wsłuchiwał się w jej zawodzenie jak wilczy, długi jęk, jakby podobny do tego, który wyduszał w ich gwałtownych nocach i tej ostatniej, poślubnej, kiedy czując jej spazmatyczne ruchy wiedział już, że dnia następnego patrzeć każe jej na zarzynanie dzieci, kiedy mówił bezgłośnie — Bereniko, spójrz jak córka twoja błaga o rozkosz dzieci swoich zabójcę! — Ojczy, patrz jak twoja ukochana córka skomli pod twoim niechcianym synem, który zabija twoje wnuki! — i rozkosz jego wielokrotniała i buchała jak ogień w trzewia Arsinoe, do której krzyczał wtedy bez słów — suko! to o co skowyczesz, co rozgina twoje nogi i wdziera między nie to nóż na gardła twojego pomiotu! — Charczał wtedy bryzgając śliną a potem do niej wyjącej na ciałach synów mówił spokojnie choć krew tańczyła w nim swój taniec ekstazy — Przecież chciałaś tego. Ofiarowałaś mi swoich synów a ja zaopiekowałem się nimi najlepiej jak mogłem. Widzisz, nie męczą się już. Zresztą

należy się mi zapłata za zaspokojanie twojej żądz. Goniąca się suko! Przecież tak naprawdę to za to oddałaś mi swoich synów!

Patrzył na jej kurczącą się postać ramionami usiłującą zagarnąć dwa nieruchome drobne ciała, z których jedynie krew coraz cieńszą strużką padała na posadzkę, zawodzenie cichło, tylko zielone oczy przez łzy wbiły się weń i pulsowały jak usta jej dzieci w agonii i czuł, że panuje nad nią jak wtedy, gdy wydzierał z niej skowyt rozkoszy. Zielone oczy, oczy Bereniki, które prowadziły jego ojca, zabierały go aby odchodził, zostawił matkę jego Eurydykę i braci, pozostawił ich samych w pustym pałacu i zabrały mu miejsce należne u boku ojca i tron Egiptu, ziemi jego, ojczyzny utraconej. Zielone oczy, które otwierały się nad nim w nocy, aby niewidziany przez nikogo niedorostek zawodził bezsilnie i marzył beznadziejnie, że napelni je strachem i uległością zaciskając dłoń na prężącym się daremnie członku, aż kiedy utracił wszystko i miejsce należne mu zajął imiennik jego obcy, zniewieściał półbrat Filadelfos, Keraunos niejasnym impulsem wiedziony przybył na dwór Lizymacha wzywając pomocy siostry swojej przyrodniej nieznannej i nienawistnej z rodu, który odebrał mu wszystko i kiedy w Kasandrei u boku ogromnego starca zobaczył Arsinoe i jej zielone oczy Bereniki poczuł na czole podmuch skrzydeł nadziei i zrozumiał nie wiedząc jeszcze jak, że nie tylko świat stoi przed nim otworem czekając na błysk jego miecza, ale i cień jego młodości, sen zemsty i żądz powraca doń, aby mógł go ujarzmić wreszcie i zgasić zielony blask swoich nocy.

Może uwierzył wtedy, że bogowie wypróbują go przypisując mu los szczególny, pozbawiając go wszystkiego dają mu szansę wszystkiego zdobycia, wskazują mu przeznaczenie Aleksandra też kiedyś odsuniętego przez ojca, przeznaczenie, do którego nie dorósł dotąd nikt z następców syna Filipa, mimo, że minęło już czterdzieści lat. Przecież nie nadarmo nadano mu przydomek Keraunos — piorun, który wskazywać miał gwałtowność jego charakteru, ale przecież wieścić mógł wielką przyszłość kogoś kogo nazwano atrybutem Zeusa, piorunem, który jak boski miecz wbić się może w bierne ciało świata.

I wtedy, na dworze Lizymacha, w pałacu nie tak okazałym jak ten, w którym urodził się i wychował, w mieście niedużym i prowincjonalnym

dla kogoś kto życie spędził w Aleksandrii, w krainie chłodnej i obcej, choć to stąd wywodził się ojciec jego i matka i prawie wszyscy, których znał, bez królestwa, przyjaciół, pieniędzy, patrząc w oczy Arsinoe, poczuł, że kusi go właśnie Tyche — kapryśna bogini losu, wyniosła kobieta sandałem przyginająca do ziemi mężów, a przecież ujarzmić można ją jak nad brzegiem Nilu ujarzmił młode konie, jak Arsinoe, której oczy zajaśniały zielonym światłem oczu bogini.

Zimny wiatr uderza jak ostrze. Czeka na nie. Czeka na kolanach czując jak krew jego wsiąka w błoto, osaczony zwierzęcym rechotem, nogą przybity do ziemi ze skręconą za włosy głową, czeka na żelazo zimne jak kamienna głowa boga, której dotykał, gdy w świątyni przysięgał, że siostrę swą uczyni jedyną małżonką i królową, a synowie jej będą jego pierworodnymi. Przysięgał, rozważając jak najłatwiej opanuje Kassandree i kiedy zabić każe synów Arsinoe i bez lęku patrzył na głowę Zeusa i myśleć mógł: bogowie są daleko, wysoko i nie troszczą się o nasze przysięgi, bez strachu więc patrzył w kamienne oczy i przysięgał, aby przysięgę złamać, ale teraz tamte ślepe jak mniemał oczy spojrzały na niego z wilczej maski człowieka wznoszącego nad nim miecz.

Jednak wtedy, w świątyni, patrząc na wysłańca Arsinoe mógł myśleć: z bogów rządzi nami tylko kapryśna Tyche, którą mąż ujarzmić potrafi, ja ujarzmiam jak tę kobietę, kupuję za łatwe słowa bo jest słaba, głupia i uległa, choć łączy nas wspólny ojciec i podobna jest do mnie, co zrozumiałem już wtedy, kiedy powiedziałem jej — Agatokles musi zginąć — i usłyszałem — Wiem o tym, ale chcę wybrać najpewniejszą metodę — a może wcześniej, gdy pierwszy raz patrzyłem w jej oczy; podobna jest, ale jest tylko kobietą i oszukuje się, chce wierzyć w swoją kobiecą moc a więc w moją miłość, potrzebuje kogoś i wybrała mmnie, podobnego do siebie bo nie wie, że zwycięzcy muszą być samotni i za słaba jest, żeby wiedzę tą posiąść, ślepa, wmawia sobie, że nienawiść moja jest miłością, ale to nienawiść daje siłę.

Jednak pozwolił uciec jej. Pozwolił schronić się na Samotrace, w świątyni osłoniętej tajemnicą misteriów a potem uciec do Egiptu, do brata jej Filadelfosa, krew jej krwi, słabość jej słabości, który nie potafi

zawładnąć nią nigdy. Czy pozwolił uciec jej, aby tym bardziej upajać się swoim triumfem, pozwalając jej żyć i nieść w jej rozpaczy swoje zwycięstwo? A przecież pomimo gwałtowności swojej Keraunos był praktykiem. Niewygodnych eliminował konsekwentnie i sięgał daleko, bo nikt nie miał wątpliwości kto stał za zniknięciem Lizandry, wdowy po Agatoklesie i dzieci jego, mimo, że opiekę znaleźli u potężnego Antiocha dziesiątki tysięcy stadiów od Macedonii a głosy mówiły, że szukać należałoby ich w bagniskach Babilonu i że widziano Keraunosa z uśmiechem bawiącego się pierścieniem Agatoklesa, który po śmierci jego ocalić zdołała Lizandra.

Na kolanach w chłodzie zimy, której nie zna Egipt ojczyzna jego, co Keraunos rozumie teraz dopiero, gdy ostrze miecza wdziera się między żyły, zębami lodu przegryza ścięgna i wypala gadło pozostawiając tylko brudny krzyk bólu, bo myślał, że ojczyznę jego jest świat, gdy metal białym płomieniem gasi obrazy i może postać i głos, który mógł mówić: a jednak wygrała ona, królowa Egiptu z białego pałacu, w słońcu przez zieleń liści patrząc na kaźń twoją, gdy w oczach jej odbija się tafla nieskończonego morza, które was dzieli.

Podobno Arsinoe patrzyła wówczas na morze. Niedługi czas upłynął od kiedy przybyła do Aleksandrii po dwudziestu latach nieobecności, ale trudno było poznać ją nie tylko z powodu upływu lat: odjeżdżała wyniosła królowa, która mimo młodziutkiego wieku wiedziała jak zachować winna się małżonka Lizymacha, pana Tracji i Azji Mniejszej, jednego z najpotężniejszych spadkobierców boskiego Aleksandra, wracała uciekinierka ścigana przez męża, któremu na łup wydała nie tylko dziedziny Lizymacha, ale jego i swoje dzieci, które opłakiwała teraz nieruchomą twarzą, kiedy było już za późno.

Wracała ogołocoła z wszystkiego — z czci nawet, bo przecież dwór w Aleksandrii huczał od pogłosek jak to Arsinoe doprowadziła męża swojego Lizymacha nie tylko do okrucieństwa, pan Tracji do łagodnych nie należał nigdy, ale do szaleństwa wręcz, kiedy to diadoch pod zarzutem zdrady zabić kazał Agatoklesa, syna swojego pierworodnego, dumę swoją dotąd największą, który zgodnym chórem wszystkich rozumnych w jego królestwie i poza nim stać się mógł nie tylko godnym Lizymacha następcą,

ale i przewyższyć go bo wydawać mogło się, iż wcielał cnoty obojga rodziców: nie tylko wojenne zdolności, przemyślność i upór ojca, ale wspa-
niałomyślność i błyskotliwość matki swojej, Amastris — królowej Hera-
klei Pontyjskiej. A ojciec słuchał z ledwie tłumioną satysfakcją pogłosek
owych, jeśli docierały doń, bo syn nigdy nie dał powodów, by niepokoić się
jego rosnącą sławą i znaczeniem, ukazując zawsze pełne poddanie władzy
ojcowskiej i bezgraniczny wobec niej szacunek a może i coś więcej, co lu-
dzie nazywają miłością synowską. Przecież to na trzy lata przed swoją z oj-
cowskiego rozkazu śmiercią, zmógł Agatokles największego wroga ojca
swego Demetriusza Poliorketesa, świetnego wodza, którego syn Lizyma-
cha tropił przez całą Azję Mniejszą jak brytan wisząc mu u gardła i nie
dając chwili wypoczynku, skazując wojska Demetriusza na głód i postę-
pujące wyczerpanie i świadomie unikając rozstrzygającego starcia, dając
tym chwalebne świadectwo rozważi, tak rzadkiej w wieku jego bo w mę-
stwo Agatoklesa nie wątpił nikt a kampania przeciw Demetriuszowi dowo-
dziła jego wojennego geniuszu. Kampania, której owoce ofiarował bez re-
szty ojcu, usuwając w cień swoją osobę, siebie — wodza, który wielkiego
Demetriusza zagonił w żelazny uścisk Seleukosa, oddał mu wręcz tak, że
wszystko co działo się potem, aż po zdanie się Poliorketesa na łaskę pana
Babilonii i ostateczne osadzenie go na Chersonizie Syryjskim, uznać moż-
na za Agatoklesa dzieło.

Wiadomo było, że to Arsinoe właśnie opętując starego Lizymacha
doprowadziła go do synobójstwa, nie bez współpracy przyrodniego brata
swojego Keraunosa, który, jak mówiły złośliwe języki nie był już bratem jej
jedynie, ale w Aleksandrii dodatkowo a aluzje te przybyły z Macedonii,
z uśmieszkami cytowano frazy poety mówiącego o występnej miłości Fe-
dry do Hippolita pierworodnego syna Tezeusza a Fedry pasierba, który od-
rzucając jej miłość skazał się na śmierć.

Teraz Arsinoe wracała na dwór aleksandryjski jako niema płaczka
po synach, których oddała w ręce mordercy poślubiając go, a chociaż wina
jej, również ściganej przezeń, nie była zamierzona, niemniej była
niewątpliwa i dlatego Aleksandria oczekiwała, że Arsinoe resztę dni swo-
ich poświęci na pokutę i lament. I może to nie Arsinoe tak bardzo zmieniła

się od lat dwudziestu, ale oglądający ją widzieli nie tylko ciemną chmurę, która spadła na jej twarz lecz również powinność skazującą ją na bytowanie bliżej raczej martwych niż żywych.

Nie wszyscy jednak, bo boski brat rozpoznał ją od razu, zrazu jako siostrę, którą przecież tak niewiele mógł pamiętać, dziecko, gdy Arsinoe starsza o lat kilka żegnała ich miasto, a więc może jako rodzaj lustra co odbija inną nieco a przecież jego własną twarz. Może temu zawdzięczać mogła Arsinoe zaufanie brata, który do łatwowiernych nie należał, a zawierzył jej i słuchał rad jej zanim jeszcze odsłoniły swoją przenikliwość, bo Filadelfos zaufał Arsinoe daleko wcześniej nim mógł mieć ku temu jakiegokolwiek przesłanki. Może dlatego, że niezwykle prędko przestał patrzeć na nią jako na siostrę wyłącznie. On, który kobiet potrzebował jak coraz nowych strojów zdobiących jego boskie ciało, już na zawsze wpatrywał będzie się w Arsinoe niespotykanym u niego wzrokiem nieomal takim jakim ojciec ich Ptolemeusz Soter patrzył na matkę Berenikę. I choć znowu, po czasie jakimś, każe przyprowadzać do łóżka swego mnogość kobiet, już do śmierci Arsinoe dotykał będzie jej twarzy tym samym spojrzeniem.

Filadelfos — pan Egiptu dużo bardziej niż ojciec jego, który wbił miecz w tę dziedzinę jako łup należny mu po Aleksandrze, jedyny spośród diadochów nie opętany snem o schwyтaniu w dłonie świata, Aleksandra dziedzictwa i dlatego to Ptolemeusz umarł w łóżku swoim jako jedyny z nich, ale ziemia ta była dla niego tylko królestwem zdobytym orężem, gdy Filadelfos wychował się tu, a na pana kraju tego sposobila go matka zanim jeszcze cokolwiek zostało przesądzone. Ptolemeusz Soter był wojownikiem, wodzem hetajrów a jednocześnie jednym z nich, hetajrem a więc towarzyszem. I dlatego mógł walczyć z nimi o władzę jak równy. Filadelfos, syn jego w Egipcie uczył się sztuki królowania a więc i boskości, nie był wojownikiem na koniu wśród podobnych sobie a tożsamyh wręcz, gdy porywa ich bitewny szal, był wcieleniem boga na tronie panując nad gatunkiem nietożsamym z nim samym do końca. Dlatego może jak myśliwy pijąc ze źródła odnajduje naprzeciw siebie twarz, miłość, do której spada nań i poraża, tak brat Arsinoe zakochał się w sobie, sobie nieco innym patrzącym na niego twarzą jego siostry z nieco bardziej wysuniętym pod-

bródkiem, z troszkę bardziej zakrzywionym nosem, z lekko zaokrąglonym czołem i czarnymi włosami, ale zachwycił się sobą, sobą — kobietą.

Nie tylko brat zobaczył Arsinoe inaczej niżby widzieć chcieli ją mieszkańcy królewskiego pałacu i miasta wokół niego. To ona sama nie przyjęła na siebie nigdy roli żalobnicy od początku czujnym okiem śledząc wszystko co działo się na dworze i poza nim, kiedy to od razu opowiadać zaczęła bratu swojemu o różnorodności światów i ich rozumienia i o tym jak różnie pojmowane mogą być decyzje króla Egiptu i jego dygnitarzy, zaznaczając oczywiście, że nie chodzi jej przecież w żadnym wypadku o wskazówki czy też rady tak nieprzystojne wobec Ptolemeusza władcy. Nie przypominała Filadelfosowi w niczym złamanej matki pomordowanych na jej oczach dzieci tak bardzo, że aż chwilami wiedząc, nie był w stanie uwierzyć w to co przytrafiło się jej. Przypominała mu za to matkę ich — Berenikę, z jej łagodnym wszystkowiedzącym uśmiechem.

Pogłoski, plotki, które na moment, kiedy Arsinoe okazała się tak inna od przygotowanego dla niej wcielenia, spotęgowały się, ucichły równie nagle i jednoznacznie. Zbyt złożona była gra dworu, aby zawierzyć można było czyimkolwiek uszom lub jakiejkolwiek ścianie, mówiąc rzeczy przeciwko osobie tak bliskiej władcy a więc jakby przeciw władcy samemu. Dworacy mieli rację. Bo przecież już niedługo Ptolemeusz odesłać ma swoją małżonkę by poślubić Arsinoe a ostatni wrzask Sodatesa, gdy zatrzaśkiwało się nad nim wieko ołowianej trumny, aby pogrążyć w odmęty tak daleko od brzegu, gdyż Patroklos ścigał go morzem kilka dni, unaoczniał, że zbyt ryzykowne są żarty z królewskiego związku, choćby tak sprzecznego dla Hellenów z naturą.

Zresztą niewiele potem, po śmierci królowej a minęło tylko dziewięć lat, gdy z nieznanых powodów Arsinoe odeszła do królestwa cieni pozostawiając ciało tak niezmienione, jakby opuściła je już lata wcześniej i widziano wtedy jedyny raz rozpacz na boskim obliczu Ptolemeusza Filadelfosa, gdy jego gładka twarz ściągała się ku przodowi w grymasie zwierzęcego bólu, opłakiwano ją szczerze, mądrą królową, muz opiekunkę i przyjaciółkę i czczono ją prawdziwie w jej odległym, smutnym prawie spokoju, który wydawało się pochylał nad każdym z nieludzką już chyba

wyrozumiałością. Dlatego wybaczone jej i bratu ich kaziorodczy postępek jakiego nie wybaczone by ludziom a nawet uznano go za boskości znamię, ale to Arsinoe tylko dostąpiła kultu spontanicznego, jakby udało się jej połączyć ponadludzkie dostojeństwo z współodczuwaniem człowieczym.

Afrodyta, Izyda, która zstąpiła między ludzi przyodziana w ciało zrozpaczonej uciekinierki, ale to przybranie choć znaczące, było przybraniem tylko i dlatego dla mieszkańców Egiptu stała się bliską a tajemniczą królową, która pozostała z nimi, opiekowała się nimi lat dziewięć a to co wydarzyło się wcześniej nie do jej historii przynależało.

Arsinoe mogła patrzeć wtedy w morze. Mogła patrzeć jak tyle razy, kiedy nadchodził zmierzch, biały kamień świecił swoim ostatnim blaskiem a królowa z tarasu patrzyła na noc, która wyłaniała się z morza.

W ciemności twarz nie wyraża nic. Tylko oczy odbijają daleką znad morza łunę. Nie wiadomo czy poszukują na morzu śladów syna jej najstarszego Ptolemeusza, który uszedł kaźni z rąk matki swojej męża i podjął z nim beznadziejną walkę. Nie wybaczył jej nigdy, że utraciła królestwo jego, braci jego wydała śmierci lekceważąc ostrzeżenia swojego pierworodnego, ona tak trzeźwa zawsze jak ślepa była idąc chyba za głosem namiętności, co synowi wybaczyć najtrudniej i czego wybaczyć już nie będzie miał kiedy, zagubiony na zawsze w tumultcie historii i zapomniany, bo nie znalazł czasu na pozostawienie po sobie śladów, znika z kart dziejopisów i pamięci ludzkiej i może tylko matka pamiętać go będzie czując, że ostatni z jej synów nie żyje już także z jej winy, a ona patrzy w noc aby przywołać jego twarz i jego ostatnie nieznanne jej cierpienie, które chciałyby dzielić z nim jak dzieliła je z jego braćmi.

Noc jest jak wina, pozwala widzieć dalej i pełniej. Może Arsinoe widzi głowę Keraunosa na włóczni, usta wykrzywione w grymasie jak śmiech, który wydobył zeń barbarzyńca uderzając mieczem odrąbaną głowę, tnąc usta i wyłamując zęby, gdy krzyczał — Ciesz się królu! Galatów prowadził będziesz do zwycięstwa!

Czy ten krwawy, niemy, obrzmiały śmiech przypomina jej śmiech Keraunosa na wiadomość o skazaniu przez Lizymacha Agatoklesa? Śmiech Keraunosa, który pozostanie w niej, ten sam nad nią, gdy wydzierał

z niej jęk rozkoszy, ten sam, gdy kazał mordować jej synów i wpatrywał się w nią wyrywającą beznadziejne z rąk oprawców i szydził.

Arsinoe na zawsze zapamięta każde jego słowo, budzące ją z każdego snu jak krzyk jej dzieci. Te same słowa, rzucić mógł jej syn najstarszy ocalony wbrew jej postępkom, który na zawsze utracił królestwo. Ocalony nie na długo, zagubiony bez szans, którego nie zobaczyła już nigdy. Czy więc klęska ostateczna Keraunosa i jego hańba, okaleczona głowa kołysząca się na włóczni, której jeśli nawet nie widziała patrząc w chmury nad morzem, gdzie spełniał się jej sen, to wszystko opowiedziano jej nieco później, co nie znaczy mniej dokładnie, czy więc agonía jej prześladowcy nie wypełniła jej radością czystą jak ogień?

Śmierć jedyne go mężczyzny, do którego należała bez reszty, którego była częścią, który wdzierając się w nią ofiarowywał jej świat jak płomień boga, którego nosił imię. A potem odebrał jej wszystko pozostawiając ból i rozpacz bez nadziei.

Czy mogła myśleć, że podobni byli wspominając szal Lizymacha, gdy znalazła właściwe słowa, aby uwierzył w syna swego zbrodnię? Gdy zaczął dyszeć żądzą jego śmierci tym gwałtowniej im gwałtowniej wierzyć chciał w jego wiarołomstwo, bowiem inaczej wiarołomczynią okazać musiały się jego żona, kwiat jego starości, która ostatnio pozwoliła mu przekroczyć swój wiek, otworzyła dlań młodzieńczą radość zmysłów i poprowadziła go w ogród niespodzianek, jakby był bogiem i nie dosięgały go kamienne żarna czasu. Może właśnie dlatego tak przecież ostrożny w posunięciach wszystkich pan Tracji dał porwać się morderczej furii, furii samobójczej, gdy mordował Agatoklesa przyjaciół i wszystkich tych, którym na sercu leżało dobro Lizymacha i jego kraju i mieli dość odwagi aby powiedzieć o tym, gdy z jego ręki ginęli jego najlepsi wojownicy, aby wreszcie samobójczy obłąd doprowadził go na pola Kurpedion, gdzie jego porabane ciało znalazło wreszcie spokój? Może przemyślny starzec nie chcąc przyznać się czuł w odległych zakątkach rozumu, że nie przez Agatoklesa został oszukany a wszystko co olśniło go miesiącami przed syna swego zabiciem było kłamstwem tylko. Może szedł na przeciw swojemu ostatniemu towarzyszowi jakby szedł na przeciw śmierci bo życia nie mógł już udźwignąć?

Czy Arsinoe, kiedy dowiedziała się już, że plan jej uwieńczony został sukcesem: bezgłowe ciało Agatoklesa rzucone zostało w rozpadlinę a synowie jej odziedziczą Lizymacha dziedziny, pomyśleć mogła, że przecież nie tylko dla tych oczywistych powodów do zguby doprowadziła Lizymacha pierwородnego? Czy tylko bezpodstawną plotką było powszechne, złośliwe porównywanie córki Bereniki do Fedry, która śmiercią odpłaca odrzuconą miłość? Bo może nienawiść Arsinoe do Agatoklesa, jeśli była taka, pojawiła się również dlatego, że Lizymacha żona nie mogła nie porównywać jego starczej twarzy, pomarszczonej skóry, wiotczącego członka ze wspaniałością jego syna?

Czy w Aleksandrii, gdy śmierć jej synów przestała być jak gojąca rana a stała się jak mgła, która oplata głowę i oddala od świata, aby nigdy już nie móc cieszyć się jego wspaniałością, pomyślała Arsinoe, że synów swoich wydała już na zaturę, gdy wespół z Keraunosem przygotowywała śmierć Agatoklesa i jego najbliższych i że zapłaciła cenę właściwą, chociaż pytać można czy za zbrodnię i zdradę — i to kogo: starca czy syna jego, albo przybranej krainy — czy za zwierzęcą żądę, namiętność, której płomień przypomnieć potrafiła sobie jeszcze, kiedy obojętnie czuła w sobie i na ciele swoim brata swego i jego czułość.

Głowa ze zniekształconą twarzą unosi się w powietrzu. Dusza oddala się, jak ostatnie obrazy w śnieżnym wietrze, wilki i kruki, które towarzyszą Keraunosowi w jego ostatniej drodze. Wilki i kruki przyzwane z Hadesu przez Seleukosa. Seleukosa, który przyjął go, najbliższego Lizymacha człowieka, obdarował i zaufał jak ojciec, jakby chciał wynagrodzić śmierć zadaną jego przybranemu ojcu, bo tak przecież mógł myśleć o ich stosunku, nie wiedząc nic o pogardzie jaką Keraunos żywił do zdradzonego przez siebie starca ścigającego młodzieńcze namiętności i uległego im jak niedorostek.

Gdy po zwycięskiej bitwie w dolinie rzeki Kuros stanął Seleukos nad ciałem swojego dawnego przyjaciela, niedaleko miejsca, gdzie dwadzieścia lat wcześniej pod Ipsos wspólnie oglądali zmasakrowane zwłoki Antygonosa i myśleli o jego poległych w tej bitwie nadziejach, teraz nad ciałem Lizymacha mógł pan Azji, ostatni z diadochów cieszyć się widząc

poprzez pole bitewne otwarte drogi ku Helladzie, Macedonii, Tracji — całości dziedzin Aleksandra wreszcie w zasięgu ręki a przecież smutny był. Może przeczuwał miecz, który rozetnie mu pierś, gdy, po ponad pięćdziesięciu laty dotknie po raz pierwszy stopą łądu Europy i w mgłach jesienne-go świtu zobaczy mury otwierającego się dlań aleksandrowego dziedzictwa, o które walczyli ponad już lat czterdzieści? A może tylko zadumał się nad ich losem, zabijających się tyle czasu w pościgu za nieuchwytną hybris, nawet teraz starcy nad grobem jak on pochylający się nad ciałem Lizymacha jakby przyginał go do ziemi ciężar blisko siedemdziesięciu lat?

Tylekroć więcej lat niż potrzebował Odys, aby powrócić na Itakę, mógł myśleć Seleukos z okrętu schodząc i dotykając stopą łądu, który opuścił by podbić świat i wracał teraz, pan tego świata patrząc na utkane z mgieł mury Lizymachii, tylekroć więcej aby wejść w nie i zagarnąć ostatnie kraje stojące już przed nim otworem, wejść w mury stolicy zbudowanej przez drucha jego i ostatniego konkurenta, którego ciało pozostawił na polach Kurpedion i aby spełnił się sen, bo jak sen był jesienny świt i tak bliskie miasto w oparach poranka i rzenie konia tuż i postać nachylająca się nad nim jakby chciała szepnąć mu do ucha tajemnicę i ostrze wdzierające się w jego piersi, uderzenie pozbawiające stopy oparcia i chmury, które ogarnęły go, gdy świat oddalał się jak tentent galopującego konia.

Czy mógł myśleć, że koło zamknęło się i w chłodzie spadającej nań mgły poczuł żar tamtej egipskiej nocy, gdy lat czterdzieści wcześniej z Antygenesem i Pejtonem nie zatrzymywani przez nikogo wchodzili do namiotu Perdikkasa zaciskając dłonie na rekojeściach mieczy i czy mógł wcześniej, gdy dotykał stopą Europy uwierzyć, że po czterdziestu latach walk, na starość, uda się mu to co nie udało się nikomu wcześniej, Perdikkasowi, Eumenesowi, Antygonosowi? Czy jeszcze wcześniej nad ciałem Lizymacha nie poczuł, że łudzi go nefela — oszukańcze widmo sławy, mglisty kształt rozwiewający się między palcami?

Bo z pewnością nie Keraunos myślał wtedy, że czyn jego jest zadośćuczynieniem a miecz karą za zabójstwo, którego innych sprawców nemezis dosięgła wcześniej, aby Seleukosa porazić w momencie właściwym, gdy nikt myśleć nie mógł, że grozić coś może bezpiecznemu po zwy-

cięstwie panu Azji. Keraunos zachłystując się powietrzem we wściekłym galopie konia czuł, że dopadł wreszcie królewskiej zwierzyny, na którą czychał miesiące, czuł ekstazę wbijając miecz w pana świata pośrodku wojsk jego i uchodząc bezpiecznie, gdy za późno i bez wiary jego popędzili za nim gwardziści Seleukosa, czuł, że do stóp ściele się mu Macedonia i Tracja, których wojownicy powitają w nim mściciela ich króla i nikt nie będzie rozważał, że mściciel ten sam króla ich doprowadził do zguby i czuł jak świat otwiera się przed nim w świeście wiatru.

To samo czuł będzie na morzu niecały rok później wśród szczątków Antygonosa okrętów, Antygonosa syna Demetriusza niepokonanego pana mórz, którego zgniótł syn Ptolemeusza, choć ojciec jego nigdy nie potrafił stawić na morzu czoła Demetriuszowi. On, syn niechciany był panem Europy i pieśń zwycięstwa unosiła go jak wiatr żagle okrętu, jak krzyk Arsinoe, gdy wypełniał ją i potem, gdy zabijał jej dzieci.

Wtedy Keraunos nie potrzebował powtarzać sobie, że zabijając Seleukosa był tylko nemezis narzędziem, co bełkotał podobno, gdy podrywał się ze snu a płuc nie rozrywał mu pęd powietrza a niemy krzyk bólu ciała rozdzieranego dziobami i kłami drapieżców przyzwanych przez zdradzoną przezeń ofiarę. Może pomyśli tak w upokorzeniu i cierpieniu, na kolanach wśród śmiechu barbarzyńców, pomyśli, że wszystko co podejmował, było tylko losu spełnieniem, losu, którego był bezwolnym narzędziem, gdy roił, że wolą swoją naznacza świat?

A Seleukos w chłodzie mgły, która spowija go i odrywa od ziemi, w momencie, gdy podobno życie raz jeszcze wraca do człowieka, aby jak na uragowisko obce zastygnąć przed nim niby zwój rozwiniętego malowidła, czy poczuł żar tamtej ponurej nocy, słyszał oszalały ryk słoni, tych które udało wyprowadzić się z Nilu bo cielska ich nie okazały się wystarczającą osłoną przed prądem rzeki i zwierzęta tonęły jak ludzie, których miały chronić. Noc klęski, gdy Perdikkas nie wiedząc, że wyzywa bóstwa Nilu usiłował przeprowić się pod Memfis i chyba bóstwa spowodowały niespodziewany przbór wody bród zmieniając w nurt wściekły, porywając najlepszych pływaków, nawet tych bez zbroi, pograżając wyspę, na którą przeprowiło się już część oddziałów, zmuszając ich żołnierzy do rozpaczliwej

próby powrotu przez rwące odmęty w ciemnościach, huku i krzyku, krzyku tych także, których rozrywały krokodyle stadami przybyłe na miejsce przeprawy.

Chyba nawet nie porozumiewali się. Nie pytając nikogo spełnili wolę żołnierzy, wolę coraz głośniej wypełniającą obóz okrzykami wściekłości w nocy, która nie była przeznaczona dla snu.

Podobno Perdikkas nie był zaskoczony. Podobno czekał na tych, którzy każą mu zapłacić za klęskę. Zaskoczony był tylko tym, że byli to oni właśnie. Nie było jednak czasu na wahania ni wyjaśnienia. Patrząc potem na siebie nad jego okrwawionym ciałem i krzywiąc usta w półśmiechu, który tyle wyrażał uzanie dla dobrze zrobionej roboty co zadumę nad jej niewdzięcznością, każdy z nich trzech, najbliższych Perdikkasa oficerów we współnikach widział już konkurentów. Bo wypełniając wolę żołnierzy stali się ich przywódcami a wiedzieli, że w końcu zostać musi tylko jeden wódz.

Los zdarzył, że nie stanęli na przeciw siebie. Czy więc Seleukos, gdy dowiedział się o losie Antygenesesa pomyślał, że ubywa mu konkurent czy zastanowił się nad karą, która dościga zdrajców? Bo Antygenes zdradził po raz kolejny.

Może nie miał innego wyjścia. Po bitwie na słonej równinie Gabiene, na naradzie wodzów Antygenes dowódca weteranów Aleksandra, najwspanialszego oddziału „Srebrnych tarcz” milczał. Niepokonany Eumenes równie wprawnie posługujący się piórem co bronią wskazywał, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki a nierozstrzygniętą bitwę obrócić można w triumf. Satrapowie nie chcieli ryzykować. Widmo Jednookiego Antygonosa odbierało im odwagę. Antygenes milczał. Pewnie wiedział, że weterani jego myślą tylko o odzyskaniu taborów. O odzyskaniu łupów, gromadzonych lat osiemnaście, które czyniły ich bogaczami, o odzyskaniu rodzin swoich, dla których tabory były ruchomym domem, o odzyskaniu wszystkiego co było im drogie, co wieźli ze sobą przez Azję licząc wreszcie na powrót do do ojczyzny w zapomnianej Helladzie, która stała się niewyraźnym snem jedynie a domem prawdziwym były dla nich utracone bezsensownie tabory czyniące z nich coraz mniej żołnierzy. Może już wtedy Antyge-

nes wiedział, że jeszcze tej nocy za tabory te najlepsi żołnierze, dumni wojownicy „Srebrnych tarcz” dostarczą Antygonosowi Jednookiemu, wrogowi, który przecież wrogiem jest z woli przypadku tylko, mocą kaprysu bogini Tyche w efekcie diadochów namiętności, rzuca mu do stóp skrzepowanego jak ofiarne zwierzę, wodza swojego, wielkiego Eumenesa.

Może Antygenes przeczuwał, że cyklop — Antygonos szanując swojego onegdajszego drucha choć przeciwnika obecnie, dbając o władcy godność, nie zawierzy żołnierzom handlującym swoim wodzem. Mógł domyślać się choćby części tego co stanie się później, gdy „Srebrne tarcze” rozsypane po najdalszych prowincjach Azji, pozbawione swojego dobytku, swojej ostoji, ojczyzny swojej prawdziwej w wielkich drewnianych wozach, nie zobaczą także nigdy kraju swojego, snu młodości swojej, który zdawał się im już w ręki zasięgu.

Nie przeczuwał chyba jednak bólu, który nawet jego Antygenes zmusi do krzyku, gdy w ogniu zmieniającym świat cały w jego płonące ciało, w szaleństwie rozżarzonego cierpienia widział będzie nad sobą zmrużone pogardliwie oko starego cyklopa, osaczające go zewsząd lustro jego męki. Choć może w milczeniu jego podczas ostatniej narady czaiła się nieświadomiana do końca wiedza o przeznaczeniu, które dobiega kresu, przed którym nie ma ucieczki choć chce się o nim zapomnieć?

Pejton był kimś więcej. Nie tylko kochanym przez żołnierzy wodzem jak Antygenes. Był jednym z największych, gdy przyjął tytuł opiekuna synów królewskich. Tytuł grzecznie acz stanowczo odrzucony przez Ptolemeusza. Seleukos patrzył wtedy na starego towarzysza nieomal z pogardą, a bardziej może z brakiem zrozumienia bo pamiętał przecież Ptolemeusza zuchwałego, który w nieprzytomnym pościgu pędził za Dariuszem przez wyschnięte płaskowyża Azji, zagłębiał w nieznanne wąwozy, po podmokłej ziemi na czele konnicy cwałował na przeciw wrogów, o których liczebności nie myślał nawet; Ptolemeusz, który nie wahał się nigdy, teraz wycofywał się do swojego, prawda, że wspaniałego Egiptu, osiadał na tym co miał już i rezygnował z igrzysk, które obejmą świat, bo świat będzie nagrodą dla ich zwycięzcy, igrzysk przyśpieszających bicie ich serc nawet wtedy, gdy po śmierci Perdikkasa w chwilowej zgodzie dzielili między sie-

bie ziemię i tytuły przygotowując się do starcia Eumenesa i patrzyli na siebie jak oni w trójkę nad Perdikkasa ciałem.

Ptolemeusz wycofywał się i Seleukos nie potrafił tego zrozumieć, nie potrafili zrozumieć tego hetajrowie, wojownicy, zwycięzcy, wiedzący, że z agonu nie schodzi się przed zwycięstwem lub klęską ostateczną, że mąż nie rezygnuje i mógł myśleć Seleukos: jak mało znamy ludzi a może jak bardzo są oni zmienni, tak, że ani my ani oni sami znać siebie nie mogą, ale tak mógł myśleć chyba później dużo, gdy zastanawiał się czy wybór władcy Egiptu nie był świadectwem mądrości, która zwyciężyła męski zachwałności obowiązek, czy nie był zwycięstwem nad ich grzechem głównym, pychą, która kazała im czuć się równymi boskiemu Aleksandrowi, jemu, który po podbiciu świata nie potrafił się nim cieszyć i jakby w ucieczce przed pustką pogrążył w śmierć, pychą, która okazywała się maską śmierci zagarniającej Seleukosa zimną mgłą na Europy wybrzeżu.

Pejton tytuł przyjął. Wstąpił na agon, na którym był przecież już od Perdikkasa zabójstwa. Został Medii satrapą a więc jednym z wielkich, granicząc z Babilonią, której satrapą był Seleukos. Obserwowali się w milczeniu jakby w pewności, że kiedyś stanąć będą musieli na przeciw siebie. Seleukos doceniał talenty swojego dawnego drucha, jego zdolności przywódcze i administracyjne. Widział jak w cieniu Antygonosa wyrasta ktoś kto nie świeci już światłem odbitym macedońskiego cyklopa, kto w wojnie z Eumenesem stał się nieomal Antygonosowi równym. Widzieli to wszyscy i sam ojciec Demetriusza również.

Dlaczego więc rozsądny zawsze Pejton okazał się tak naiwny by z najodleglejszych krańców Medii przybyć do obozu Antygona? Jak mógł uwierzyć, że Stary Cyklop ruszając na Europę zechce powierzyć mu prowincje Azji, jemu, swojemu najgroźniejszemu rywalowi, jak mógł uwierzyć, gdy sam przygotowywał się do walki werbując nowych najemników, ściągając prowiant ze wszystkich stron swojej prowincji i co więcej rozpoczynając nieobowiązujące rozmowy z żołnierzami Antygona, wskazując im możliwości jakie otworzyłyby się przed nimi na służbie jego — pana Medii.

Może więc z siebie śmiał się najbardziej Pejton, gdy pogardliwym skrzywieniem skwitował zorganizowany mu na prędcę przez Antygonosa proces. Może pomyślał, że Nemezis oślepią niespodziewanie, gdy okręcano mu szyję szarfą, tę szarfą, która niewidzialna zsunęła się mu z oczu, aby jako sznur zacisnąć na jego gardle, zgnieść żyły, ścięgna i kręgi, gdy pomyślał jeszcze o niewidzianej w ogniu śmierci Antygenesesa na Jednookiego rozkaz i w czerwonej mgle zobaczył na raz wszystkie obrazy, których nie mógł już zrozumieć.

Tak więc nie stanęli na przeciw sobie. Seleukos zrozumiał ostrzeżenie Tyche, pojął, że niespodziewanie to Antygon stał się narzędziem losu mszczącym śmierć Perdikkasa. Pan Babilonii nie chciał jednak poddać się ani ludziom, ani przeznaczeniu. Kiedy przyjął więc bezpośrednio po śmierci Pejtona jednookiego zwycięzcę w stolicy swojej Babilonie, przyjął go jako władca udzielny swojego sojusznika i pilnował się, aby, gdy okazało się, że Antygonos nie zadowoli się niczym mniej niż władzą pełną i usunięciem wszystkich konkurentów, nocą w towarzystwie pięćdziesięciu najpewniejszych uszedł Seleukos ze swojej stolicy. Pościg wyruszył za późno. Nawet Antygonos nie chciał bez potrzeby rozlewać krwi swoich dawnych druchów a pościg za niegroźnym przecież Seleukiem wysłał podobno skłoniony przez chaldejskich wróżbitów, kiedy szans już nie było na doścignięcie wydziedziczonego satrapy.

Ale kobieco zmienna Tyche raz jeszcze okazała swą moc. Gdy piętnaście lat później, pod Ipsos, Seleukos patrzył na martwe ciało Antygonosa myślał, że zwyciężył nawet los a potem spojrział na Lizymacha, który obserwował go jak Pejton znad zwłok Perdikkasa.

I znowu trzeba było tylu lat, aby Seleukos stanął nad trupem Lizymacha, swego ostatniego towarzysza broni i czuł smutek myśląc o swoim zwycięstwie i może czuł już jego złudność, która ogarnie go jak chmura wznosząca nad ziemię, aby zapomniał o swoim losie obcym jak opowiedziany mu kiedyś sen.

W zawiei śnieżnej, nad tłumem barbarzyńców kołysze się głowa o rozciętych ustach. W szklitych oczach śnieg odbija się jak biel kolumn odległego miasta. Niebo niesie jak morze. Skłębione chmury mieniają się jak

twarze. Cień drzew jarzy się w nich światłem oczu, zielonym światłem zapadającej nocy.

WĄŻ

Mówili, że wokół głowy owinał mu się wąż. Wielki wąż przesłaniał mu twarz i odstraszał ptaki, które gromadzić jeły się nad przytroczonym do krzyża ciałem, dla pohańbienia przyobleczonego w zwierzęcą skórę.

Węża zauważyli żołnierze, czuwający by nikt nie porwał i pogrzebał trawiącego swoją pośmiertną mękę króla. Ostrożność zbyteczna, dyktowana raczej obyczajem i przezornością niezwykłą Sosybiososa, wszechwładnego ministra, którego władza rosła, gdy w zamknięciu swojego pałacu miotła się na łóżku Berenika matka Ptolemeusza Filopatora usiłując w skurczach wypluć pożerający jej wnętrzności ogień trucizny, gdy Lizymach nie dojechał do Aleksandrii i tylko ktoś w portowej tawernie opowiadał jak w czarnozielonej wodzie rozlewiska Nilu mienił się jak ostatni refleks tonącego słońca czerwony płaszcz królewskiego stryja, gdy Megas, ten, który nigdy nie krzyknął na polu walki, zawył krótko, niczym zwierzę, na kamiennych płytach łaźni, kiedy pod skórą zwijającą się jak pergamin, ciało wypełniało się szkarłatem i pękało w pęcherzach tryskających z niej

bańkami wodnego wrzątku, z drewnianej kadzi spadającego nań, przez pomyłkę oczywiście, przez pomyłkę niewolnika, chłodzić mającego królewskiego brata ślepnącego i duszącego się w bólu agonii, nie takiej o jakiej myśleli wielbicieli tego jednego z falangi Achillesów, którym nie dane było doścignąć nawet nefeli, chmury łudzającej kształtem sławy a których zapomniano tak szybko jak namiętnie wielbiono ich za życia.

A może ostrożność ta powodowana była raczej strachem Ptolemeusza, który nie mógł zapomnieć twarzy Kleomenesa, gdy ten powiedział, że trzy tysiące ludzi z Peloponezu służących w najemnych hufcach pana Egiptu zawsze stawi się na jego wezwanie, aby walczyć po stronie prawowitego króla? A chociaż słowa te uspokoić miały młodego władcę i odwieść od planów zabicia młodszego jeszcze, ale już tak groźnego brata, Ptolemeusz zobaczył w oczach króla Sparty odbicie twarzy Megasa, zobaczył w niej oblicza greckich najemników, pod których nieruchomością czuł pogardę równie głęboką jak uznanie jakie okazywali jego bratu.

Bezbrzeżna pogarda bezwzględności prześladowała Ptolemeusza. Budziła strach, kiedy niespodziewanie dla siebie, władca Egiptu myślał o swoich przodkach schodzących z gór o białych szczytach, w śniegu, którego nie widział nigdy. Gdy myślał o bezwzględnych twarzach i rękach nieubłaganych jak przeznaczenie i chciał zaponieć o nich a obrazy lęku powracały do niego w najmniej spodziewanych momentach, w chwilach rozkoszy, białymi kroplami spływającej po twarzach najpiękniejszych chłopców sprowadzanych mu z wszystkich części świata, gdy widział dookoła w łączących się nieprzytomnie ciałach, w skurczu ekstazy bicie kosmicznego serca, uświadamiał sobie nagle jak kruchy jest jego świat, jak wydany okrucieństwu przodków, które drażyło nawet i jego żyły, obudziło się w osobie jego brata i jak płowy lwi cień przemierzało sale jego pałacu w bryle ciała spartańskiego króla z twarzą nigdy nie zdradzającą uczuć, które może mieć nie mogły przystępu do serca potomka Heraklesa.

I chociaż Ptolemeusz Filopator wzywał Dionizosa i jego taniec, korowodem prowadzący świat ku nieskończonej radości i z kapłanami wspólnie szukał zaklęć, które wezwą boga do jego pałacu i zdawało się mu,

odnajduje już boski wir — niepokój budziło każde zmęczenie a słabość ciała rodziła strach.

Dlatego pisał tragedie. W formę zakłąć usiłował napięcie między boską rozkoszą, której tak pragną śmiertelnicy, a okrucieństwem wdzierającym się w serce ekstazy i niszczący ją lęk. Napisać chciał, ile trzeba bezwzględności dla obrony przed bezwzględnością. Nie potrafił jednak znaleźć formy, aby zrozumieć co wyczuwało jego serce.

Dlatego tak chętnie zgadzał się na rady Sosybiosa, długo z wyrozumiałym uśmiechem tłumaczącego mu konieczność strasznych działań i biorącego je na siebie, tak, że Ptolemeusz nieomal nie musiał o nich pamiętać. Sosybios tłumaczył, że przerażające czyny uwolnią od lęku i boski taniec obronią przed szczękiem żelaza zagłuszającym muzykę fletów.

A kiedy władca Egiptu widział króla Sparty jak wielkie zwierzę pozbawione niepewności i niepokoju, aby niepokój budzić, czuł, że to sam Fobos zagościł w jego pałacu, Fobos, który poprzedza wycie Aresa, ścina krew w żyłach i paraliżuje członki, Fobos nieuchronny jak Tanatos. Dlatego nie pomogło kiedy odizolował już Kleomenesa i grupkę jego druchów, kiedy zamknął ich pod strażą bo cień króla Sparty nawiedzał go nocą, spadał nań jak ptak o czarnych skrzydłach.

Toteż, gdy dowiedział się, że zwłoki Spartiatów leżą strzałom Heliosa wydane na kamieniach bruku, strach ogarnął go raz ostatni, aby ustąpić miejsca rozkoszy większej do tej, której dosięgał wdzierając się między najpiękniejsze pośladki. Pojął, że wyplenia ród drapieżców, zabija lęk, kiedy przyglądał się jak kat po kolei obcina głowy dzieciom Kleomenesa i słyszał jęk Kratezyklei tak dotąd niewzruszonej matki króla Sparty, której kazał patrzeć na śmierć swoich wnucząt, czuł rozkosz odrzucając jej błagania, aby to ją pierwszą uśmiercić; wypełniała go radość, gdy patrzył jak na wzgardę przyobleczone w zwierzęcą skórę bezwładne i niegroźne już zwłoki Kleomenesa żołnierze zawieszają na krzyżu i myślał o cierpieniu obumierającego i gnijącego ciała i może kazał pilnować je, aby upewnić się, że i ta ostatnia tortura zadana zostanie do końca.

Ostrożność była zbyt duża. Prawie nikt nie pojawiał się aby oglądać rozkładające się zwłoki króla. Pojedynczy gapiowie, z daleka, od-

pędzani spojrzzeniami żołnierzy naigrywali się z padliny w zwierzęcej skórze. Czy byli to ci, którzy na widok Spartiatów w rozciętych chitonach biegnących ulicą z nagimi mieczami w dłoniach nawołując do buntu umykali, chowali się do bram zatrzasnąjąc za sobą wieże, zamykali okiennice drżąc przed niepewnym? Teraz, na krzyżu, w zwierzęcej skórze trup bohatera mógł być żywym dowodem ich triumfu, bo czy nie powtarzali wędrowni mędrkowie na placach Aleksandrii, ci zowiący się filozofami, że żywy osioł więcej jest wart od martwego lwa?

Czy życie mieszkańców miasta zmienne a takie samo, które odślaniało czas w gęstych smutkach, niejasnych niepokojach, małych radościach i równie zadziwiających co krótkich momentach szczęścia, nie było ich zwycięstwem wobec ścierwa wydymającego się w ogniu słońca i poczynającego już śmierdzieć? Ścierwa, nad którym wirować zaczęły drapieżne ptaki.

Może nawet nie tak nieliczni schodzili się, aby z odległości szydzić z zewłoka tego, który wzywał ich aby poderwali się ze swojej gnuśności, stanęli na przeciw nagich mieczy przed obliczem śmierci. Czy nie była śmieszna śmierząca kukła w zwierzęcej skórze, która roiła sobie, że jest synem Heraklesa? I może dlatego warto było popatrzeć na nią, cisnąć w nieforemny kształt suchym kawałkiem łąjna, zgniłym owocem lub kamieniem bez lęku jak po bitwie w ciało pokonanego wroga. Warto było poczekać aż ptaki rozedrą galaretę ślepych oczu, z dawnej twarzy wrywać będą strzępy mięsa, ukażą pożałowania godną nietrwałość ciała bohatera równie miękkiego i nieodpornego wobec ptasiego dzioba co zwłoki ostatniego z tchórzy.

Węża zauważyli żołnierze. Ptaki nie spadły aby poszarpać przytroczonego do krzyża bohatera. Wieść o wężu pilnującym ciała Kleomeneasa rozbiegła się po Aleksandrii jak ptaki odlatujące znad miejsca niedoszłego żeru. Pod krzyż ściągają zaczęły tłumy. Nieforemne, poczynające się psuć w skórze zwierzęcej zwłoki okazały się ciałem wybrańca bogów, herosa, półboga może, który zstąpił, aby doświadczyć ludzi.

Ci, którzy widzieli go z mieczem w strugach słońca biegnącego ulicą opowiadali, że ciało jego choć w chitonie tylko lśniło jak pokryte

achillesową zbroją, głos sięgał najdalszych krańców miasta i wystarczył tylko błysk jego broni, aby wrogowie padali jak porażeni, nic dziwnego więc, że trzynastu Spartiatów z kulawym Hippitasem włącznie wystarczyło aby rozgromić oddział komendanta miasta i jego służbę, i zostawiając za sobą ich trupy, nietkniętych, podążać dalej. Ci, którzy widzieli ich, albo słyszeli, albo zdawało się im tylko, że widzieli lub słyszeli, odczuwali, że zostali wyróżnieni, bogowie dali im szansę, przemówili do nich swoim jasnym znakiem a więc Aleksandryjczycy gromadzili się, aby oddać hołd ziemskim szczątkom wysłańca bogów.

W zwierzęcej skórze, na krzyżu ciało puchło, traciło swoje dawne kształty, zapominało o śmierci w słońcu na kamieniach z krwią buchającą z piersi, którą otworzył własny miecz, gdy miasto oddalało się, krzyk oddalał się i barwy ciemniały, tylko słońce świeciło swoim oszalałym blaskiem, gdy Kleomenes poczuł ostatnie uderzenie bólu, ukłucie raczej koło kostki i potrafił jeszcze odwrócić głowę aby zobaczyć Panteusa, który sprawdzał czy towarzysze żyją jeszcze i czy może wreszcie i sobie zadać śmierć.

Co zostaje jeszcze w umierającym po śmierci człowieka ciele, czy słońce wysusza w nim ślady obrazów, odległe tchnienia zapachów, ścieżki prowadzące w przestrzeni, nieskończoność dźwięków? Gdy krew wyschła, czy pamięta jeszcze krew tryskającą z piersi, gdy świat ciemnieje w jaskrawym świetle słońca a krew jest prawie czarna? Krew jego, która tryska ciągle i krew towarzyszy, która na bruku krzepnie już kałużami ciemnej miedzi. Pamięta czarną krew, która ze zgiełkiem walki docierała doń, kiedy uczył się słów i świata i po raz pierwszy z chrzęstu zgłosek, ich niewyraźnych odbłasków w przezroczystym powietrzu łowił błyski broni i oczu i krzyk odbijający się od metalu jak ostrze. I stawali wokół niego wojownicy spod Troji, którzy towarzyszyć będą mu już zawsze tak, jak matka jego i brat, i cień ojca, i opiekunowie, którzy wyprowadzą go na pole i walczyć każą i biec bezdrożami poprzez chaszczę i noc.

Zanim zrozumiał, że dźwięki zaklinać można w znaki, znał już dzieje herosów, pamiętał czarną krew Patroklosa, Hektora i Ajaksa i Agamemnona omotanego tkaniną jak ofiarne zwierzę zabijanego ciosami noża, jak zwierzę nie jak król heros i kiedy miasto niknęło jak błysk w ciemnej

kałuży, w której nieruchomieli jego towarzysze, powracała do niego krew inna, którą widział na tyłu polach bitew, na murach, kamieniach wąskich ulic i ta, której nie widział, Euklejdas, gdy pod Sellazją żelazna falanga Macedończyków zgmiotła skrzydło wojsk jego dowodzonych przez brata, odciętych uprzednio przez oddziały Illirów i Akarnanów ukrytych poza nimi w zasadzce, co Kleomenes podejrzewał nawet, a tak lekkomyślnie zawierzył zapewnieniom Damoteles, którego sam wysłał na lustrację terenu, i nie przedsięwziął należytych środków ostrożności, bo nie można było ich podjąć i wierzyć mu chciał, gdyż innej szansy na zwycięstwo nie było, ale ta niewidziana krew, którą żelazne stopy wygniotły z martwego ciała Euklejdas, spada przeciw na niego, czuł jak podmuchem uchodzi z jego serca jakby dosięgały go o pięć stadiów oddalone grotty włóczyńcy Macedończyków nadchodzących jak nemezis, kiedy krzyknął: zginąłeś bracie, zginąłeś bohaterze, chociaż Spartiata nie krzyczy nawet gdy widzi klęskę i śmierć swoich najbliższych.

Jednak Spartiata nie uchodzi z pola walki a tym bardziej nie przygotowuje sobie ucieczki jak on, uczeń Likurga przeciw, potomek Leonidas, który w spokojnym uniesieniu ginął w walce wiedząc, że wykonuje wszystko co każą mu prawa i żadna wątpliwość nie zakłócała bicia jego serca i uderzeń krwi, która opuszczała ciało równie spokojnie jak przemieszczała się w tętnicach i nie zrozumiałby, że jego potomek, cóż, że ostatni ucieka jednak z pola bitwy aby nie poddać się klęsce i że wcześniej przygotował okręt licząc się z możliwością porażki jak strachliwy kupiec gotujący żagle by czym prędzej oddalić się na wypadek kłopotów w transakcjach i nie potrafili zrozumieć tego jego najbliżsi, skoro jeden z najmężniejszych Terykion powiedział mu to co inni tłumili chyba powtrzaną sobie pewnością, że rozstrzyga król, wódz, który nie zawiódł, bo przemocy i zdradzie ulegali i najwięksi, ale Terykion na wybrzeżu Ajgialii patrząc w kierunku Lakonii, której zarysy podobno widać bywało niekiedy, albo to tylko zarys obłoków w gasnących kolorach układał się w znajome kształty, a pulsowanie jasnej krwi było szumem przesypujących piasek fal i niosło do swojego kraju, tam gdzie umierać powinni obrońcy jak ci spod Sellazji wierni prawom a nie wątlemu rozumowi i woli, które mamione pychą wybrać mogą

nie śmierć a walkę jak król jego, który stoi i patrzy na zwłoki swojego wier-
nego towarzysza, odchodzącego w tej najcięższej próbie i nie wie teraz, te-
raz na bruku obcego miasta, gdy spoza czarnych domów dobiega go szum
morza jak własnej krwi czy, jak mówił to wcześniej Terykionowi, śmierć
wtedy była tchórzostwem a tamten milczał, milczał jak potem nieruchomy
i bez życia na brzegu morza w plamie jasnej słonecznej krwi, takiej jaka
trysnąć musiała z gardła Antygonosa Dosona, suchotnika, nieszczęśnika,
którym Kleomenes pogardzał niegdyś przecież zanim Macedończyk jak
chory ptak drapieżny nie spadł na Peloponez, jak chory ptak krzykacz mu-
siał po raz ostatni i głos jego buchnął z gardła fontanną jasnej krwi, gdy
poderwał swoich do zwycięskiego ataku, aby ostatecznie zgnieść już dzi-
kich Illirów i w radosnej agonii wyszeptać zdołał tylko: o cudowny dniu,
a słowa te, które Kleomenesowi powtórzono dwa lata temu, budziły wtedy
nadzieję a teraz są jak ból i oddalają się jak krew, której nie sposób zatrzy-
mać.

Czy ciało człowieka zanim nie rozpadnie się, zgnije, może być tyl-
ko ciałem? Czy nie rozkładają się w nim refleksy życia, czas przetworzony
w materię, światło, które gaśnie wraz z zanikaniem tonosu — napięcia, wie-
cznego ruchu, jego intesywności, wiecznego ruchu, który oddech ciała wy-
prowadzi gdzie indziej i pozwoli mu trwać, płonąć tak długo jak dalece du-
sza oczyściła się w próbach życia i trwać może bez końca nieomal aż po po-
żar świata?

Jak długo pozostaje w ciele ostatni ból? I czy czuł go Kleomenes,
gdy w szumie morza, w który przerodził się zgiełk miasta słyszeć mógł zno-
wu słowa Terykiona nawołujące do godnej śmierci, która stanowić mogła
rodzaj odkupienia za złamanie praw?

Cień nachyla się nad nim jak postać Panteusa, jak Tanatos, którego
łopot skrzydeł słyszał już tyle lat ciemną groźbą, od kiedy z murów Argos
zobaczył nadciągającą armię Antygonosa, której nie mógł stawić czoła jak
stare, obumierające na krańcach świata miasto nie mogło pokonać jednej
z największych świata tego potęg a w jak burzowa fala cwałującej na Argos
konnicy macedońskiej widział przeznaczenie, któremu nie oprze się nikt
a z którym podjął jednak walkę, wystawiając na próbę swoją cześć i losy

swoich najbliższych, którzy ocaleliby przecież gdyby trzymał się wówczas praw, a śmierć ich widział teraz jak wiedział o niej czas dłuższy zdając sobie sprawę, że niezależnie nawet od ptolemeuszowej nienawiści wyrachowanie Sosybiosa nie pozostawi przy życiu dziedzicznych wrogów. Teraz mógł tylko bez słów modlić się powtarzając: dzieci moje, które zabijam wbijając miecz w swoje serce, umierają ze mną na bruku obcego miasta; i te trzy lata, które trwonili w blasku Aleksandrii jak w zapachu trującego kwiatu i wcześniej jeszcze, gdy pod nawałą Macedończyków zginął jego brat i kiedy okupywał jego śmierć i swoje sprzeniewierzenie po dniu walki nie pozwalając sobie wypić kropli wody, zdjąć zbroi ani dać spoczynku nogom i stał tylko czas jakiś z głową na łokciu, ręką wsparty o kolumnę, wtedy już dotknięcie skrzydeł czarnego boga jawić mogło się mu jak pieśczoła.

Na bruku, kiedy światło odpływało go z krwią, pogrążony w czarnym blasku słońca, którego nie potrafił pojąć, czy mógł znaleźć Kleomenes spokój w słabości po raz pierwszy odbierającej mu panowanie nad ciałem, w gładkim dotknięciu ciemności, pamiętając, że złamał prawa, które miały być fundamentem jego panowania i stanął na przeciw przeznaczenia jakby sam był bogiem, kiedy i oni uginali się przed Mojżą i tylko człowiek mógł być tak szalony i opętany pychą by wierzyć, że wbrew prawom zwycięży przeznaczenie sam ustanawiając sobie prawa? Czy wystarczyć mogła czystość intencji — jedyna miarą czynu, czego uczył go płowowłosy Sfajros Borystenita i mógł wierzyć, że nauczył, gdy młody król wznosił się obojętnie nad hańbę swojego czynu wierząc, że wybiera właściwie.

Tylko czy mógł wierzyć syn Leonidasa w zwycięstwo? Czy mógł wierzyć jeszcze wtedy, gdy widział konnicę macedońską jak wezbrana rzekę płynącą ku Argos na czele armii, której nigdy dotąd nie potrafiła zatrzymać nawet połączona Grecja i gdy myślał o mieście tak łatwym do objęcia wzrokiem jak łatwa była do obiegnięcia Troja, gdy twarze jego mieszkańców objawiły się mu w momencie jakby pamiętał je wszystkie, wszystkich, którzy mogli zebrać się na rynku i wiedział, że stanął na przeciw macedońskiego morza wspieranego oddziałami Achajów i innych dzikich, dalekich i nieznanymi sojuszników z garstką, która wcześniej czy później ulec musi niezmiernie nawałi, kiedy uświadomił sobie to co zapomniał później,

zdobyc Megalopolis nieomal na oczach połączonej macedońsko — achajskiej armii, gdy łupił Argolidę i wyzywał Antygonosa, by stawił mu czoła, opuścił Argos i jak mężczyzna przyjął walkę, a nie tchórzliwie ukrywał się za bezpiecznymi murami, wówczas wierzył w zwycięstwo, był go pewny i zapomniał co przypomnieć sobie mógł, gdy w pośpiechu pod murami opuszczał Argos tracąc wszystko co uzyskał dotąd w tej wojnie, kiedy niespodziewanie powrócić mógł doń obraz Ksenaresa, którego znienawidził nieomal tak jak kochał go uprzednio, Ksenaresa, pod którego tchnieniem uroku wybierał dla siebie drogę, a który wyszydził jego jeszcze nienazwane projekty i opuścił go jak niewartego uwagi głupca.

Może wtedy, gdy wracał do Sparty tracąc pod drodze sojuszników i krwawo okupione miasta, powróciła doń pamięć o tym, którego widoku oczekiwał niegdyś niecierpliwie, gdy mury bieleć zaczynały w słońcu i w dźwięk głosu wsłuchiwał się tak samo jak w sens słów inaczej nazywających mu rzeczy, a uśmiech przyjaciela pozwalał mu czuć i rozumieć czego nie czuł i nie rozumiał wcześniej, jakby śnili wspólny sen, o którym myślał, że zapomniał na zawsze. Ksenares, którego nie chciał pamiętać i nie pamiętał już.

Mógł myśleć, że to przyjaciel pierwszy dostrzegł przeznaczenie, ku któremu na oślep zmierzał Kleomenes i bronić go chciał przed nim poświęcając przyjaźń by ratować przyjaciela. Dlatego wyszydził kleomenesową fascynację Agisem i jego czynami domyślając się pod nią chęci do podążenia śladami nieżyjącego króla, a znając Kleomenesa i wiedząc, że argumenty zdadzą się na nic, wybrał brutalną kpinę a potem odejście, narażając się na najcięższe podejrzenia ze strony tego, z którym jeszcze tak niedawno łączył go empnesthaj i dlatego nie powiedział nikomu z jakich to powodów odrzucił przyjaźń młodego króla. Może odszedł bo nie chciał widzieć jak spełniają się jego obawy objawiające się w błysku, gdy bogowie rozerwali przed nim zasłonę przyszłości, jakby uczucie jego oświecić pozwoliło ciemności przeznaczenia.

Co stało się z Ksenaresem? Po poróżnieniu się z królem, pierwszy i największy przyjaciel jego znika z kart Plutarcha, tak jak nie odnajdziemy nawet wzmianki o owych, późniejszych losach jego w dziele Filarcha mniej

sławnym Plutarcha poprzedniku. Czy Kleomenes po prostu zapomniał, wygnał przyjaciela z pamięci tak jak tamten usunął się mu sprzed oczu? Czy zapomniał mimo, że nie kultywował zdolności owej? Czy zapomniał zdradę, bo tak przecież zrozumiał Ksenaresa działanie, zdradę najboleśniejszą bo najbliższego sobie człowieka? Czy więc w czasach późniejszych zamętu i walki nie postanowił go ukarać po prostu, choćby wygnać z miasta jak tamten wygnał go ze swego serca, w co Kleomenes wierzył wówczas niezłomnie?

Czy mógł wierzyć Kleomenes, że powróci tu, wsiadając na okręt i niegodnie pozostawiając swoje miasto wrogom i mówiąc sobie i innym, że wybiera walkę a nie ucieczkę w śmierć, bo przecież wiedział, że to nie obawa kazała oddalić się mu z pola walki, nie małoduszność przygotować okręt, ale czy mógł wtedy z garstką przyjaciół żeglując ku nieznanemu lądowi wierzyć, że powróci tu jak Odyseusz aby pogromić zalotników — wrogów i odzyskać swoje miasto i jego chwałę?

Czy mógł wierzyć w zwycięstwo, kiedy w trzynastu sposobili się do walki, przyoblekali rozprute chitony, aby łatwo wydobyć ukryte miecze i dbali aby materia ich była czysta i nietknięta jak materia stroju na drogę ostatnią? A planowali wszystko spokojnie i dokładnie, wykorzystując każdą sposobność, gdyż nie mieli innego wyboru, kiedy zrozumieli, że zamknięci są tu już do końca, końca, który nie wiadomo kiedy nadejdzie i czy będzie płomieniem trucizny pożerającym ciało, czy ogniem pochłaniającym „wielki dom”, czy bronią siepaczy spadającą na nich w ciemności. A przecież w mieście tak wielkim, że nie potrafili wyobrazić go sobie wcześniej, wśród niekończących się budowli, między fortyfikacjami, których strzegący żołnierze sami stanowili wielką armię, w obcym i wstrętnym sobie świecie, pod wrogim żarem słońca, uwierzyli w triumf, gdy niesieni świętą furją zarabali królewskiego zausznika Ptolemeusza syna Chryzermosa, którego sam los wydał im w ręce na pomstę, gdy w uniesieniu samymi mieczami rozgromili pancerną, wielokrotnie liczniejszą od nich straż komendanta miasta, zostawiając za sobą trupa jego i zwłoki sług jego i żołnierzy i biegli na więzienie wierząc, że zdobędą je i poprowadzą uwolnionych więźniów na mury Aleksandrii, i zdobędą ją, pewni byli zwycię-

stwa wbrew własnemu rozsądkowi i doświadczeniu, czuli się już triumfatorami i może musieli się czuć tak aby walczyć, aby nie umierać w milczeniu na kamieniach ulicy jak już niedługo, gdy cienie wydłużyły się o stopę, jak ludzie muszą zapomnieć o własnej śmierci aby walczyć i żyć.

Słońce jest bogiem. Słońce jest błogosławione jak bóg i jak on straszne. Biada, kiedy człowiek jak Faeton równy usiłuje być bogom. Musi zginać niosąc ze sobą klątwę i katastrofę. Wóz Heliosa pędzi ulicami Aleksandrii, jego płomienie palą powietrze, domy wznoszą się jak spopielałe stoki nad wąwozami ognia, żar wygarnia powietrze z ust, wgryza w oczy, sięga mózgu. Pograża króla Sparty w ciemną chmurę, w której niepojęte bucha światło słońca. Nefela — sława widmo, za którym nie wiedząc nawet biegł może życie całe, życie, z którego pozostał mu miecz tonący we własnych piersiach.

A przecież on i jego towarzysze i ostatni najdzielniejszy piękny Panteus, ten, który pierwszy wdarł się na mury Megalopolis obalając niepowstrzymany obrońców a żona jego podążała za nim, aż tu do bram śmierci, Panteus, który myśli, że umierają z oddechem ostatnim a więc zakończyło się jego czuwanie i przebijając się mieczem osuwa na ciało swojego władcy, wszyscy oni wiedzą, że walczyli o cześć swojego miasta, które umiera teraz na aleksandryjskim bruku i jego mieszkańcy, jednego z nienajwiększych miast odległego półwyspu osuwającego się w niepamięć, nie wiedzą czemu zatrzymywać się muszą na moment czując w piersiach dziwny skurcz zanim nie podążą do swoich zajęć, zanim nie zetrą z oczu słoneją mgły, którą bryza pędzi znad morza, aby pójść dalej nie wiedząc, że po drugiej stronie wody skonał właśnie ostatni król Sparty.

Chmura spowija głowę króla, chmura wsączyła się w ciało rozdympując je w skórze zwierzęcej na krzyżu. Ciało jest harmonią, winno nią być a kiedy traci ją, umiera, rozpada się, roztapia w świetle wokoło wsączając w ład. Jego pneuma, ogniste tchnienie spływa w płomienny oddech wszechświata, trwa w logosie.

Świat jest logosem — ładem, którego naruszenie mści się na głupcu, wcześniej czy później odbierającym zasłużoną karę. Tylko czy mądrość jest tak łatwa jak powtarzał to Kleomenesowi mistrz jego Sfajros

tak, że młody król wierzyć w to zaczął? Czy dla człowieka rozzdzieranego niejasnymi afektami bo nie tylko tymi, które nazwali i usystematyzowali mędracy, odnalezienie w sobie porządku logosu jest po prostu możliwe? Bo może najstraszniejszą formą pożądliwości jest hybris, wieczny pościg granicy widnokręgu, bez czego człowiek nie byłby człowiekiem?

Pragnienie bogów, żądza osiągnięcia ich, nasycenia się boskim ciałem Hery, które okazuje się chmurą, karą za co jest wieczna męka na kole Iksjona. Dlatego dzieła ludzkie nie są nigdy skończone i przypominają centaury, stwory hybrydalne i niedoskonałe.

I czy nawet Sfajros ze swoją doskonale wypracowaną mądrością, swoim bezwzględnym i nieomal radosnym wyrzeczeniem i spiżową cnotą nie dostrzegł rozdarcia, tego, które kazało na scenie amfiteatru odgrywać raz jeszcze dzieje tragiczne aby spróbować zrozumieć to czego zrozumieć się nie da? Jeśli uznał, że bezwzględne prawo Likurga, które uśmiercało wątpliwości, nie pozostawiało wyboru i dzięki temu pozwalało z równym spokojem zwyciężać co ginąć, jest logosem właśnie i przodkowie budujący Spartę odnaleźli tę wytęsknioną harmonię między światem, miastem a sercem człowieka i na tym fundamencie postawili swój dom, to przecież dom zmurszał i wyludnił się, a gdy Kleomenes śladami swojego poprzednika chciał odbudować ich Spartę, aby zamieszkali z nim znowu i odnaleźli utracony ład, po to by stało się tak a nie tylko by odsłonić wachlarz swoich cnót i zginąć nie uczyniwszy nic jak król Agis, musiał łamać prawa Likurga aby ustanowić je na nowo, jak wtedy, gdy zabijając eforów rozpoczął swoje dzieło.

Teraz, gdy na krzyżu, w ogniu słońca, dusza przenika ciało coraz słabszym płomieniem, który odala się w ogniste tchnienie wszechświata a ciało opuszczają ostatnie obrazy i dźwięki, coraz bledsze myśli, niejasne wizerunki prawdy, które przepływały mózg z ostatnimi uderzeniami krwi na ulicy jak w ciemnym wąwozie przecinanym błyskawicą światła widzi Agiatydę, w której uśmiercić usiłował wizerunek jej pierwszego męża, chcąc być bardziej nim, tylko zwycięskim jeszcze, ścigał chmurę duszy zmarłego jak w czasie miłosnych nocy, gdy wdzierał się w swoją żonę wypalić ją chcąc jak płomień, który trawi żelazo w beznadziejnej walce z pa-

mięcią. Czy dorównać komuś w jednym sercu to mniej niż dorównać mu przed trybunałem świata? Tak mógł myśleć niekiedy. Tylko czy może tak myśleć Spartiata?

I może chciał być jak Agis, bo pragnął bardziej być synem zamordowanego bohatera niż synem triumfującego bohaterobójcy. Nienawidził uśmiešku ojca, wszystkorozumiejącego uśmiešku człowieka, który wie wszystko i chce już tylko żyć; chociaż może zrozumiał go dopiero na dworze Ptolomeusza, na nowo poznał ojca, który lata wcześniej powrócił z dworu Seleukosa i pragnął tylko spokoju i zapomnienia, zrozumiał go, chociaż umiera teraz na kamieniach Aleksandrii a jego ojciec zdecydował się żyć.

Jednak, gdy pod Sellazją macedońska falanga łamała jego Spartiatów, oskrzydlnych przez konnicę, gdy ostrza spadały na nich ze wszystkich stron i nie było już nadziei, którą pochłonęła zdrada i potem, gdy stał oparty o kolumnę powtarzając sobie, że tylko tchórz godzi się na klęskę, czy nie myślał o zdradzie, która odebrała mu wszystko, o zdradzie, która w pułapkę ściągnęła Archidamosa brata Agisa. Opowiadano, że kiedy Archidamos ginął pod mieczami tych, którzy mieli go strzec, krzyknął: Kleomenesie, zdrajco! A przecież Archidamosa zabili wrogowie Kleomenesa także, Kleomenesa, który dał znać bratu Agisa by przybywał na miejsce należne mu z racji krwi, aby królowali razem i wspólnie podjęli dzieło rozpoczęte przez bohaterskiego króla.

Podobno przyjaciele Kleomenesa przekonywali go, że chociaż to Likurg ustanowił dwóch królów nad Spartą, aby powrócić do Likurgowych zasad potrzebny jest król jeden, a aby zadośćuczynić tak ważnej tradycji, Kleomenes ma przecież męznego brata, o którym wiadomo, że nigdy nie przeciwstawi się mu i tak za cenę nie tak dużego uchybienia, bo bracia nie powinni być współwładcami, uwolni sobie ręce dla realizacji najwznioślejszego przecież zadania. Wystarczyło tak niewiele, spuścić z oczu nieostrożnego Archidamosa, którego obawiali się Agisowi zabójcy bo wiadomo było, że poszuka sprawiedliwości wobec wiarołomców.

Wszystkie oskarżenia pod adresem króla Sparty były jednak nieuzasadnione, Kleomenes nie musiał wydawać żadnych rozkazów, wystar-

czyło by rozkazów wydać zapomniał, o co trudno było go winić w zamęcie tylu spraw, ale kiedy widział miażdżone macedońskim żelazem skrzydło wojsk swoich i zrozumiał, że Euklejdasę brata jego nie ma wśród żywych i że pochłonęła go zdrada, tak jak pochłonęła całe jego dzieło, pomyśleć musiał o bracie swego poprzednika pełnym wiary i nadziei, w drodze do Sparty, która okazała się dlań śmiertelną pułapką.

Nie pisze Plutarch ani Filarch co stało się z ciałem Kleomenesa, gdy ogromny wąż owinał się mu wokół głowy. Co stało się z nim wśród tłumów Aleksandryjczyków, zbierających się pod krzyżem by złożyć hołd psującym się zwłokom w zwierzęcej skórze. Można przypuszczać jednak, że królewska decyzja uległa zmianie i prochy z całą należną im czcią pochowane zostały we właściwym miejscu. Przemawiałby za tym zabobonny lęk Ptolemeusza wywołany dziwnym znakiem oraz inteligencja Sosybiosa, który z pewnością uniknąć chciał niepotrzebnej niechęci jaką wywołać mogłoby pastwienie się nad ciałem naznaczonego przez bogów herosa.

Plutarch pisze wprawdzie, że mądrzejsi przekonali innych, iż wąż nie stanowi znaku bogów a w sposób naturalny powstał z soków i krwi ludzkiej jak zdarza się to po wielekroć, jak z rozkładających się wołów powstają pszczoły, z koni osy a osłów skarabeusze. Współcześni nam komentatorzy obruszają się na tę pseudoscjentyistyczną interpretację, którą najprawdopodobniej wymyślił sam Plutarch, aby przy okazji podzielić się z czytelnikiem swoją wiedzą.

Ale czy naprawdę interpretacja Plutarcha jest naiwna? Czy dusza śmiertelna, ale przecież nieskończenie bardziej trwała niż ciało, choć nie wiemy jak trwała była ona i czy w swoim gasnącym podmuchu doczekać mogła pożaru świata, dusza powoli oddzielając się od ciała, którego napięcie, spowodowane wiecznym acz uspokajającym się w chwili śmierci ruchem, słabło, co pociągało za sobą rozkład, nie przyoblała się w postać godną, węża na przykład? Przyjmując to, zgodzić by trzeba się było, że Plutarcha wyjaśnienie prawdziwe było tylko połowicznie: nie każda dusza rozdzielając się z ginącym ciałem przyjąć potrafi kształt węża. A więc jest to pewien boski znak wyróżnienia. Co więcej, jeśli mądrzejsi potrafiliby przekonać zbiorowisko, że mamy do czynienia ze zjawiskiem naturalnym, ciało

jeszcze długo pozostałoby na krzyżu bowiem władcy Egiptu nie widzieliby potrzeby zmiany swojego wyroku. Ale czy kiedykolwiek mądrzejsi przekonali tłum?

Spis rzeczy

Zdobywca miast 5

Głowa 116

Wąż 134